

ANDRE NORTON

OPERACJA
„POSZUKIWANIE CZASU”

ROZDZIAŁ 1

- Atlantyda? to przecież baśń. Mężczyzna stojący przy oknie odwrócił się.

Nie mówisz serio - rozpoczął z przekonaniem, które osłabło, gdy nie zauważył żadnej reakcji na twarzy swego towarzysza.

- Widziałeś przecież filmy z trzech pierwszych prób. Czy wyglądały jak wytwory czyjejś wyobraźni? Sam sprawdziłeś wszystkie środki bezpieczeństwa, żeby mieć pewność rzetelności prób. Baśń powiadasz? Spokojny, siwowłosy mężczyzna zagłębił się lekko w swoim fotelu. - Ciekaw jestem, co kryje się u źródeł niektórych naszych legend. Już dawno udowodniono, że norweskie sagi, kiedyś traktowane jako fikcja, są kronikami historycznych podróży. Większość naszego folkloru to zniekształcone klanowe, plemienne bądź narodowe przekazy. Weźmy na przykład smoki - był taki czas w dziejach naszej planety, gdy wędrowały po niej te opancerzone monstra.

- Ale nie są to czasy, do których ludzkość sięga pamięcią. Hargreaves odszedł od okna z rękoma wspartymi na biodrach i podbródkiem wojowniczo wysuniętym do przodu, jakby chciał rozpocząć słowną utarczkę.

- Nie zastanawiałeś się nigdy, dlaczego pewne baśnie przetrwały, dlaczego od wieków są ciągle opowiadane? Jak choćby ta o smokach-ludojadach. Hargreaves uśmiechnął się. - Zawsze słyszałem, że prawdziwy smok wolał dietę składającą się z młodych delikatnych dziewcząt - aż do czasu, gdy jakiś dzielny rycerz nie zmienił jego gustów przy pomocy miecza lub kopii. Fordham roześmiał się. - Ale smoki, pomimo swych kulinarnych upodobań, są mocno osadzone w folklorze całego świata. A ich dietetyczne gusty były kiedyś powszechnie znane. W czasie, powtarzam, daleko poprzedzającym pojawienie się naszych najbardziej prymitywnych przodków.

- O ile nam wiadomo - skorygował Fordham. Ja jednak mam na myśli fakt, że niektóre legendy przetrwały całe wieki. Gdy tworzyliśmy ten plan, a przyczyny sam znasz, musieliśmy mieć punkt wyjścia. Atlantyda jest jedną z najstarszych legend. Stała się ona tak dalece naszą spuścizną, że jak sądzę, ogólnie traktowana jest jako prawda. A wszystko opiera się na kilku zdaniach użytych przez Platona dla potwierdzenia jakichś jego teorii.

- Przypuśćmy jednak, że Atlantyda rzeczywiście istniała - Fordham wziął ołówek i przesunął go po leżących przed nim notatkach, nie kreśląc jednak żadnego znaku - ale nie na tym świecie.

- Wobec tego gdzie? - Na Marsie? Wysadzili się w powietrze pozostawiając tylko

kratery.

- Dziwne, ale według legendy Atlanci w końcu naprawdę wysadzili się w powietrze czy coś w tym rodzaju, lecz stało się to na Ziemi. Słyszałeś zapewne o ujęciu historii równoległej, zakładającej, że każda ważna dziejowa decyzja dawała początek dwom alternatywnym światom...

- Fantazja - przerwał Hargreaves.

- Czyżby? Przypuśćmy, że na jednej z tych alternatywnych linii czasu Atlantyda naprawdę istniała, podobnie jak na innej smoki współistniały z ludźmi...

- Nawet gdyby tak było, to skąd byśmy o tym wiedzieli?

- Racja. Możemy być oddzieleni od tych światów całą siecią ważkich wyborów i decyzji. Przypuśćmy, że kiedy byliśmy bliżej, istniał pewien rodzaj przecieku, być może jednostki nawet się przemieszczały.

Znamy zupełnie wiarygodne opisy dziwnych, niewytłumaczalnych zniknięć z tego świata, a jedna lub dwie osoby pojawiły się tutaj w bardzo dziwnych okolicznościach. Atlantyda jest tak żywą historią i tak utrwaliła się w wyobrażeniach pokoleń, że użyliśmy jej jako punktu odniesienia.

- Tylko jak?

- Włożyliśmy w IBBY każdy znany we współczesnym świecie szczegół informacji - od raportów geologów, sondujących dna mórz w poszukiwaniu grzbietów mogących być zatopionym kontynentem, do objawień okultystów. W odpowiedzi na to IBBY dał nam równanie.

- Czy sugerujesz, że na tej podstawie wykonaliście sondażową wiązkę?

- Dokładnie tak. A rezultaty widziałeś na próbnym filmach. To samo wyszło z wyliczeń IBBY. Zgodzisz się, że w niczym nie przypominają naszego „tu i teraz”.

- Tak. Tyle mogę potwierdzić. A gdzie były zrobione?

- Niedaleko miejsca, któremu się właśnie przyglądałeś. Na dziś zaplanowaliśmy wyprawę dziesięciominutową, najdłuższą, na jaką się dotychczas odważyliśmy. Kopca używamy jako punktu orientacyjnego.

- Ciągłe macie z tym kłopoty?

Fordham zmarszczył brwi. - Rozpuściliśmy plotkę, że przygotowujemy teren pod rozbudowę laboratorium. Wilson, sprawca tego całego zamieszania, znany jest z chronicznego przeciwstawiania się autorytetom rządowym. Całą tę „KRUCJATĘ NA RZECZ OCALENIA HISTORYCZNEGO KOPCA” zorganizował przede wszystkim po to, żeby znaleźć się na pierwszych stronach gazet i przeszkodzić w realizacji projektu. W zeszłym

roku narobił sporo zamieszania stwierdzając, że paramy się badaniami, które mogą znieść z powierzchni ziemi cały okręg. Uciszyli go wtedy ludzie z bezpieczeństwa.

Tym razem jednak rozumie, że cała ta sprawa z kopcem jest bezpieczna, a ta jego „KRUCJATA” nie wzbudziła takiego zainteresowania, jak zeszłoroczna akcja: „UWAŻAJCIE! - JAJOGŁOWI CHCĄ WAS WYSADZIĆ W POWIETRZE” - więc Wilson traci na impecie.

- Tym nie mniej kopiec jest doskonałym punktem orientacyjnym, ponieważ jest to najstarszy z ocalałych w okolicy śladów działalności człowieka.

- A co zrobicie, jeśli - zamiast na Atlantów - traficie na budowniczych kopca?

- No cóż, będziemy wtedy mieli lepszy zestaw filmów, żeby zwrócić uwagę na nasz projekt, chociaż te, które już posiadamy, bliższe są naszym rzeczywistym zamierzeniom.

- Tak - zgodził się Hargreaves. A jeśli to zadziała, jeśli będziemy mogli się przedostać...

- Wtedy będziemy mogli wykorzystać naturalne bogactwo, obfitsze niż dziś możemy sobie wyobrazić. Splądrowaliśmy, zniszczyliśmy i zużyliśmy większość zasobów naszego świata. Musimy więc próbować grabieży gdzie indziej. No to jak - wybieramy się na Atlantyde?

Hargreaves zaśmiał się. - Zobaczyc, to uwierzyć. Jeden obraz wart jest więcej niż tysiące słów. Jeśli dasz mi dobry film, zabiorę go do Waszyngtonu i być może uda mi się uzyskać większe dotacje. Pokaż mi więc Atlantyde.

Pogoda była zadziwiająco łagodna jak na początek grudnia. Ray Osborne odpiął kołnierzyk swojej skórzanej kurtki. Jego spadochroniarskie buty rozgniatyły kępki zeszłorocznej trawy. Okrywał go teraz cień indiańskiego kopca.

Wczesny niedzielny poranek - Wilson miał rację, sugerując tę porę. Zgodnie z jego zapewnieniami znalazł również dziurę w ogrodzeniu. W zasięgu jego wzroku znajdował się tylko jeden budynek, wieża z azurowej, żelaznej konstrukcji. Po tej stronie kopca Ray pozostawał niewidoczny, nawet gdyby ktoś tam teraz pracował.

Co oni chcą tutaj zbudować, że ich buldożery równają wszystko z ziemią? A co zrobią ludzie, jeżeli nie zostanie dla nich ani skrawek wolnej przestrzeni? Ray odwrócił się w kierunku kopca, przygotowując aparat do zrobienia zdjęć, po które go posłano. Jego palec nacisnął i...

W momencie, gdy czerwona dioda zapaliła się, sygnalizując gotowość do zdjęcia, świat oszalał. Nieznośny ból w głowie odrzucił go do tyłu, oślepiły go fioletowe błyski. Cisza - przetań załzawione oczy. Mgła przerzedziła się, a on stał, chwiejąc się jak pijany. Rozejrzał

się i osłupiał ze zdumienia.

Rozorany teren budowy, cała maszynyria, a nawet kopiec zniknęły. Ray stał jak przedtem w cieniu, lecz teraz był to cień gigantycznego drzewa, a szeregi takich drzew rosły wszędzie dookoła.

Wyciągnął przed siebie drżącą rękę i wyczuł chropowatą korę. Drzewo było prawdziwe! Zaczął biec po mchu porastającym ziemię w tym naturalnym korytarzu monstrualnych drzew. Wracaj! - wołał jakiś wewnętrzny głos, lecz inny zapytywał: Wracać? Dokąd?

Po chwili wybiegł z mroku tego nierealnego lasu na pokrytą trawą równinę. Potknął się o wystający z ziemi korzeń i upadł. Leżał tak i z trudem chwycił powietrze. Po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że słońce grzeje zbyt mocno jak na zimową porę. Uniósł się i rozejrzał dookoła.

Przed nim rozciągała się równina, za nim las - niczego takiego przedtem tu nie widział. Gdzie się znalazł? Drżąc, choć ziemia była ciepła, zmusił się, by spokojnie usiąść. Był nadal Ray'em Osborne'm. W niedzielę rano wyszedł na budowę, żeby zrobić kilka zdjęć kopca, o którym Les Wilson pisał właśnie artykuł. Tak, zdjęcia... ręce miał puste. Gdzie się podział aparat fotograficzny? Musiał go zgubić, gdy „to” się stało. A właściwie, co się stało?

Ray skrył głowę w dłoniach. Po krótkiej walce z paniką, starał się logicznie myśleć. Lecz jak myśleć logicznie po czymś takim? W jednej chwili był w najnormalniejszym świecie, a w następnej - gdzieś tutaj. Ale gdzie właściwie było owo „tutaj”?

Powoli wstał, chowając ręce do kieszeni. Wracać! Odwrócił głowę w kierunku milczącej gęstwiny drzew i zrozumiał, że nie może tak wrócić. Jeszcze nie teraz. Gdy to rozważał, serce zaczęło mu bić jak szalone. W pewnym sensie równina wydała mu się mniejszym złem. Powłókł więc się dalej, szukając w niej jakiegoś wylomu. Poniżej płynął wąski strumyk, przechodzący dalej w rzeczkę, porośniętą dookoła wysokimi zaroślami i młodymi drzewami.

Właśnie odkrył wiodącą w dół ścieżkę, gdy nagle usłyszał jakieś trzaski. Z zielonej gęstwiny naprzeciw skarpy wyłonił się jakiś mroczny kształt. Ostre racice jak oszalałe uderzały w skarpe, wyrzucając w powietrze ziemię i kamienie. Nagle stworzenie, jakby zdając sobie sprawę z własnej bezsilności podniosło rogatą głowę i odwróciło się w stronę ścigających je myśliwych.

Ray chwycił się kurczowo trawy, aby się nie ześlizgnąć. Osaczone zwierzę znajdowało się dokładnie pod nim, dysząc ciężko ze zwieszoną głową. Ray nie wierzył jednak, że to wszystko dzieje się naprawdę. Łoś (jeśli to ogromne zwierzę było łosiem) z

pewnością nie pochodził z południowego Ohio. Jego rogi miały sześć stóp szerokości. Był o wiele wyższy o Ray'a - jakby w zgodzie z wymiarami leśnych drzew. Z krzaków wyskoczyły kudłate, podobne do wilków bestie. Pierwsze zwierzę, trzymając się z daleka od rogów łosia, zakradło się do jego przednich nóg, z pewnością nie po raz pierwszy uczestnicząc w niegodziwych podchodach. Kudłata sfora zaczęła doskakiwać do zwierzęcia, zanim zdążyło się ono obronić.

Ray zafascynowany walką, oprzytomniał nagle, gdy usłyszał huk, na który jeden z psów odpowiedział głośnym szczekaniem. Po chwili pojawili się dwunożni myśliwi. Nie nieśli niczego, co Ray mógłby nazwać bronią, choć w dłoni jednego z nich dostrzegł krótki metalowy pręt. Właśnie ten przedmiot wycelował w stronę gardła zapędzonego w narożnik łosia. Wystrzelił z „prętu” promień czerwonego światła. Łoś ryknął, osunął się na ziemię, przygniatając prawie jednego z psów. Kudłacz ruszyły, żeby rozerwać drgające jeszcze ciało, lecz myśliwi odpędzili je przy pomocy gradu dobrze wymierzonych kopnięć i szturchańców. Jeden z mężczyzn wy dobył z pochwy sztylet i zajął się oprawianiem powalonego zwierzęcia. Drugi przymocował smycze do wybijanych metalem obroży psów, podczas gdy trzeci zawinął pręt w kawałek materiału i umieścił go w przedniej części swego kaftana.

Wszyscy trzej byli średniego wzrostu, ale szerokie barki i silnie zbudowane ramiona nadawały im karłowaty wygląd. Grube, czarne włosy, związane rzemieniem, sięgające ramion pokryte były tłuszczem. Ich skóra miała miedziano-oliwkowy odcień, a wyglądu dopełniały szerokie usta z grubymi wargami, przysłaniającymi silne, żółte zęby oraz ciemne oczy i haczykowate nosy. Ubrani byli w sięgające połowy uda tuniki z szarej, miękko garbowanej skóry, na które narzucone były wzmacniane metalem kaftany bez rękawów. Na stopach mieli wysokie do kolan buty na grubych podszwach. Nagie ramiona zdobiły metalowe bransolety wysadzane białymi kamieniami. Do szerokich pasów przyczepione były pochwy ze sztyletami.

Ray, ciągle skulony, nie usiłował dłużej przekonywać się, że to co widzi jest prawda. Sen - to musi być sen. Niedługo się obudzi.

Nagle jeden z psów go odkrył. Jego czerwone oczy znalazły źródło tego dziwnego zapachu, który drażnił jego nozdrza. Wyjąc, rzucił się do przodu na tyle, na ile pozwoliła mu smycz. Szarpał tak długo, aż rzemień nie wytrzymał. Jednak, podobnie jak chwilę wcześniej łoś, nie mógł wdrapać się na pionową ścianę wąwozu. Bezskutecznie drapał osypujący się żwir, wyjąc jak szalony.

Oszołomiony Ray prawie zaczął się modlić. Jeden z myśliwych wskazał na niego z

okrzykiem. Przywódca wyciągnął pręt i wycelował. Ray odwrócił się, próbując ucieczki. Nie uczynił jednak nawet jednego kroku. Nagle wszystko w nim skamieniało. Nie mógł się poruszyć. Bezsilny, nie mogąc nawet kiwnąć palcem, czekał na nadejście oprawców. Ci, za pomocą tej małej dziwnej broni, wycięli kilka stopni w ścianie wąwozu. Ray wiedział tylko, że żyje i nie został zabity tak jak łoś. Zbliżyli się do niego. Ray bacznie się im przyglądał. Kamienny wyraz ich twarzy i brak śladów jakichkolwiek uczuć w mętnych oczach był niepokojący. Maski, pomyślał Ray, złe maski. Zaniepokojony, zdał sobie sprawę, że stanął twarzą w twarz z czymś obcym, poza granicami „swojego” świata.

Otoczyli go ostrożnie, przypatrując się zdobyczy. Niosący broń dowódca przerwał ciszę, zadając pytanie w gardłowym języku. Gdy Ray nie odpowiedział, szczeka mężczyzny wysunęła się wojowniczo.

Ponowił pytanie, lecz tym razem mrużąc, prawie śpiewając. Jakiś inny język, pomyślał Ray. Jego milczenie zdawało się wprawiać myśliwych w zakłopotanie. Wreszcie przywódca oschle wydał rozkaz. Jeden z obcych wyciągnął rzemień i stanął za Ray'em, aby skrępować mu wciąż bezwładne nadgarstki. Będąc pod wpływem ich dziwnej broni, Ray zmuszony był do uległości. Dotyk myśliwego sprawił, że poczuł dreszcz obrzydzenia.

Gdy Ray został już związany, przywódca uniósł pręt z którego tym razem nic nie wystrzeliło. Ray poczuł, że może się znowu poruszać. Obcy odszedł, nie oglądając się za siebie. Myśliwy, który związał Ray'a, smagnął go po plecach końcem rzemienia i wskazał kierunek. Więźnia zdenerwowała nie tylko brutalność zdobywców, lecz również sytuacja, w której się znalazł. Nie wiedział, gdzie jest i dlaczego się tutaj znalazł, ale czuł, że musi się jeszcze sporo dowiedzieć i że będzie musiał za tę wiedzę słono zapłacić. Znalazł siłę w swoim gniewie i uczeplił się jej jak tonący czepia się skał pośrodku wzburzonej rzeki.

Podążali wzdłuż krawędzi wąwozu przez jakieś pół mili, zanim znaleźli przerwę w urwistej skale. Związany Ray nie był w stanie schodzić po stromym urwisku, a nie miał ochoty gramolić się jak spętane zwierzę. Strażnicy dźgnęli go sztyletem, aby zmusić go do dalszego marszu. Po kilku krokach Ray stracił równowagę i stoczył się po zboczu, wzbijając tumany kurzu i piasku. Zatrzymał się na pniu młodego drzewa, z głową poniżej nóg.

Jeśli to jest sen - pomyślał ponuro - to ten upadek z pewnością by go obudził. Wciąż jednak czuł tępy ból w okolicach podstawy czaszki. Nie mógł samodzielnie wstać, leżał więc, czekając na „uprzejmą” pomoc ze strony swych prześladowców.

Ci zaś schodzili nie spiesząc się zbytnio. Jeden z nich podszedł, by go popędzić dobrze wymierzonym kopniakiem. Gdy mimo takiej zachęty nie podniósł się, dwaj pozostali postawili go na nogi. Popędzili go złośliwym pchnięciem, po którym nieomal ponownie

upadł.

Krew mu się sączyła z oblepionych piaskiem ran na wargach i brodzie, wzbudzając zainteresowanie małych, agresywnych muszek, których nie mógł odpędzić, odkąd potrząsanie głową zaczęło wywoływać zawroty.

Gdy dotarli do łośia, przywiązano go do drzewa, a myśliwi wrócili do oprawiania zwierzęcia. Częścią już poćwiartowanego mięsa nakarmili psy, a resztę owinęli w zieloną skórę. Chwilę później jeden z nich zebrał wnętrzności i pociągnął je za sobą w kierunku mrocznej jamy w skarpie i znajdującego się poniżej kopca. Idąc, pozostawiał na ziemi czerwony ślad. Gdy dotarł na miejsce, rzucił odpadki, ułamał gałązkę i zanurzył ją w jamie, energicznie obracając. Odskokczył, gdy na zewnątrz pojawiło się mnóstwo mrówek.

Pozostali uwolnili Ray'a oraz powarkujące psy i ruszyli w dół strumienia. Ray obejrzał się i spojrzął na resztki łośia. Mrówki obsiadły je grubą warstwą przypominającą ciemny koc.

Jak później obliczył, szli prawie godzinę, nim wąwóz rozszerzył się w typową dolinę. Krzaki, które raniły jego niczym nieosłoniętą skórę i zostawiały czerwone ślady na gołych ramionach myśliwych, przerodziły się w gęstwinę drzew i kępy wysokiej do pasa trawy.

Niewygodą Ray'a zwiększała się z każdym krokiem, do którego był zmuszany. Jego twarz - podrapana, zbita i pokłuta - była nabrzmiąta i opuchnięta. W oślepiającym świetle słońca jego oczy zwężyły się w szparki. Silny ból przy podstawie czaszki promieniował w bok ku ramionom i wzdłuż grzbietu. Zupełnie stracił czucie w skrępowanych rękach. W pewnym sensie, z wdzięcznością witał ból, który uniemożliwiał zebranie myśli. Gdzie był? Co się stało? Nie mógł dłużej wierzyć, że to tylko sen, mimo że desperacko trzymał się tej nadziei.

Nadszedł wreszcie koniec tego męczącego marszu. Dolina przeszła nagle w wybrzeże, a strumień wpływał miniaturową deltą w falujące morze. Morze? W środku kontynentu? Spojrzął na piaszczysty brzeg z trwogą. Tutaj nie mogło być żadnego morza. Lecz to „tutaj” nie było jego własnym światem! Z pewnością był to jakiś nocny koszmar.

Okrzyk z plaży sprawił, że jego prześladowcy przyspieszyli kroku i pociągnęli go za sobą, poszarpując z obydwu stron. W dole, przy samym brzegu kilka mrocznych postaci czekało, by powitać myśliwych, a z ogniska unosił się dym, blady i rzadki jak poranna mgła.

- Nadal twierdzisz, że to bajka? - Fordham nie odrywał oczu od ekranu.

Gdy Hargreaves nie odpowiedział, Fordham obejrzał się. Na jego twarzy zauważył zmarszczkę, wskazującą na walkę, którą toczy wewnątrz. Miał już wcześniej okazję być świadkiem takiej jego reakcji. Tym razem wziął tę oznakę zwątpienia za dobrą monetę.

- Dobra... Widzę coś - drzewa - tak jak na innych twoich filmach.

- Drzewa? - napierał Fordham. - Czy przypominają ci one drzewa, które już kiedyś widziałeś?

- Nie - przyznał niechętnie Hargreaves.

Fordham ciągnął dalej: Takich drzew - zauważył - nie widziano w tej części świata od setek lat. Pierwsi osadnicy opisywali swoje kłopoty z oczyszczeniem tej ziemi. Czasami potrzebowali wielu lat, aby usunąć dziewiczy las, pnie i korzenie.

- W porządku. Przyznaję, że coś masz, że widzimy dzięki tej wiązce promieni kawałek łądu, który z pewnością nie istnieje już od długiego czasu. Ale podróże w czasie - ... Atlantyda... - muszę mieć więcej dowodów, zanim prześlę jakieś rekomendacje.

- Masz filmy, które możesz wziąć ze sobą. O Atlantydzie mówię tylko jako o jednej z możliwości - niczego nie twierdzę z pewnością. Równie dobrze może to być prekolumbijskie lub przedrewolucyjne Ohio. Nie ma jeszcze sposobu na udowodnienie lub obalenie równania IBBY. Ale musisz przyznać, że jest to imponujący początek.

- Chcę obejrzeć jeszcze raz na filmie to, co przed chwilą widzieliśmy - powiedział Hargreaves. - Chcę sprawdzić, czy uda mi się dostrzec różnicę po włączeniu wiązki promieni.

- Obróbka filmu zajmie trochę czasu.

Hargreaves nachmurzył się jeszcze bardziej. - Mam go dużo - przynajmniej na to. A poza tym, chcę wiedzieć, co biorę ze sobą. Będzie wiele pytań, na które trzeba znaleźć odpowiedź.

- Gotowe. - Fordham usadowił się w sali projekcyjnej. No to zaczynamy. To będzie całe ujęcie. Surowa ziemia oświetlona słabymi, zimowymi promieniami słońca, z lewej strony buldożer rzucający cień, a w oddali wznoszący się kopiec.

- Przyznaję, że widziałem zmianę. Mam nadzieję, że film ją również uchwycił.

- Hipnoza? - Sądzisz, że cię zahipnotyzowałem? Jaki miałbym w tym cel? Chyba że uważasz, iż moje hobby przekroczyło granice zdrowego rozsądku. Po raz pierwszy utrzymaliśmy wiązkę promieni przez tak długi okres czasu powinniśmy więc mieć dość szczegółowe dowody.

Hargreaves zapatrzył się w ekran. Kiedy możecie...

- zawahał się.

- Sami przekroczyć linie? Na razie możemy tylko popatrzeć. Nie wiemy nic o przejściu. Trzeba będzie wytworzyć o wiele większą moc.

- Taka ilość drzew - Hargreaves oglądał wielki las, a raczej tę jego część, którą objęła wiązka promieni oraz film.

- Może tam być dużo więcej zasobów do wykorzystania. Wygląda to na

niezamieszkały świat.

- Tak. Bądź praktyczny. Przypuśćmy, że możemy otworzyć drzwi do... gdziekolwiek to jest, i wykorzystać tamtejsze zasoby. Jak sądzisz, jaka byłaby reakcja komisji na taką prezentację, jeśli właśnie to podkreślisz.

- Chcieliby mieć 50% pewności, że to się uda. Ile czasu potrzeba tobie na przeprowadzenie prawdziwego eksperymentu?

- Masz na myśli wysłanie tam kogoś? - Nie wiem. Potrzebowaliśmy dwóch lat na doprowadzenie do etapu, na którym obecnie jesteśmy.

Hargreaves potrząsnął głową. - Twoje filmy; pozwól mi je pokazać. Być może uda mi się wynegocjować przynajmniej połowę tego, o co prosisz.

- Hm, jakiś ty wspaniałomyślny. Ale mam nadzieję, że choć to się uda. - Słowa Fordham'a nie były tak złośliwe, jak można się było spodziewać. W głębi duszy był zadowolony, że chociaż w połowie go przekonał.

Przeglądali się projekcji bardzo uważnie, Hargreaves mocno pochylony do przodu na swoim krześle. Najpierw były ślady rozkopów, kopiec, następnie błysk i pojawiły się te drzewa. Nagle ostry okrzyk Fordhama zagłuszył warkot projektora.

- Langston - zawołał do operatora. - Cofnij! Puść na wolnych obrotach ten fragment poprzedzający wypuszczenie wiązki.

- Co...? - ale Hargreaves powstrzymał się od dalszych protestów, gdy spojrzał na swojego towarzysza. Zadowolenie sprzed paru chwil zniknęło z twarzy Fordhama.

Ślady rozkopów ponownie pojawiły się na ekranie.

- Na lewo od kopca. - O!... tam. Spójrz!

Hargreaves spojrzał we wskazanym kierunku. Jakaś, trudna do rozpoznania postać, choć z pewnością ludzka, weszła w pole działania wiązki promieni. To, co podczas projekcji przy normalnej prędkości wydawało się krótkim błyskiem, teraz sprawiło, że przymrużył oczy. Pojawiły się „te” drzewa, a za jednym z nich nadal była ta postać.

Idziemy! Fordham rzucił się w kierunku drzwi w zaskakującym tempie, jak na swój wiek i zwyczaj. Podążając przez korytarz w kierunku małego parkingu, już właściwie biegł. Fordham szarpnięciem otworzył drzwi swojego samochodu i wskoczył za kierownicę. Hargreaves zdążył tylko usiąść za nim i trzasnąć drzwiami, a opony już buksowały po asfalcie, podrywając samochód w kierunku bramy. Strażnik zauważył, jak się zbliżali i zachował się na tyle przytomnie, że w ostatniej chwili udało mu się uruchomić automatyczny przełącznik. Hargreaves odetchnął z ulgą. Fordham nie uderzył w barierkę, choć niewiele brakowało.

Na całe szczęście droga była pusta, bo wjechali na nią z niedozwoloną prędkością.

Wewnętrzny głos nakazał Fordhamowi zwolnić, zanim skręcił w nierówną i wyboistą drogę, pooraną kołami ciężarówek i spychaczy.

Dyrektor pobiegł w kierunku kopca. Jego strach, bądź podniecenie sprawiły, że wyprzedzał Hargreaves'a o kilka kroków, ale kiedy ten obiegnął kopiec, podszedł do Fordhama i stanął w bezruchu. Szef trzymał w rękach aparat fotograficzny. Po postaci, którą widzieli na filmie, nie było ani śladu.

- Zniknął - stwierdził oczywistą rzecz Hargreaves. Fordham podniósł oczy znad aparatu. Jego twarz była blada.

- Zniknął. Tak... - gdzieś tam. - Spoglądał przez ramię w kierunku, gdzie wcześniej widzieli szeregi drzew. Hargreaves drżał, wiedząc, w jaki sposób tamten zniknął, nie mając jednak pojęcia dokąd.

ROZDZIAŁ 2

- Gdzie? Hargreaves głośno sformułował myśli.

Odpowiedź Fordhama była tylko odrobinę głośniejsza od szeptu: Być może na Atlantyde.

Ale sam przecież powiedziałeś, że ten las mógł być prekolumbijski, albo jeszcze starszy - zaprotestował Hargreaves.

Pewnie. Ale mógł być równie dobrze z każdej innej epoki. Widziałeś sam, co się stało, obejrzałeś też film - i widzisz, jak to wygląda teraz. - Fordham machnął aparatem. - Ten biedny głupiec wszedł tam, przeszedł..., przedostał się... -jakkolwiek to nazwiemy - i to my go tam wysłaliśmy.

- Możesz go jakoś wydostać? - Hargreaves odłożył spekulacje na bok, przechodząc do konkretów.

- Wytworzenie odpowiedniej mocy dla wiązki promieni zajmie cztery dni, może nawet więcej. To musi być wykonane we właściwym momencie. Jak sądzisz, dlaczego wybraliśmy tę konkretną datę i godzinę na naszą próbę? Nie jest to tylko sprawa naciśnięcia odpowiedniego guzika i „otworzenia drzwi”. Musimy to dokładnie, od nowa zaprogramować. Cztery dni... - rozejrzał się dookoła. - A nie ma sposobu, żeby określić, jak szybko „tam” mija czas. Przecież on nie będzie tam tak po prostu siedział przez cztery dni - skąd ma wiedzieć, że będziemy próbowali go wydostać? Może oddalić się o wiele mil, zanim będziemy gotowi.

Hargreaves odwrócił się, żeby spojrzeć na wykopy. - Ale trzeba to zrobić. A im szybciej weźmiemy się do roboty...

- Jasne - głos Fordhama brzmiał tak, jakby wiedział, że porywają się z motyką na słońce.

Hargreaves ciągle przyglądał się terenowi. Atlantyda - o nie! Tym razem w jego głosie dało się słyszeć zdecydowany sprzeciw.

Ray potknął się i runął jak długi, twarzą w piasek blisko ogniska, prymitywnie rozpalonego między głazami. Wyczerpany, z zadowoleniem leżał, nie zwracając najmniejszej uwagi na myśliwych, ani na pozostałych, którzy oczekiwali ich przybycia w obozie. Nie zostawiono go jednak w spokoju. W polu widzenia Ray'a pojawiły się lekko ugięte nogi w butach ze sztywnej skóry, do której przylegały pasemka grubych włosów. Jeden z butów wcisnął się pod niego i Ray przeturlał się tak, że teraz jego twarz była skierowana w stronę

nieba. Przybysz odziany był w taką samą jak myśliwi skórzaną tunikę, lecz jego spódnica przyozdobiona była metalowymi paskami, które brzęczały, gdy się poruszał. Zamiast wzmocnionego metalem bezrękawnika, na piersi i plecach nosił metalowe odlewy, ochraniające klatkę piersiową i szerokie barki. Lewa ręka, od nadgarstka do łokcia, okryta była metalowymi mankietami, zaś na prawej znajdowały się tylko dwie, wysadzone kamieniami bransolety.

Nie miał żadnego nakrycia głowy, a wzmagający się wiatr rozwiewał długie, czarne pasma włosów dookoła twarzy. Zgięta ręka podtrzymywała hełm z dwoma umieszczonymi na środku skrzydłami przypominającymi nietoperza. U pasa wisiał miecz. Wyższy od myśliwych, o mniej śniadej skórze, wydawał się należeć do innej kasty, lecz ta sama, pozbawiona uczuć maska nie zdradzała żadnych charakterystycznych cech jego osobowości.

Dość długo przyglądał się Ray'owi, po czym wyszczerzył rozkaz. Jeden z myśliwych podszedł, żeby przeciąć rzemienie krępujące dłonie Ray'a i pomógł mu wstać. Oficer zadawał pytania, a myśliwy odpowiadał, gestykulując żywo przy opisywaniu pojmania. Gdy skończył, oficer zwrócił się z pytaniem do więźnia.

Zamaszystym ruchem ręki wskazał na zachód i wypowiedział tylko jedno słowo:

- Mu?

Ray potrząsnął głową. Żołnierz wydawał się być zaskoczony odpowiedzią. Zmarszczył brwi wskazał na wschód, zadając kolejne pytanie, którego jednak Ray dobrze nie usłyszał. Nagle Amerykanin zrozumiał chęć wiedzieć, skąd pochodzi.

Wskazał do tyłu na wielką puszcze. Z pewnością wiedzieli o jego przybyciu tyle samo co on. Ich reakcja na jego odpowiedź zupełnie go zaskoczyła.

Oczy wojskowego zwęziły się jak u kota. Z jego ust wydobył się warkot, a grube wargi rozsunęły się, ukazując sine dziąsła i żółte zęby. Wybuchnął szyderczym śmiechem; jego zwątpienie było oczywiste. Oficer wydarł się na swoich podwładnych i kazał następnemu z myśliwych powtórzyć historię pojmania Ray'a. Odbyło się to tak samo jak poprzednio. Następnie myśliwy wskazał na głowę Ray'a, na jego zmierzwiłone wiatrem krótkie, brązowe włosy, i sięgnął, nadal brudną po oprawieniu łosia ręką, do skórzanej kurtki, którą więzień miał na sobie, zwracając na nią uwagę oficera. Szybkim gestem dał Ray'owi znak by ją zdjął. Wywrócił kieszenie, znajdując chusteczkę do nosa, notes oraz zapasowy film do aparatu.

Po kilku minutach jeniec stał na wietrze, trzęsąc się z zimna, a jego ubranie rozrzucone było dookoła na piasku. Prześladowcy ciągle jeszcze przeszukiwali kieszenie, jakby przekonani, że gdzieś muszą być jakieś ważne przedmioty. Jeden z nich przywłaszczył

sobie jego scyzoryk, drugi zaś tak długo kręcił zegarkiem, aż po ostrej reprimendzie zabrał mu go oficer. Potrząsając chusteczką, dowódca ułożył na stertę zawartość kieszeni Ray'a, wrzucił wszystko do worka i umieścił w koszu z wikliny.

Ray schylił się, aby sięgnąć po ubranie, lecz ręka oficera wystrzeliła, wymierzając policzek, który zwałił go z nóg. Myśliwy rzucił jeńcowi skórzany pakunek. Czerwony ze złości Ray założył to skromne odzienie, które przypominało szkocką spódnicę, i nie było wystarczającym zabezpieczeniem przed coraz chłodniejszym wiatrem. Zaczął się wtedy zastanawiać, co by się stało, gdyby rzucił się na oficera.

Jakby w odpowiedzi na tę myśl, która dała mu odrobinę satysfakcji, stalowe palce ponownie zacisnęły się na jego ramieniu, obracając nim i omal nie wrywając prawej ręki. Na bladej skórze prawego przedramienia znajdowało się niebieskie kółko z promienistymi liniami młodzieńcza próba tatuazu, której nie wymazały upływające lata. Oficer zaśmiał się szyderczo, gdy to ujrzał. Odrzucił rękę Ray'a i splunął.

- Mu - tym razem nie było to jednak pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

Nad nowym światem zapadła noc. Widocznie miał przed sobą jakąś przyszłość, gdyż dano mu porcję pieczonego łosia. Potem jednak związano ponownie ręce i nogi, a gdy próbował zagrzebać się w piasku w poszukiwaniu ciepła, jeden z mężczyzn zarzucił nań skórę.

Gdzie się znajdował? To pytanie stało się nagle o wiele ważniejsze, niż to jak się tu znalazł. Historyczny kopiec, potem tamte drzewa, a teraz to miejsce. Indianie? Nawet jeśli podróże w czasie były możliwe nie tylko w książkach, to ci ludzie nie są Indianami. A morze nie dociera przecież do Ohio i... i... Ray po raz kolejny walczył z paniką, która kazała mu biec, krzyczeć...

Racja, nie wiedział jak się tutaj znalazł, ani gdzie to TUTAJ jest, ale teraz jego problemem byli myśliwi i to, co zamierzali z nim zrobić! Po chwili jego umysł był tak samo odrętwiały jak jego drżące ciało i Ray zasnął wyczerpany.

Wczesnym rankiem zbudził go przeszywający śpiew ptaków. Pod prowizorycznie rozstawionym namiotem chrapał i podrygiwał oficer, a strażnik drzemał przy dogasającym ognisku. Koszmarny sen trwał więc nadal. Ray spróbował usiąść, lecz krępujące go więzy boleśnie wbijały się w ciało. Ryjąc obcasami w piasku przesuwał się, aż jego ramiona natknęły się na jeden z głazów w pobliżu ogniska. Przemieszczając się ostrożnie, w końcu znalazł się w pozycji siedzącej.

Na wschodzie nieśmiało jaśniał różowy blask. Szary ptak zanurkował, szukając pod falami śniadania. Strażnik uniósł się, potrząsnął gwałtownie głową, po czym ziewnął i głośno

splunął w ognisko. Wreszcie wstał, patrząc na Ray'a ze złośliwym uśmiechem na ustach.

Na początek kopnął Amerykanina czubkiem buta w żebra i szarpnął, żeby sprawdzić, czy więzy mocno trzymają, po czym wyrzwał nim z hukiem o skałę. Uważając jedną powinność za zakończoną, podszedł do ogniska, by je rozpaścić.

Ray potrzęsął głową. Zasnęte strupy i kurz pokrywały jego twarz. Krew ciężko pulsowała w skroniach i gardle.

Oficer wysunął się z namiotu i odpiął sprzączkę, która przytrzymała jego bieliznę. Rzucił ubranie obok zdjętej wieczorem zbroi i wbiegł w fale. Gdy się z nich wynurzył, wrzasnął gwałtownie, zrywając na nogi pozostałych, którzy stali teraz, krzycząc i wskazując na otwarte morze, gdzie czarny cień przecinał turkusową wodę. Oficer wrócił, osuszył ciało i ubrał się, wydając przy tym serię rozkazów, które spowodowały wzmożoną aktywność wśród jego ludzi. Jeden z nich rozwiązał Ray'owi kostki i pomógł mu wstać.

Nadpływał statek; lecz nie był podobny do żadnego z okrętów, jakie dotychczas widział na rycinach. Jakies pół mili od brzegu statek zwolnił, a z wąskich burt wysunęły się wiosła, wprawiając statek w ruch przypominający nieco sposób, w jaki porusza się chrząszcz wodny.

Ray widział kiedyś ilustracje rzymskich galer, lecz one miały także maszty i żagle. U tego natomiast był tylko dziób i nadbudówki na rufie, które pokrywały dach, stanowiąc jednocześnie górne pokłady. Śródokręcie było niskie i tam właśnie - na otwartym pokładzie, pracowali wiosłarze. Ostry dziób wieńczyła pomalowana na jaskrawy kolor rzeźba. Z niewielkiego pala na rufie zwisała krwistoczerwona flaga.

Jakaś nieokreślona siła tkwiła w tym wąskim, okrutnym statku; wrażenie jakiejś nieugiętej sprawności. Kimkolwiek byli prześladowcy Ray'a, zdecydowanie potrafili troszczyć się o siebie w tym dziwnym świecie.

Statek zarzucił kotwicę, a po chwili spuszczone długą łódź, która kołysząc się uderzyła o wodę. Rytmicznymi ruchami wiosła cięła fale, zbliżając się do brzegu, gdzie czekała grupa myśliwych z gotowymi tobołkami, a zasypane ognisko lekko kopciło.

Oficer przeciął więzy na rękach więźnia. Swą dłoń położył na głównej mieczy w sposób, który mógł oznaczać tylko jedno: musieli go uwolnić, by mógł wygodnie dostać się na statek, lecz byłby głupcem próbując ucieczki.

Załogę stanowiło sześciu mężczyzn oraz oficer. Gdy wyskoczyli, żeby wciągnąć łódź na brzeg, zaczęli wykrzykiwać pytania w stronę myśliwych. Dowódca pchnął Ray'a do przodu, by pokazać go przybyłym. Oczywiście było, że jeniec był godną uwagi zdobyczą myśliwych, gdyż oficer z łodzi nie ukrywał zazdrości. Przywódca myśliwych wskazał na łąd i

zadał jakieś pytanie, na które tamten skinął głową z uznaniem.

Uwolniwszy psy, trzech myśliwych oddaliło się, podczas gdy pozostali wsiadali do łodzi. Ray niezdarnie wdrapał się do środka - jego ciągle jeszcze sztywne ręce i nogi nie ułatwiały zadania. Wepchnięto go pomiędzy dwie ławki i popłynęli w kierunku okrętu.

Gdy dotarli do burty, obrócili łódź, a z góry zrzucano sznurową drabinę, po której dwóch myśliwych wspięło się na pokład. Następnie wepchnięto ją w ręce Ray'a. Wdrapywał się niezdarnie miał zawroty głowy od kołysania, a na myśl, że mógłby wypuścić z rąk drabinę i spaść pomiędzy łódź i statek przeszył go dreszcz strachu. Oficer z obozu wspinał się za nim, niecierpliwie go popędzając.

Więzień upadł wreszcie na zatłoczone śródokręcie, a podążający za nim oficer poderwał ramię, by zaszutować odzianemu na czerwono osobnikowi. Jego czerwony płaszcz przyciągał wzrok jak rozżarzony węgiel. Po chwili Ray zauważył, że nie był to właściwie płaszcz, lecz długa szkarłatna toga koloru świeżej krwi, okrywająca wysokiego, szczupłego mężczyznę od kostek, aż po szyję.

Spod okrągłego sklepienia dokładnie wygolonej głowy spoglądały duże, czarne oczy, rozdzielone sterczącym, haczykowatym nosem. Miał spękane wargi i ostro zakończony podbródek. Dłonią ziemistego koloru mężczyzna pocierał swą kościstą szczękę, nie patrząc na składającego raport oficera, lecz na Ray'a.

Pod tym badawczym spojrzeniem czarnych, matowych oczu Ray poczuł się nagle brudny, jakby coś wstrętnego pełzało po jego ciele. Myśliwi i ich przywódca byli brutalni, lecz w tym mężczyźnie Ray wyczuł coś, czego nie potrafił, nie mógł zrozumieć, coś zupełnie obcego dla jego własnego świata. Pod tym spojrzeniem zaczęły go opuszczać wewnętrzny strach i przerażenie i poczuł potrzebę stanięcia do walki przeciwko posiadaczowi czerwonej togi oraz wszystkiemu, co reprezentował. Ta fala agresji była tak silna, że Ray się przeraził.

- Więc... Murianinie...

Ray zadrzał. Nie mógł przecież rozumieć tych słów, a jednak rozumiał. A może to tylko za sprawą swojego umysłu je „usłyszał”?

- Czyżbyś chciał, jak wy wszyscy, stanąć przeciwko Mrocznemu? Słabowity zwolennik gasnącego płomienia, czy myślisz, że nie jesteśmy w stanie podporządkować twojej woli naszej? Pamiętaj, że to właśnie Byk może zdeptać ogień. Któż może oprzeć się jego woli?

Ray potrząsnął głową, nie po to jednak, by zaprzeczyć. lecz by odpędzić przyprawiającą o zawrót głowy świadomość, że naprawdę rozumie tę mowę. Kim jest Mroczny? Co to znaczy Murianin?

Nikły cień jakiejś emocji przeszedł po niewzruszonej dotąd twarzy Czerwonej Togi. - Nie próbuj takich kiepskich sztuczek. Dobrze wiesz, co się do ciebie mówi. Jak posiedzisz trochę ze swoim kamratem, nauczysz się pokory.

Telepatia? Cóż, równie dobrze może to być dalszy ciąg tego szalonego snu. Nie protestował, gdy trzech stojących przy nim żołnierzy przeniosło go przez śródokręcie. Na końcu rozciągnęli go na ścianie i zakuli w przymocowane do desek żelazne obręcze.

Gdy odeszli, obrócił głowę i spostrzegł, że ma towarzysza w niedoli. Jeniec - skuty jak on - był tak blisko, że palce ich rąk prawie się dotykały. Zwisał bezwładnie, z głową spoczywającą na piersi i długimi włosami zakrywającymi mu twarz. Resztą swego wyglądu różnił się jednak zdecydowanie od załogi statku.

Jego skóra nie była ciemniejsza niż Ray'a i byli tego samego wzrostu. Długie kosmyki włosów, koloru polerowanego brązu, były poskręcane i posklejane, a w jednym miejscu splamione krwią. Z ramienia zwisały strzępy żółtej tuniki średniej długości. Jej resztki ściągnięte były szerokim, zdobionym klejnotami pasem. Jedynym śladem tego, że kiedyś był uzbrojony w miecz, była pusta pochwa. Nosił jak myśliwi wysokie buty; jednak jego były dużo lepiej wykonane.

Ray zastanawiał się, czy tamten jest nieprzytomny. Ostatecznie mieli te same kłopoty i być może mogliby coś wspólnie zdziałać. Pełen nadziei syknął cicho. W odpowiedzi usłyszał cichy niczym westchnienie jęk. Syknął więc ponownie. Współtowarzysz poruszył się, obracając powoli głowę - najwyraźniej sprawiało mu to ból.

Doskonałość rysów twarzy nieznanego, mimo ciętych ran i zielonkawych siniaków, wykazywała odległe podobieństwo do greckich posągów - pomyślał Ray. Jednak żaden z synów Argos nie miał tak ostro zarysowanych kości policzkowych, ani tak ciężkich powiek, zakrywających do połowy błękitne oczy. Nieznajomy spojrzał na Ray'a zdumiony, a po chwili jego obite wargi poruszyły się. Zadał pytanie w łagodnie brzmiącym języku, którego wcześniej raz użyli myśliwi. Gdy Ray potrząsnął głową, był wyraźnie zaskoczony.

- Kim jesteś ty, który nie znasz ojczyściego języka?

Znowu kontakt myślowy! Ray starał się zachować spokój. Ostatecznie tym razem kontakt nie przypominał ostatniego - tak brutalnego wtargnięcia w umysł Ray'a.

- Ray..., Ray Osborne - więzień - odpowiedział wolno po angielsku, co tamten wydawał się zrozumieć.

Skąd przybyłeś? Zapamiętaj - myśl wolno, bym mógł czytać w twojej pamięci i widzieć w twoich oczach.

Posłusznie odtworzył swą oszołamiającą podróż, od wycieczki do kopca, przez

niewyjaśniony las i równinę - aż do spotkania myśliwych. Znowu musiał walczyć z paniką. Co się stało? Gdzie się znajdował? Na jakim morzu? W jakim świecie? Więc tak to wygląda - prześlizgnąłeś się. Nie poznaję jednak twojego czasu.

- Mojego czasu? - powtórzył Ray.

- Tak. Jesteś z dalekiej przyszłości - lub przeszłości. Naacalowie znają ten sposób podróżowania. Choć według naszych danych ci, którzy spróbowali - nie powrócili. Tobie przytrafiło się to przypadkiem i jest to o tyle dziwne, że tylko biegli pierwszego stopnia rozważają takie sprawy, zresztą po długich studiach i ćwiczeniach.

Ray przełknął ślinę. Ten obcy bez żadnego zdziwienia uznał takie szaleństwo za możliwe. Wiedział także, że takie rzeczy miały miejsce już przedtem.

- Prześlizgnięcie się - przez co? dokąd? Gdyby tylko wiedział gdzie był, być może mógłby się tego uczepić i znaleźć w tym jakiś sens. Zadał pierwsze pytanie jakie udało mu się wybrać z szalonego wiru myśli.

- Kim są ci ludzie na tym okręcie?

Odpowiedź była już gotowa. - Jesteśmy więźniami Aliantów - dzieci Mrocznego. Spójrz na ich znak broda wskazał na czerwona chorągiew na pokładzie powyżej.

Ależ to niemożliwe! Atlantyda nigdy nie istniała - była to tylko legenda o kontynencie, który prawdopodobnie zniknął po wielkiej katastrofie, zanim jeszcze położono pierwszy kamień pod budowę Wielkiej Piramidy. Legenda ta dała nazwę jednemu z wielkich oceanów w jego świecie, lecz była to tylko fantazja.

Dlaczego uważasz, że niewola pomieszała ci zmysły? zapytał spokojnie współwięzień. Mówię prawdę, jesteśmy więźniami Ba-Al'a, Mrocznego z Krainy Wielkiego Cienia. I zapewniam cię, że za pięć dni ten okręt znajdzie się wśród klifów Czerwonego Łądu.

- To nie może być prawdą - zaprotestował Ray. Atlantyda jest mitem, po prostu greckim mitem.

- O Grekach nic nie wiem. Ale powtarzam ci, Atlantyda jest prawdziwa, zbyt prawdziwa, o czym się przekonasz, gdy przybijemy do Miasta Pięciu Murów. Ona jest tak prawdziwa, jak wykute przez kowala kajdany, w które nas zakuto, jak nienawiść syna Ba-Al'a, który zmusza do posłuszeństwa kapitana tego okrętu i jak pręgi pokrywające nasze ciała. Czerwoni rządzą teraz wiatrem i falami zachodniego morza. Wstyd nam - ludziom Płomienia, że tak się dzieje. Atlantyda staje się zła. Jest tak pewna swej siły, że sama chce stanąć przeciwko całemu światu.

- To znowu jakieś majaki pomyślał Ray.

- Dlaczego uparcie zamykasz swój umysł przed prawdą? - masz przecież świadomość,

żyjesz. Czyż nie odczuwasz, smakujesz, oddychasz, a nawet widzisz jak ja? Zaakceptuj to co mówią zmysły - że przeniosłeś się w czasie ze swojego świata do naszego. Widocznie prawdą jest to co mawiają biegli, że ludzie bez przygotowania nie potrafią stawić czoła takiej podróży. Wygląda na to, że ty sam sobie zabraniasz uwierzyć w prawdę.

- Nie śmie - wyszeptał. Jego usta były suche i spieczone. Drżał z zimna, nie przywykły do wiatru smagającego na wpeł nagie ciało. Czy jesteś więc niczym, człowiekiem, który nie ma żadnej kontroli nad swoimi myślami i nie potrafi utrzymać strachu na wodzy? - zapytał tamten ostro i z pewną pogardą.

- Szaleństwo... To jest szaleństwo - Ray zareagował na tę pogardę ze złością, która dodawała mu sił.

Nie. To zdarzało się innym. Powiadam ci, że biegli to czynili.

- I żaden nie wrócił - odparował Ray.

To prawda. Lecz prawdopodobnie żadnemu nie stała się krzywda. Powiedz mi, czy nie jest prawdą, że ciągle żyjesz? A jeśli człowiek żyje, wszystko inne jest możliwe. Gdybyś mógł dostać się do Miasta Słońca, poznałbyś tych, którzy pokazałiby ci prawdziwe ścieżki czasu. Czy ludzie w twoim świecie są takimi ignorantami, że nie wiedzą, iż czas jest wielką spiralą, że skręca się i zawija tak, że jeden czas może prawie dotykać innego. Ktoś może się wtedy przypadkiem prześlizgnąć. Podczas gdy ci, którzy wyruszyli na takie wyprawy nigdy nie wrócili, nasi myśliciele spoglądali w inne czasy i miejsca. Widzieli pola Hiperborei, które odeszły tysiące lat temu i są już tylko legendą. Nie bój się przeszłości; spójrz w przyszłość, na otaczające nas psy Wielkiego Cienia, z którymi przyjdzie nam walczyć tu i teraz. Jest to niebezpieczeństwo większe od tych, przed którymi stawałeś dotychczas! - jego słowa brzmiały twardo i chłodno w umyśle Ray'a. - Przysięgam tobie na Płomień, że to prawda!

Jeżeli naprawdę przedostał się do innego czasu, to był całkowicie sam, niesamowicie zagubiony. Kolejny raz Amerykanin walczył z paniką.

- Nazwali cię Murianinem i lepiej żebyś nim pozostał. Jeśli dowiedzą się, że jesteś skądinąd - wezmą się za ciebie kapłani. A ci z Krainy Wielkiego Cienia...

- Kto to jest Murianin? Przerwał Ray.

- Syn Wielkiej Ojczyzny - tak jak ja. Gdyż ja jestem Cho z domu Słońca w Ojczyźnie. Moi dworzanie są rycerzami samego Re Mu.

- Wielka Ojczyzna? - uczyć się, uczyć, ile tylko mógł. Zakładając, że to wszystko jest prawdą, cała ta wiedza, którą zdoła zgromadzić, może stać się bronią, narzędziem lub obroną.

- Ojczyzna - to ląd na dalekim zachodzie, gdzie - jak głosi legenda - życie zaczęło się od nowa po tym, jak Hiperborea zniknęła. Mu opiekowała się Ziemią, a od jej wybrzeży

wyruszyli ludzie do narodów Mayax, Uighur i Atlantydy. Re Mu rządzi światem, a raczej rządziła dopóty, dopóki ci z Atlantydy nie zaczęli parać się zakazaną wiedzą i wpadli we władanie Cienia - lub oddali mu się z własnej woli!

- Ich pierwszy przywódca - Posejdon - był synem Domu Słońca w Ojczyźnie. Z czasem jego ród wymarł i ludzie wybrali własnego władcę. Miał silną wolę i ogromną żądzę władzy, zszedł więc ze ścieżki życia, by zaatakować mur pomiędzy Krainą Cienia i naszą ziemią. Mur ten był podtrzymywany przez Płomień, by chronić człowieka przed wszystkim co pełza w ciemności. Upił się władzą jak pasterze ze wzgórz upijają się sokiem z trakamomu, aby miewać dziwne sny.

I nie chciał stanąć ponownie w Sali Stu Królów, by otrzymać słowo od Re Mu; wołał pójść własną drogą.

Słuchając, Ray zapomniał o strachu, skupiając się na potrzebie stworzenia wizerunku tego nowego świata, budując tym samym barierę dzielącą go od niebezpiecznych myśli.

- Tak zaczęły się rządy Ba-Al'a, ojca zła, nienawiści, żądz oraz wszystkich tych myśli i pragnień, które wyrządzają tyle nieszczęść. Zaczęło się to skrycie, w podziemiach, jaskiniach a potem coraz jawniej. Rozszerzało się jak zaraza wśród zastępów wojowników, ich przyjaciół oraz żeglarzy.

Tylko Urodzeni w Słońcu pozostali wierni Płomieniowi. W końcu właśnie oni chwycili za miecze i Atlantyda pozostała sama.

Czy toczy się wojna?

Cho potrzęsnał głową. - Jeszcze nie. Ojczyzna obficie obdarowując swe dzieci utraciła tak wiele ze swej siły, że prawie przypomina pustą muszlę. Jej najlepsi ludzie i bogactwa zostały rozproszone pośród kolonii. Teraz jednak Posejdon, wnuk tego pierwszego czciociela diabła jest gotów do zerwania kotary pokoju. Właśnie rzuca wyzwanie - jest to zresztą jedna z przyczyn mojej obecności tutaj.

- Zostałeś pojmany w boju?

- Niestety, nie miałem tyle satysfakcji. Wysłano mnie tutaj do Jałowych Ziemi bym odnalazł tajne forty i twierdze Aliantów oraz miejsca, w których ich okręty mogą chować się pomiędzy rejsami. Byliśmy na wyprawie zwiadowczej wzdłuż wybrzeża, gdy wpadliśmy w zasadzkę piratów. Widząc moje dystynkcje, nie zabili mnie od razu, lecz sprzedali tej Czerwonej Todze za trzy miecze z kuźni Chalibiana i cztery szmaragdy. Zarobili więcej niż mogli za mnie dostać na otwartym rynku w Sanpar - przeklętym miejscu, w którym Królowa-Wiedźma rządzi szumowinami wszystkich narodów. Stało się to o świcie tego ranka.

- Co oni z tobą zrobią?

- Jeśli uniknę ołtarza Ba-Al'a, to zgniję w ich lochach, a raczej tak im się tylko wydaje. Trzy z naszych okrętów zginęły bez wieści i nikt z załogi nie zdołał uciec. Lecz jeśli Płomień będzie mi sprzyjał... - Przerwał gwałtownie.

ROZDZIAŁ 3

Ktoś schodził po drabinie prowadzącej na pokład wioślarzy. Ray usłyszał brzęk zbroi oraz tupot więcej niż jednej pary butów. Dwóch myśliwych przeszło przed nim, niosąc oczyszczoną do gołej kości czaszkę łosia z wielkimi rogami. Położyli ciężar na podłodze i odeszli. Oficer, który szedł za nimi, pozostał, schylając się aby przykryć czaszkę kawałkiem materiału. Wiadomość, pospiesznie przekazana w myślach, dotarła do Ray'a.

- Bądź gotowy, przyjacielu! Kiedy się uwolnisz biegnij do narożnika pokładu, tam gdzie pada cień drabiny. Jeśli nie dołączę do ciebie, wskocz do morza i pływ pod wodą. To będzie o wiele lepsze od wszystkiego co może nas spotkać na tym statku.

Cho nie zapytał nawet, czy potrafi pływać, pomyślał Ray. Ale wzrok Murianina był skierowany na oficera. Pod wpływem tego spojrzenia ruchy Atlanty stały się mniej pewne, mimo że ten nie podniósł oczu i nie zdawał sobie nawet sprawy, że jest obserwowany. Jeszcze przez chwilę poprawiał materiał, aż wreszcie spojrzał na więźniów. Gdy tylko jego oczy napotkały wzrok Cho, podniósł się powoli. Jego ruchy sprawiały wrażenie wykonywanych pod przymusem.

Wpatrzony w oczy Murianina podchodził do nich powoli, krok za krokiem. Zatrzymując się przed Ray'em rozerwał żelazny pierścień krępujący prawy nadgarstek Amerykanina. Po uwolnieniu obu rąk Atlanta przyklęknął na jednym kolanie, aby rozkuć pierścienie na kostkach. Robił to, nie odrywając wzroku od oczu Cho. Ray wstał. Wahał się tylko przez chwilę, po czym szybko ruszył w kierunku cienia, który wskazał Murianin. Obejrzał się. Atlanta właśnie uwalniał Cho.

Nagle oficer poderwał się. Potrząsnął głową i niepewnie unióśł dłonie dotykając swojego czoła. Ray przestępował z nogi na nogę, opierając się rękoma o poręcz. Stało się jasne, że to co sprawiało, że Atlanta był posłuszny woli Cho przestało działać. Ale... Czyżby Murianin znów nad nim zapanował? Możliwe, bo oficer ponownie pochylił się w kierunku pierścienia.

Zakołysał się i gdy odzyskał równowagę uderzył pięścią w twarz Murianina. Drugim potężnym ciosem rozwalil wargi Cho. Ray rzucił się, ale nie w kierunku morza.

- Uciekaj! Nadchodzi strażnik...

Ale Amerykanin nie słyszał końca tego rozkazu, gdyż ruszał do ataku. Jego ramię owinęło się wokół szyi oficera; odciągnął go do tyłu i silnie uderzył w podstawę czaszki. Gdy Atlanta upadał, Ray chwycił miecz zza jego pasa i uderzył ciężką rękojęścią w głowę jego

właściciela.

- Uciekaj rozkazał ponownie Cho, Ray nie odpowiedział.

Odciągnął pierścienie i użył ostrza miecza do ich otworzenia.

- Ruszamy!

Razem pobiegli w kierunku narożnika przy drabinie. Cho uderzeniem otworzył luk w burcie.

Przez te otwory strzelają z miotaczy płomieni. Miejmy nadzieję, że są wystarczająco duże, żebyśmy się przez nie wydostali. - Wyskakuj! umiesz chyba pływać?

- Wcześniej o to pytasz. Ale tak, potrafię.

- No to ruszaj. I spróbuj zostać pod wodą tak długo, jak tylko dasz radę.

Ray precyzyjnie się skulony najbardziej jak tylko mógł, raniąc przy tym swoje nagie barki. Kiedy znalazł się w wodzie, jego nogi i ręce zaczęły machać automatycznie.

Płyn za mną! - Zauważył białe ciało Cho.

Krew uderzyła mu do głowy. Musi nabrać powietrza, po prostu musi! Przeszywający ból oplótł mu żebra. Właśnie w momencie, kiedy myślał, że już dłużej nie wytrzyma, wypłynął na powierzchnię. Gładkie ramiona cięły przed nim fale, wziął je za swojego przewodnika. Mięśnie pleców przeszywał potworny ból, słona woda drażniła twarz i rany na ramionach. Połknął trochę wody i zrobiło mu się niedobrze. Ale płynął dalej, choć jego machnięcia były teraz nierówne. Nie widział ani brzegu ani statku, czasami tylko postać płynącą przed nim. Ray walczył zawzięcie, żeby płynąć dalej z głową nad powierzchnią, odmierzając czas do następnego pociągnięcia ramieniem. Gdyby tylko mógł odpocząć! Dreszcze bólu przeszywały całe nogi, a do ramion jakby ktoś przywiązał ciężarki.

Kolanami boleśnie uderzył w jakąś chropowatą powierzchnię - skały. Piasek wciskał się między stopy. Skupiając całą pozostałą energię, Ray rzucił się do przodu, poddając się sile przybrzeżnej fali. Z ustami i oczami pełnymi piasku; kaszląc i dławiąc się, Ray wyczołgał się z wody i położył się na plaży twarzą do ziemi.

Poruszył się. Sól piekąca rany na twarzy i ciele przywróciła mu świadomość. Oślepiiony palącym słońcem, Ray uniósł się, patrząc dookoła.

Po swojej lewej stronie ujrzał Cho, którego głowa bezwładnie spoczywała na ramieniu. Ray usiadł, wyprostował się i zaczął delikatnie strzepywać piasek z ciała. Doczołgał się do Murianina i chwytając za ramię próbował go podnieść.

- No, dalej, chodźmy stąd - rzekł Ray skrzekliwym głosem, - bo przyślą po nas łódź i zabiorą nas jeszcze raz. - I tak trudno uwierzyć, że udało nam się umknąć tak daleko.

- Nie ma potrzeby - powiedział Cho, podnosząc się, aby spojrzeć w kierunku morza. -

Synowie Ba–Al’a odpływają.

Ray ręką przesłonił oczy przed oślepiającymi promieniami słońca odbijającymi się o powierzchnię wody. Wiosła na statku poruszały się rytmicznie. Niesamowitym wydawało się, że będąc tak blisko uciekinierów, Atlanci nie próbują ich pojmać i odpływają. Dlaczego? Bo zbliża się Łowca.

Wzrok Ray’a podążył za wskazującym palcem Murianina. Daleko na horyzoncie widać było mały jak igła cień. Jest z naszej floty. A te szakale wolą unikać otwartej walki z naszymi statkami. Spójrz jak zmieniają kurs i uciekają.

Aliancki statek ostro skręcał na wschód. Jeśli pojawiający się właśnie statek utrzymałby obecny kurs, to odległość między nimi ciągle by rosła.

- Czy Murianie podążą za nimi?

Nie. Rozpoczynanie ataku jest zabronione. Możemy się tylko bronić, jeśli oni uderzą pierwsi; to wszystko. Ale oni tego nie wiedzą, więc uciekają przed wrogiem, który im dorównuje jak szczury przed rolnikiem wypalającym chwasty na polu. - Cho zaśmiał się, choć był tylko odrobinę rozbawiony.

- Ale skąd się wziął ten muriański statek? Płynie po nas.

- Ale skąd oni o nas wiedzą?

Cho rozłożył ręce w geście zakłopotania. - Jakby ci to wytłumaczyć? Czy ludzie twoich czasów są takimi ignorantami w dziedzinie tak zwykłych zjawisk? Czy można żyć będąc tak ograniczonym? Tak, wydaje się, że wy możecie. Wzywałem ich od czasu gdy mnie pojmano. W końcu mnie usłyszeli i oto płyną.

- Wołasz ich za pomocą myśli?

Tak samo jak rozmawiam teraz z tobą - bez słów.

Musisz nauczyć się naszego języka, ponieważ męczę się zbyt szybko zużywając energię, szczególnie na rozmowy o nieistotnych rzeczach. W ten sposób możemy wzywać kogoś, a ci którzy nas znają mogą nas odszukać. Westchnął i zadał Ray’owi pytanie:

- Dlaczego nie zrobiłeś tak jak cię prosiłem i nie uciekłeś, gdy straciłem panowanie nad tym Atlantą?

- Co ty sobie myślisz, że zostawiłbym cię tak po prostu i uciekłem? - wybuchnął Ray.

Cho przyjrzał mu się dokładnie, ale nie „nadał” swoich myśli do Ray’a. Kiedy odezwał się ponownie, dotyczyło to już czegoś innego.

- Widzisz, mieszkańcy Krainy Cieni umieścili swój odbiornik na najwyższej przełęczy. Nie chcą być wykryci, więc uciekają jak zwierzyna przed gończymi psami.

Wiosła zniknęły gdzieś wewnątrz alianckiego statku, a jednak oddalał się na wschód z

zaskakującą dla Ray'a prędkością. Muriański statek nie zmienił kursu, żeby zbliżyć się do wroga. Kierował się spokojnie ku brzegowi i był już na tyle blisko, że widać było pomarańczową flagę.

- Teraz muszą wziąć się za wiosła - półgłosem powiedział Cho.

W otworach w burcie pojawiły się pióra wiosel pomalowane na szkarłat. Zanurzyły się w wodzie i statek ponownie sunął po morzu, choć z nieco mniejszą prędkością niż wcześniej. Był srebrnoszary i ciął fale, zmieniając je w pianę z majestatyczną dumą, choć w oczach Ray'a statek sprawiał wrażenie do połowy tylko wykończonego brakowało mu masztu. Gdy dopłynął do miejsca, gdzie przedtem znajdował się statek Aliantów, rzucono kotwicę i opuszczono łódź. Szybko wsiadło do niej kilku ludzi i skierowało się ku brzegowi.

Ostatnie silne pociągnięcie wiosel i łódka przecięła przybrzeżną falę. Dwaj mężczyźni wskoczyli po pas do wody i wyciągnęli łódź na brzeg. Ray przyglądał się przybyszom z wielką ciekawością. Oczywiście było, że ci wysocy, młodzi

ludzie byli innej rasy niż ludzie, którzy go wcześniej pojмали. Ich skóra pod złocistą warstwą opalenizny była jasna a ich długie włosy mieniły się od jasnobłond do mahoni.

Tuniki ze skóry pokrywały ich ciała, a każdy nosił miecz. Klejnoty błyszcząły na ich naramiennikach i szerokich kołnierzach. Poruszali się z lekkością i gracją, charakterystyczną dla zawodników judo, których Ray znał ze „swojego czasu”.

Lecz cała ich wyniosłość zniknęła, gdy zbliżyli się do Cho, przyklękając przy nim jakby był czymś drogocennym, co utracili i bali się, że więcej tego nie zobaczą. Gdy Cho przywitał się ze wszystkimi, odwrócił się do Ray'a.

Patrząc na Amerykanina wyciągnął rękę i wypowiedział jakieś życzenie. W odpowiedzi na nie, dowódca łodzi wyjął miecz i położył jego rękojeść w dłoni Cho. Murianin wbił ostrze miecza głęboko w piasek pomiędzy sobą a Amerykaninem. Następnie ujął prawą rękę Ray'a w swoją dłoń, kładąc ją na rękojeści miecza.

Ciągle wpatrując się w Amerykanina zaczął recytować jakąś sentencję, do której dołączyli ludzie stojący za nim. Dowódca zrobił krok do przodu. W dłoni trzymał krótki sztylet. Naciął nadgarstki obu mężczyznom tak, że małe krople krwi zmieszały się na rękojeści miecza.

- W ten oto sposób czynię cię moim bratem miecza i tarczy, jesteś odtąd nowym synem dworu mojej matki, jednej krwi z moimi współziomkami.

Słowa przysięgi zapadły głęboko w umyśle Ray'a. Przez chwilę się wahał; zdał sobie jednak sprawę, że przyjmując to braterstwo, przechodzi przez następne drzwi. Jedna część jego umysłu ostrzegała go, lecz druga temu zaprzeczała, akceptując to, co mogło okazać się

gwarancją bezpieczeństwa w tym obcym świecie. Czy oczekiwano od niego jakiegoś gestu odwzajemnienia? Wiedział, że jest to oficjalny rytuał, który - jak ostrzegł go wewnętrzny głos - mógł nieść za sobą więcej odpowiedzialności niż mógł się domyślać. Ale odpowiedział głośno Tak i wiedział, że Cho zrozumiał.

Już po raz drugi Ray płynął długą łodzią, ale tym razem Cho siedział obok. I nie był już więźniem... a może był? Czy tak naprawdę miał jakiś wybór? Obawę zastąpił jednak cień nadziei, którą poczuł wspinając się za Cho po drabinie na pokład, gdzie tłum powitał okrzykami radości przybycie Murianina. Następnie zeszli na dół do wielkiej kajuty, która już za moment pochłonęła całą jego uwagę.

Ray podejrzewał, że według standardów jego czasów uznano by ją za barbarzyńską, ze względu na zbyt rozrzutne użycie metali szlachetnych i jasnych kolorów. Nie była ona jednak orientalna, nie przypominała także żadnego narodowego stylu sztuki, jaki widział w swoim życiu; znał się trochę na sztuce dzięki fotografii.

Ściany pokryte były boazerią z matowoczarne drewna, inkrustowanego zawilými wzorami, łączącymi w sobie perły z jasnymi farbami i emalią. Pomiedzy wzorami wisiały długie zasłony ze wspaniałych tkanin. Stół z tego samego drewna co boazeria zajmował drugi koniec kabiny, po obu stronach stały długie ławy oraz krzesło z wysokim oparciem.

Z belek nad nimi zwisały dwie filigranowe kule świecące różowym światłem. Łańcuchy, do których były zawieszzone, kołysały się w rytm statku, dając złudzenie, że światło na przemian jaśniało i bledło.

Gdy Ray zatrzymał się rozglądając się dookoła, Cho podszedł do stołu. Nalał trochę płynu z karafki do kieliszka, słuchając w międzyczasie młodego oficera, którego przedstawił Ray'owi jako Han'a. Nagle Murianin postawił karafkę z brzękiem, wydał dźwięk brzmiący jak protest i zwrócił się do Ray'a:

- Wzywają nas z powrotem. Morza na północy i wschodzie zostały zamknięte, co oznacza...

- ...Wojnę! - zaryzykował stwierdzenie Amerykanin. W tym świecie czy innym, w jednym czasie czy w innym - pomyślał przygnębiony - wojna wydawała się być wszechobecna.

Cho skinął głową. - Jeśli taka jest wola Re Mu? Ale najpierw wracamy do domu - odwrócił się do Han'a zadając mu kilka pytań.

Ray poczuł silną wibrację dochodzącą przez ściany i przez podłogę kajuty. Oparł się jedną ręką o boazerie, jakby nagle nie był pewny swej równowagi. Przyglądał się jednej z ław, uznając ją za bezpieczniejsze oparcie. W tym momencie Han poruszył się gwałtownie

unosząc rękę, jakby chciał odparować cios. Wykrzywił usta w grymasie bólu, po czym skłonił tylko głowę do Cho, odwrócił się i odszedł. Cho z kamienną twarzą przyglądał się, jak odchodzi.

- Lanor był jego bratem miecza. Uratował mi kiedyś życie, zasłonił mnie, sam ponosząc śmierć od pirackiego noża wbitego w gardło. Han wciąż go oplakuje. Ale spłacimy dług, gdy staniemy miecz w miecz przeciwko tym od Ba-Al'a i wyrównamy rachunki w imię sprawiedliwości. A teraz zjedz coś i napij się. Potem pójdziemy spać, bo żaden mężczyzna nie czuje się dobrze, gdy jest głodny i zmęczony.

Pili wino -jak sądził Ray - z kielichów misternej roboty i jedli z mis, które były istnymi dziełami sztuki. Chociaż, kiedy Ray już im się przyjrzał, bardziej interesowała go zawartość naczyń niż one same. Gdy tylko zaspokoił głód i pragnienie, podniósł wzrok na ścianę znajdującą się za Cho. Zauważył, że deski boazerii były tam trzy razy szersze, a pokrywający je wzór to nie dekoracja, lecz mapa.

Ray pochylił się do przodu, a jego oddech stawał się coraz szybszy w miarę gdy przyglądał się liniom brzegowym lądów na tej nieprawdopodobnej mapie. Część z nich - ale jakże mała - była znajoma. Były tam dwa kontynenty - na północy i na południu - ale mgliście przypominały te, które znał Ray. Mississippi, Ohio oraz większość północno-wschodniej i południowej części Ameryki Północnej znajdowała się pod powierzchnią morza, podczas gdy Alaska łączyła się wyraźnie z Syberią. Centralna i południowa część Brazylii stanowiła ocean zamknięty dookoła lądem. Bilans zatopionych lądów wyrównywały dwa nowe kontynenty jeden na wschodzie, drugi na zachodzie tworząc na mapie układ przypominający kształtem diament z lądem w każdym wierzchołku.

Mapa ta - bardziej niż wszystko, co w ciągu minionych dwóch dni widział sprawiła, że odczuł zaszła zmianę.

- O co chodzi? - Cho odstawił kieliszek i cofnął rękę. Ray nie wiedział co Murianin wyczytał z jego twarzy, ale szok jakiego doznał, z pewnością był na niej widoczny.

- To... ta mapa.

Murianin obejrzał się przez ramię. Bardziej dekoracyjna niż użyteczna, obawiam się skomentował.

- Więc... więc ten świat tak nie wygląda? Amerykanin zaczął oddychać trochę swobodniej.

- Wygląda. Z tym, że nie jest to mapa, według której można by wytyczyć kurs dla jakiegokolwiek statku. Generalnie jest jednak dość ścisła. Spójrz - Cho podszedł do ściany tutaj są Jałowe Ziemie. - Czubkiem palca objechał teren obejmujący pozostały fragment

Doliny Ohio i ziemie na północy.

- Przyjeżdżają tu myśliwi i banicy ale nie ma regularnych osad. Jest to zbyt surowy rejon, by przyciągnąć wielu ludzi. Raczej tylko tych, którzy czują potrzebę ukrycia się na odludziu albo tych, którzy chcą prowadzić tam badania. A my jesteśmy mniej więcej tutaj - przesunął palec w dół, na morze.

- Kierujemy się na Południe, żeby przepłynąć Morze Wewnętrzne - jego palec podążył szybko w kierunku Brazylii.

- To jest Mayax, wierny Ojczyźnie, silny i bogaty. Następnie przepłyniemy przez zachodnie kanały na Ocean Zachodni i dalej do Mu celem ich podróży był ląd na zachodzie.

- A Atlantyda leży na wschodzie? stwierdził raczej niż zapytał Ray.

- To prawda. Czy to, co widzisz, jest tak różne od lądów z twoich czasów, że patrzysz na to z takim przerażeniem? Dlaczego?

Ponieważ - Ray szukał odpowiednich słów - ponieważ trudno uwierzyć, że człowiek może sobie chodzić, zajmując się swoimi codziennymi sprawami, po lądzie, który doskonale zna, a za moment znajduje się w świecie, w którym wszystko jest tak różne. Wszystko, co tutaj widnieje jako morze - teraz on zbliżył się do mapy jest dla mnie lądem. I to gęsto zaludnionym, z wieloma rozbudowującymi się miastami - zbyt wieloma. Ludzie uważają, że wzrost liczby ludności jest wielkim zagrożeniem. Tutaj także jest ląd - przykrył dłonią fragment morza, gdzie powinna znajdować się Brazylia. - Ale nie ma ani Atlantydy, ani Mu, tylko ocean i porozrzucane wysepki.

Usłyszał ciężkie westchnienie Cho. - Jak wielki okres czasu musi dzielić nasze światy, bracie! Takie zmiany na powierzchni planety nie zachodzą łatwo. Powiadasz, że Atlantyda w twoim świecie jest tylko bajką. Czy znasz jej zakończenie? Czy mówi się coś o Mu, Ojczyźnie?

- Istnieją opowieści o Atlantydzie uważane tylko za bajki, ponieważ nie ma żadnych dowodów. Mówi się, że zniknęła pod powierzchnią mórz w falach przyływów i wskutek trzęsień ziemi; a wszystko to z powodu nikkzemności swoich mieszkańców. Ten ocean w moich czasach nazywa się Atlantykiem ze względu na przekonanie, że Atlantyda leży gdzieś pod nim. O Mu nigdy nie słyszałem.

- Co robiłeś w tej waszej północnej krainie, bracie? Byłeś wojownikiem? Kiedy powaliłeś tego Atlantę, użyłeś jakiegoś dziwnego ciosu. Nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałem.

- Przez pewien czas byłem wojownikiem. Potem moja rodzina miała trochę kłopotów i byłem potrzebny w domu.

- Potrzebny w domu... A teraz - kiedy nie możesz być w domu?

Ray potrząsnął głową. - Teraz to już przeszłość - nie chciał o tym myśleć. - Właśnie miałem wrócić do armii, kiedy to się stało. Stawiano właśnie nowe budynki według projektu rządowego. - Nie wiedział, ile z tego zrozumie Cho, ale czuł potrzebę wyrażenia tego słowami. - Kiedy zaczęli oczyszczać teren, wyniknął problem z powodu jakiegoś starego indiańskiego kopca. Ludzie protestowali przeciwko zrównaniu go z ziemią przed dokładnym przebadaniem. Les Wilson - człowiek, którego znam - próbował ich powstrzymać. Pisał artykuły na ten temat i chciał mieć kilka dobrych zdjęć tego kopca. Obiecałem, że je zrobię. Właśnie się tym zajmowałem, gdy nagle - znalazłem się w lesie pomiędzy największymi drzewami, jakie widziałem w życiu. Oto i cała historia. A ja wciąż nie wiem, co się stało i dlaczego.

Cho wyglądał na zakłopotanego. - Zdjęcia indiańskiego kopca...? - powtórzył powoli jakby zupełnie zdezorientowany.

- Jest takie urządzenie w moich czasach - tłumaczył Ray. - Używa się tego do utrwalania wyglądu różnych przedmiotów; to taki popularny sposób prowadzenia zapisów wzrokowych. A Indianie byli rodowitymi mieszkańcami tego północnego kontynentu i to oni byli w posiadaniu tej ziemi, kiedy moi ludzie przybyli ze wschodu, żeby ją skolonizować przed czterema wiekami - to znaczy czterysta lat temu. Niektóre z wczesnych plemion, które zginęły, jeszcze zanim przybyli osadnicy mojej rasy, budowali wielkie kopce z ziemi istniejące po dziś dzień, a my je badamy, próbując dowiedzieć się czegoś więcej o ludziach, którzy je budowali.

- Skoro świat jest o tyle starszy w twoich czasach - mówił powoli Cho - to istnieją z pewnością pozostałości po wielu, zaginionych ludach, o których możecie się wiele dowiedzieć.

- Tak, w wielu miejscach są ruiny i grobowce po dawno zapomnianych ludach. O niektórych plemionach wiemy tylko na podstawie kilku rozrzuconych kamieni, które wskazują, że człowiek kiedyś coś w tym miejscu budował. Czasami po prostu nie zostaje nic więcej.

- Czujesz upodobanie do zajmowania się tym co przeminęło wcześniej?

Ray wzruszył ramionami. - Nie jestem archeologiem. Ale czuję coś pociągającego w takich poszukiwaniach. Poza tym dużo na ten temat czytałem. Jeszcze tak niedawno miałem mnóstwo czasu na czytanie. - Jeszcze raz odepchnął wspomnienia.

- Bracie, mógłbym spróbować powiedzieć tobie wiele słów - Murianin przyglądał się mu z powagą - ale słowa nie rozgonią myśli, choćby nie wiem z jak dobrą intencją były

powiedziane. Walczysz teraz na polu, gdzie żaden brąz miecza mimo szczerych chęci nie może stanąć po twojej prawej czy lewej stronie, bo to jest tylko twoja bitwa. Ale cóż, każdy dzień ma swoje złe strony. Zapomnij o tym na jakiś czas, jeśli potrafisz - rozpostarł ramiona zakrywając mapę i chodźmy spać.

Ray podążył za nim do małej bocznej kajuty znajdującej się za jedną z zasłon, gdzie były dwie koje. Cho ściągnął resztki podartej na strzępy, przemoczonej tuniki.

Odpoczywajcie dopóki możecie - to chyba najlepsze motto na nadchodzące dni. Nikt nie wie, co przyniesie następny ranek.

Ray niechętnie wcisnął się do gniazdka z miękkich narzut. Zamknął oczy, ale nie znalazł spoczynku dla swych myśli.

- Więc, co tam masz? - Hargreaves opadł na krzesło. Jego ciemny zarost podkreślał cienie pod oczami. Mrugał powoli, jak gdyby otwieranie oczu i utrzymanie ostrości było poza zasięgiem jego możliwości.

- Wiemy już, kim jest ten człowiek. Nazywa się Ray Osborne. Wilson zlecił mu zrobienie kilku zdjęć tego kopca. Jest znajomym Wilson'a, dorywczo zajmuje się robieniem zdjęć dla miejscowej gazety.

- Gazeta! - wykrzyknął Hargreaves ochryłym głosem. - To trzeba mieć pecha, żeby wmieszać w to gazetę. Potrzebne nam to mniej więcej tak jak bomba atomowa! - Zaczął grzebać w opakowaniu po papierosach, odrzucając je ze złością, gdy odkrył, że jest puste. Przypuszczam, że zniknięcie Osborne'a jest głównym tematem wiadomości od wschodu do zachodu?

- Jeszcze nie. Mamy odrobinę szczęścia. Osborne nie dostarczył im zdjęć dziś rano, a ja powiadomiłem Wilson'a, że je skonfiskowaliśmy, a Osborne jest w areszcie za naruszenie prawa - rzekł w odpowiedzi Fordham.

- W imię Judasza, dlaczego? To sprowadzi na nas całą tę sforę szczekającą o wolności prasy i całej lej reszcie, o której zwykle gładzą!

Dyrektor potrząsnął głową. - Nie. Połknęli naszą historyjkę, że prowadzone tam prace są ściśle tajne. Według naszej wersji Wilson wysłał tam Osborne'a wiedząc, że teren jest zamknięty i kazał mu trochę powęszyć. To daje nam trochę czasu, bo Wilson był już wcześniej ostrzegany przed naruszaniem tajemnic państwowych. Na szczęście Osborne był sam.

- Na ile jednak sam? Niech Wilson podburzy jego rodzinę - a jakiś prawnik będzie tutaj za godzinę, ujadając przed bramą.

- Wystarczająco sam - Fordham podniósł z biurka kartkę papieru i zaczął czytać: - Ray

Osborne - syn Langley'a i Janet Osborne, starej rodziny pochodzącej stąd, nie ma żadnych krewnych bliższych od kuzynów z drugiej linii. Urodzony w 1960 - czyli ma teraz około dwudziestki. Przez rok studiował w college'u, potem zaciągnął się do armii. Służył sześć miesięcy za oceanem. Specjalista w walce wręcz, świetny zwiadowca, zainteresowany fotografią. Dziesięć miesięcy temu jego rodzice mieli wypadek samochodowy, ojciec zginął, matka ciężko ranna. Czerwony Krzyż zwolnił go z armii i obarczył opieką nad matką, gdyż nie było nikogo, kto mógłby się nią zająć. Wrócił tutaj, podjął dorywczą pracę i opiekował się matką-inwalidką. Zmarła miesiąc temu. Powiedział wydawcy gazety, że ma zamiar wrócić do służby wojskowej. Nie ma żadnych bliskich przyjaciół, służba w armii i sytuacja związana z chorobą matki były powodem zerwania wszystkich wcześniejszych znajomości. Cichy typ faceta, dużo czytał, podróżował stopem po kraju, robiąc zdjęcia. Nie sprawiał kłopotów, ogólnie akceptowany; nie ma nic „mocnego” ani za ani przeciw niemu.

Hargreaves wyprostował się trochę na krześle. - Cóż, skoro już wysłaliśmy człowieka, to - gdziekolwiek się on udał - mamy szczęście, że był to Osborne. Nie ma rodziny, przyjaciół, którzy sprawialiby kłopoty. Ciekaw jestem... wpatrywał się w ścianę ale oczywistym było, że jej nie widzi.

Tak? zachęcił po długiej przerwie Fordham.

- Powiadasz, że mówił ludziom o swoich planach powrotu do armii... Sądzę, że można to tak załatwić, żeby wyglądało, że to zrobił. Niech teraz papiery „popracują za nas” - uczynimy go naszym człowiekiem, a potem będziemy mogli utrzymać całą historię w tajemnicy do czasu, gdy go wydostaniemy. Te mądralę naprawdę go chcą, i to bardzo. Z tym co będzie miał nam do powiedzenia wart jest dwunastu platform w przestrzeni kosmicznej i jednej stacji na księżycu. Musimy mieć go z powrotem i wycisnąć z niego wszystko, do ostatniego oddechu, jaki wziął tam gdzie jest.

- Jeśli się uda!

- Musi. To rozkaz. Nie martw się, przyślą ci wszystkich ludzi i każdy materiał, jakiego tylko będziesz potrzebował, żeby to zrobić. Czy zdajesz sobie sprawę, że jesteśmy właśnie na tropie czegoś, o czym wschodnie mocarstwa nawet nie śniły? I to jest tylko nasze!

- A jeśli on nie żyje?

To musimy odzyskać chociaż jego ciało. Prawdopodobnie już wkrótce będziemy mogli znowu uzyskać wiązkę promieni. Ale to otworzy zaledwie bardzo ograniczony obszar. A jeśli on się oddalił o wiele mil? Nie będzie sposobu, żeby udać się jego śladem.

Hargreaves rozluźnił krawat jeszcze bardziej, tak, że jego wiązanie zwisało luźno na poplamionej koszuli.

- Obecnie pracują nad tym w inny sposób. Ty zajmij się otwarciem „drzwi”, a oni być może opracują do tego czasu metodę znalezienia „naszego” człowieka. Ale tym razem lepiej niech nam szczęście dopisze.

ROZDZIAŁ 4

Sen o drzewach, o biegu po pokrytej mchem ścieżce pomiędzy ogromnymi pniami o ucieczce przed czymś, czego nie widział... Ray obudził się. Za wąskim świetlikiem wychodzącym na morze nadal trwała noc. Druga koba była pusta, jego towarzysz gdzieś zniknął. Tym razem obudził się ze wszystkimi zmysłami w stanie pogotowia. Wiedział już, gdzie się znajduje i jakby dzięki fragmentom tego niepokojącego snu, które zostały w jego umyśle zaczynał akceptować powoli całą tę sytuację. To była terażniejszość i była tak realna jak tkanina pod dłonią, gdy podnosił się z koi.

Sięgnął po kilt, który odrzucił gdy kładł się spać, lecz znalazł inne ubranie. Ubrał się, niezręcznie manipulując sprzączkami i klamrami. Gdy obwiązał kostki rzemykami sandałów, zauważył, jakie są lekkie. Następnie wyszedł do zewnętrznej kajuty.

Różowe światło stało się silniejsze z nadejściem ciemności. Tu również nie było nikogo. Powinien wyjść na pokład czy czekać tutaj? Dzięki tej chwili wahania spostrzegł wypolerowaną powierzchnię zwierciadła. Kierowany nagłym impulsem podszedł i spojrzął.

Z lustra patrzył na niego obcy chudy mężczyzna z zaczerwienioną od słońca skórą i zmierzwionymi brązowymi włosami. Skromna szara tunika okrywała ciało, które mimo tego że szczupłe, wydawało się wytrzymałe. Srebrne klamry wysadzone gęsto zielonymi kamieniami połyskiwały na ramionach, a ozdobiony tymi samymi klejnotami pas opinał jego talię. Poczuł się nagle zawstydzony, zażenowany. To nie był Ray Osborne. Pewność siebie, z którą obudził się rano, zaczęła słabnąć. Gdy gwałtownie odwrócił się od lustra, ktoś otworzył drzwi kajuty.

Ray szeroko otworzył oczy. Oczywiście był to Cho, lecz w niczym nie przypominał sponiewieranego towarzysza niedoli. Czerwonozłota tunika przylegała do ciała. Zdobione opaski otaczały nadgarstki i ramiona. Rękojeść miecza i podtrzymujący go pas połyskiwały lodowato. Zaczesane w tył włosy podtrzymywała opaska, odsłaniając twarz, na której znać jeszcze było ślady posiniaczeń. Podobnie jak kajuta oraz jej umeblowanie, jego okazały wygląd miał w sobie coś z bogactwa wzorów i barw, które w czasach Ray'a uważano za barbarzyńskie.

Murianin roześmiał się. - Wyglądasz na zaskoczonego, bracie. Czyż ubiór tyle czyni z człowiekiem? Ten jest właściwy mojej randze. Sprawiasz wrażenie prawdziwego Murianina, a raczej będziesz sprawiał, gdy urosną tobie włosy. Są zbyt krótkie jak na wolnego wojownika. A teraz... jedzenie!

Cho klasnął w dłonie i do kajuty wszedł mężczyzna w prostej tunice niosąc tacę. Murianin szerokim gestem zaprosił Ray'a do stołu zastawionego obficie misami i pucharami. Rozpoznanie zawartości tych naczyń było dla niego trudne, jeśli nie niemożliwe. Wcześniej jadł kierowany głodem i zmęczeniem, widząc tylko, że była to żywność. Teraz był bardziej uważny. Był tam gulasz i półmisek ze smażonym mięsem pociętym już na porcje w wielkości kęsa. Małe ciasteczka zanurzone były w oddzielnych miseczkach z rzadkim dżemem, a do tego wszystkiego cierpkie wino.

Murianin westchnął, gdy skończył. - Brakuje nam tylko świeżych owoców. Lecz byłoby to zbyt wiele dla statku przebywającego tak długo na morzu. Czy wypocząłeś?

- Śniłem - nie wiedział dlaczego to powiedział i zdziwiła go ostrość następnego pytania Cho.

- O czym śniłeś, bracie? - jego ton był tak rozkazujący, że Ray odpowiedział bez wahania.

- O drzewach w lesie, które widziałem, gdy znalazłem się w tym czasie, o biegu między nimi, gdy za mną...

- Za tobą? - Murianin był ciągle stanowczy. - Co za tobą? - zapytał ponownie, gdy Ray nie odpowiedział od razu.

Amerikanin wzruszył ramionami. Nie wiem co, poza tym, że przed tym uciekałem. Nieważne, to był tylko sen. - Był zaskoczony, że tamten wydawał się traktować sprawę tak poważnie.

- Tylko sen dlaczego tak mówisz, bracie? Sny to duchowe przewodniki każdego człowieka. One ostrzegają, pokazują uczucia, których nie znają nasze umysły na jawie. Czy ludzie w twoich czasach nie zastanawiają się nad znaczeniem snów?

Nie w ten sposób. W każdym razie to było zupełnie naturalne, że śniłem o ucieczce przed jakimś tajemniczym niebezpieczeństwem w lesie, przyglądając się, jak to wszystko się dla mnie zaczęło.

Prawdopodobnie masz rację odpowiedział Cho, lecz nie wydawał się być przekonany. - Wyjdziemy na pokład? zapytał Ray'a.

Podał mu płaszcz, a drugi zabrał dla siebie. Księżyc w pełni wisiał nad statkiem, a jego jasne promienie przecinały dryfujące obłoki. Wiosła były złożone, statek jednak płynął dalej, mimo że nie wyciągnięto żadnego żagla. Ray zdawał sobie sprawę, że wszechobecna wibracja na statku musiała pochodzić z jakiegoś mechanicznego napędu. Cho stał już przy sterniku, gdy Ray podszedł do niego.

- Co napędza statek, gdy wiosła są złożone?

- To Cho odpowiedział ochotczo, wskazując w dół na śródokręcie. W przejściu między ławkami wiosłarzy znajdował się na wpół otwarty luk, przez który Ray zajrzał do małej kabiny o ścianach z metalu. Apu, zastępca Cho, manipulował dźwigniami przy brzęczącej i warkoczącej skrzyni, z której pochodziła wibracja.

- To nasz odbiornik energii. Fale energii wysyłane są przez stacje na lądzie i wychwytywane przez okręty. Nie możemy z nich korzystać blisko wybrzeża oraz w portach, a starsze okręty nie są w stanie odbierać energii nawet na Morzu Wewnętrznym. Tam posługują się wiosłami. Każdy z naszych statków ma wyznaczoną długość fali i godziny, w których może je odbierać, chyba że jest w niebezpieczeństwie.

Han przeszedł przez pokład z wiadomością. Ray czuł się niezręcznie ze swoją nieznajomością języka, gdy Cho tłumaczył dla niego.

- Na zachód od nas zauważono statek. To nie może być żaden z naszych, ponieważ wezwanie wysłano dawno temu. Mogą to być piraci... lub Atlanci. Nie możemy próbować nawiązać z nimi łączności, by nie sprowokować ataku...

- Przerwał mu krzyk Han'a. W oddali ponad falami czarnego morza rozbłysło pomarańczowe światło. Cho krzykiem wydał rozkaz i chwilę później z dziobu wystrzelono zielony jaskrawy promień. Światło na morzu przygasło, a zaraz potem zajarzyło się na czerwono.

Cho wydawał rozkazy. Ray cofnął się, by nie stać na drodze członkom załogi, którzy w biegu zajmowali różne miejsca. Snop zielonego światła z ich statku stał się perłowo-biały, zmieniając noc panującą przed statkiem w dzień - pozostawiając jednak własny okręt w mroku. Tamci odpowiedzieli na to białym światłem.

Napięcie zniknęło z twarzy Cho. - To jednak jeden z naszych, atlanckie statki nie są w stanie naśladować tego sygnału. Musimy dowiedzieć się, jakie mają zadanie i dlaczego ciągle jeszcze są tutaj, mimo że wszystkie statki odwołano.

Strumień ciągłego światła z ich statku zamienił się teraz w serię błysków. Gdy tamci odpowiedzieli w podobny sposób, Cho odczytał dla Ray'a wiadomość „Okręt wojenny Ognisty Wąż, uszkodzony przez sztorm, możemy się poruszać tylko za pomocą wiosł. Kim jesteście?”

Nadaj, że im pomożemy - Murianin polecił Han'owi. I tym razem Ray ku swemu zdziwieniu zrozumiał jego słowa. Światło w oddali zabłysło ponownie.

- Statek bardzo uszkodzony. Nie możemy wpłynąć na Morze Wewnętrzne. Urodzona w Słońcu Ayna mówi: żegnajcie...

Raz jeszcze Cho wydał rozkazy. Ich okręt zmienił kurs na zachód i skierował się na

snop światła.

- Zabierzemy załogę na pokład a następnie zatopimy ich okręt - powiedział Cho. - Nie możemy zostawić ich bez pomocy, gdy te wilki z Czerwonego Łądu są w pobliżu. Przy odrobinie szczęścia Lady Ayna cofnie wydany wcześniej rozkaz.

- Kobieta dowodzi statkiem? - zapytał Ray.

Ależ oczywiście. Wszyscy Urodzeni w Słońcu mają obowiązek wobec Re Mu. Być może właśnie kobieta zostanie któregoś dnia wysłana jako jego rzecznik do jednej z kolonii. Jak więc mogłaby dowodzić flotą, gdyby wcześniej nie dowodziła okrętem? - zapytał zaskoczony Cho. - Czyż nie jest tak wśród waszych ludzi?

Nie. Przynajmniej nie w moim narodzie.

- Wiele musi być różnic między nami. Pewnego dnia je porównamy. Lady Ayna jest z Domu Słońca w Uighur. Nigdy jej nie spotkałem, aczkolwiek wiele słyszałem o jej mądrości i odwadze. Jeśli to będzie konieczne, zniszczy swój okręt własnymi rękami.

Przyspieszyli, wiodące ich światło ciągle jaśniało. Han stale wysyłał sygnały przy pomocy ich własnego promienia, a w przerwach ponad falami nadchodziły odpowiedzi. Nagle Cho krzyknął coś do Apu obsługującego odbiornik. Następnie wyjaśnił Ray'owi: zostali zauważeni przez statek nieprzyjaciela. To będzie wyścig o to, kto dotrze do nich pierwszy.

Pod ostrym dziobem fale piętrzyły się białą pianą. Na pokładzie załoga zajęła stanowiska bojowe; stali z wysokimi tarczami, mieczami zwisającymi w pochwach, a niektórzy krzatali się przy niskich lecz szerokich maszynach.

Widzieli już Ognistego Węża skąpanego w blasku swych własnych świateł sygnalizacyjnych. Był tak mocno zanurzony, że śródkręcie miał prawie zalane. A gdzieś w ciemnościach musiał kryć się nieprzyjaciel skradający się, by zaatakować swą ofiarę.

Rozkazy Cho przekazywane były załodze przez oficerów. Ray był już w stanie rozróżnić postacie, których cienie migotały na pochylonym pokładzie skazanego na zagładę okrętu. Na wodę spuszczone małe łodzie. Wszystkie oprócz jednej kierowały się w stronę ich okrętu. Cho wskazał na tę, która pozostała.

- Ta czeka na Lady Ayn'ę - ona musi zniszczyć swój statek.

Po pokładzie, teraz już zalanym, pędziła wątła postać, by dotrzeć do czekającej łodzi. Dzięki silnym pociągnięciom wioślarzy, mała szalupa szybko oddalała się od tonącego statku. Nastąpiła chwila zupełnej ciszy. W świetle padającym z opuszczonego górnego pokładu widać było szalupy zmierzające w ich stronę. Nagle w górą wystrzelił słup purpurowego ognia, zalewając niebo i morze złowieszczym blaskiem. Ognisty Wąż z hukiem zniknął w morskiej toni.

Pierwsi rozbitkowie wspinali się już po burcie okrętu Cho, a on jako dowódca wyszedł ich powitać. Gdy podszedł, przybysze wykrzyknęli jakąś formułkę i podnieśli ramiona, aby zaszalutować. Następnie pojawił się oficer. Wychylił się za burłę, żeby pomóc następnej osobie i po chwili na pokładzie stanęła Urodzona w Słońcu Lady Ayna.

Była drobna, niezbyt urodziwa, lecz nosiła się tak, jak według wyobrażeń Ray'a mogła nosić się cesarzowa. Miała ciemne włosy; nie nosiła hełmu. Sznur pereł, którego końce wplecione były w warkocze, spoczywał na czole, podkreślając jej rangę. Nosiła sięgającą kolan tunikę, na piersiach i plecach okrytą zbroją.

Bądź pozdrowiony Lordzie Cho! - rzekła wyraźnie swym niskim, czystobrzmiącym głosem.

Jako że Ognisty Wąż nigdy już nie popłynie, błagam cię o życzliwość dla tych ludzi, dla mojej załogi.

Znów, co Ray'a bardzo zaskoczyło, wypowiedź była dla niego zrozumiała, choć był pewien, że ona nie nawiązała z nim kontaktu myślowego.

W odpowiedzi Cho uniósł palce do czoła. - Lady Ayna'o Urodzona w Słońcu Uighur. rzeknij tylko, jakie są twoje życzenia. Ten okręt i jego załoga są na twe rozkazy.

Dziewczyna roześmiała się, tracąc przy tym część ze swej chłodnej wyniosłości. Płynmy więc. Lordzie Cho, żeby nie przydarzyło się coś gorszego. Jeden z Czerwonych węższy w pobliżu zwabiony przez nasze sygnały.

Cho skinął głową i wydał rozkazy. Lady Ayna skinęła na swoich oficerów. To jest Hek a to Ramacha.

Teraz Cho przedstawił swoją załogę. Na końcu dłoni Murianina spoczęła na ramieniu Ray'a, przyciągając Amerykanina bliżej. A to jest mój brat miecza - Ray.

Lady Ayna uśmiechnęła się. - Rada jestem, że mogę was poznać mościpanowie, choć pragnęłabym, byśmy spotkali się w bardziej sprzyjających okolicznościach i z lepszej przyczyny. Wydaje się, że Atlanci dążą do otwartej wojny.

Wszystko na to wskazuje. Czy zechcesz zaszczyścić swoją obecnością naszą kajutę?

Pewnym krokiem jak ktoś kto na okręcie czuje się jak w domu zeszła do wielkiej kajuty, gdzie Cho wskazał jej wysokie krzesło i polecił, by przyniesiono wino.

Czy prawdą jest, iż odważyli się otwarcie zaatakować „białego ptaka?” zapytała biorąc mały łyk z podanego jej pucharu.

- Z tego powodu wysłano wezwanie. Jeśli tak się stało, to z pewnością musieli w końcu ściągnąć cały gniew Re Mu.

Zmarszczyła brwi obracając w dłoni naczynie. - Mieszkańcy Krainy Cienia odkrywają, że

choć Matka długo była spokojna, jej cierpliwość kończy się. Ci którzy ocaleją, nie prędko zapomną karę, która nadejdzie. Czy to prawda Lordzie Cho, że byłeś więźniem Czerwonych?
- takie doszły nas wieści.

W odpowiedzi Murianin uniósł dłoń. Na nadgarstkach ciągle widoczne były ślady rzemieni.

- Dziesięć dni przytrzymywali mnie piraci, by potem sprzedać Atlantom.

- Więc to prawda! - westchnęła. - Ośmielili się podnieść rękę na jednego z Urodzonych w Słońcu, traktując go jakby był wyjętym spod prawa człowiekiem bez domu! Jak więc odzyskałeś wolność?

- Z pomocą Płomienia, działającego na ich mroczne umysły...

Jej oczy zabłysnęły. - Tak! ciągle jeszcze nie wiedzą, jak się przed tym bronić, choć próbują. Nawet sam Ba-Al jest wobec tego bezsilny. Tak więc uciekłeś...

- Również dzięki pomocy mego brata. Ponownie dotknął ramienia Ray'a. - Byłem prawie wyczerpany ze zmęczenia i pod koniec nie mogłem utrzymać mocy, lecz wtedy on mnie uwolnił.

- Po tym, jak ty uwolniłeś mnie pierwszy - skorygował Ray.

Po tych słowach Lady Ayna zwróciła całą swą uwagę na niego. - Kim jesteś ty, który nie mówisz językiem żadnej z naszych krain? Z jakiego statku przybyłeś Lordzie Ray?

- Z żadnego statku...

- Skąd więc? Nie znam żadnej kolonii w Jałowych Ziemiach...

- Przez czas, z dalekiej przyszłości, jak sędzę. Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, jednak to musi być prawda. Nie ma innego wytłumaczenia. Byłem w moim czasie, nagle znalazłem się w lesie, potem zostałem pojmany przez atlanckich myśliwych. Zabrali mnie na swój statek, na którym był już Cho.

Cały czas przyglądała mu się poważnie, jakby mogła czytać w jego umyśle, zważyć i ocenić każdą jego myśl. - To prawda! Słyszałam, że Naacal'owie opowiadają o takich podróżach w swoich klasztornych szkołach. Lecz żaden z tych, którzy odważyli się to sprawdzić, nie wrócił jeszcze. A Ty nie wyglądasz na jednego z naszych. Przebyłeś więc długą drogę i źle wybrałeś swój czas lub przypadek źle wybrał go za ciebie.

Ray'a zdziwiło spokojne przyjęcie przez nią czegoś, co on ciągle uważał za najbardziej nieprawdopodobne wytłumaczenie. Jak przyjęto by Murianina tak samo doświadczonego przez los, gdyby znalazł się w świecie Ray'a? Wolał o tym nie myśleć, może on miał szczęście...?

Lady Ayna wstała. - Dziękuję za twą pomoc Lordzie Cho. Muszę teraz wysłać raport

do Wielkiej Ojczyzny. Czy macie kajutę, w której mogłabym odpocząć?

Cho odłonił kotarę i wskazał jej gotową koję. Weszła do środka i przystanąła na chwilę zjedną ręką gotową do zasłonięcia draperii. - Niech szczęście będzie z wami od teraz na zawsze - powiedziała opuszczając kotarę.

Godzinę później Ray siedział przykucnięty ramię w ramię z Cho na dziobie Władcy Wichrów. Ich ciężkie płaszcze były wilgotne od rozpryskującej dookoła wody. Księżyc zakrywały gromadzące się chmury. Choć nic nie widzieli, byli przekonani, że gdzieś w tych ciemnościach nieprzyjacielski statek stara się przeciąć ich kurs.

- Jeśli zaatakowalibyśmy ich z determinacją, uciekliby jak tchórzliwi padlinożercy z równin. Nawet gdyby rzucili wyzwanie do walki teraz, gdy jesteśmy samotni na morzu - byłoby to szaleństwem. O ile wiemy, oni są tylko zwiadem floty, która może się na nas nagle rzucić jak kondory z Mayax na ofiarę pumy.

- A jeśli zaatakują?

Murianin zaśmiał się krótko - niechby tylko spróbowali.

Cała załoga stanęła do broni już wtedy, gdy poszukiwali Ognistego Węża, a mimo że Władca Wichrów był z powrotem na swym dawnym kursie, ludzie nadal zajmowali swoje stanowiska bojowe; tarcze były wzniesione, a maszyny w ruchu. Po kolejnym rozkazie zabrzmiał cichy gong i po obu stronach ławek wioślarzy wzniesiono osłony sięgające pokrycia górnego pokładu. Obok Ray'a znajdowała się długa lufa wychodząca ze skrzyni; trzech żeglarzy stało przy niej jako obsługa. Jeden z oficerów Lady Ayna'y podszedł by złożyć meldunek.

- Wszystko w gotowości bojowej - powiedział Murianin. - Ludzie z Ognistego Węża nie przyłączyli się do nas z pustymi rękami przynieśli swoje miotacze płomieni. Umieścili je obok naszych maszyn. Wystarczy tylko, że otworzymy z nich ogień, a krążownik zostanie zniszczony!

Cho przeszedł z dziobu na rufę, a Ray podążył za nim. Tak jak przewidywał - Murianin sprawdzał przygotowania, lecz gdy dotarli do tylnego pokładu, zaczął chodzić tam i z powrotem, ciągnąc za brzeg swojego płaszcza tak mocno, że się rozdarł. Ray próbował przeniknąć wzrokiem ciemności.

- Gdyby tylko podpłynęli - wyszeptał. Dawno temu, tak przynajmniej wydawało mu się teraz, i daleko w przestrzeni (lepiej myślało mu się o tym świecie jako o oddalonym w przestrzeni od jego własnego) był szkolony do walki na wojnie. Nie tego rodzaju, lecz bitwy nie różniły się specjalnie od siebie. Wypowiadając te słowa znał już odpowiedź - oczekiwanie było starą bronią używana przez wielu ludzi w wielu miejscach na przestrzeni wieków.

- To jest właśnie to czego nie zrobią - kontynuował Cho. Dobrze znają potęgę oczekiwania na wroga, oczekiwania aż początkowa czujność osłabnie choć odrobinę. Potem nadchodzi atak. Musimy utrzymać nieustanną wachtę. Jeśli kiedykolwiek przekroczyć te pięć murów, których synowie Ba-Ala używają jako swojej osłony, i stanę przed nimi twarzą w twarz, przypierając ich do tych samych murów, w których nie znajdziesz nawet dziury, by umknąć - wtedy skończy się czekanie, a każda chwila tej nocy zostanie spleciona lecz chmury przysłaniają księżyc - o Słońce, nie pozwól byśmy mieli rano mgłę!

Ray spojrział na obniżające się obłoki. - Czy to oznacza złą pogodę?

- Być może. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że Słońce nas nie opuści. Chodź! - spojrzymy jeszcze raz na pokład dziobowy.

Deski przerzucone przez wioślarskie ławki na śródkręciu utworzyły nowy pokład, który wydawał się być wystarczająco nowy. Przestrzeń wypełniona była grupą cichych mężczyzn. Na dziobie znajdowały się teraz trzy działa składające się z rury i skrzyni, a przy każdej stała ich obsługa; wszystko oświetlone delikatnym światłem.

- Na razie nic nie widać Urodzony w Słońcu - zameldował obserwator.

Raz jeszcze Ray'a wprowadziła w zdziwienie jego zdolność do rozumienia tej mowy. Nie był to jednak czas na pytania.

- Nic - powtórzył Cho jakby do siebie. - Czy sądzisz, że o poranku będzie mgła?

Han zadarł głowę jakby chciał wyczuć wiatr. Przyjrzał się chmurom a potem wodzie.

- Mgła z pewnością, Urodzony w Słońcu, a być może deszcz. Boję się, że będziemy musieli płynąć na wycucie.

Cho uderzył pięścią w burtę. - Osłona, pod którą krążownik będzie mógł się skradać niezauważony!

- Tak, Urodzony w Słońcu, lecz także osłona dla nas - jeśli los będzie nam sprzyjał.

Cho odwrócił się energicznie. - Zapewne tak musi być. Mogą wyciągnąć swą sieć, lecz tylko po to, by przekonać się, że jest pusta. Nie wolno nam jednak ich lekceważyć ani myśleć, że los jest łaskawy tylko dla nas. Wiem, że nikt z nas nie odetchnie z ulgą, nim nie dotrzemy do wybrzeży Morza Wewnętrznego,

- Prawda jest w twoich słowach, Urodzony w Słońcu. Atlanci znają dobrze podstępny ojca wszystkich Cieni, a zło pochodzi przecież od niego.

- Niech i tak będzie. - Głos Cho był mocny i chłodny. - Jeśli nawet fortuna nam przeznaczy porażkę, ostatnia i najmocniejsza sztuczka ciągle znajduje się w naszych rękach, gotowa do użycia na nasze zawołanie. Urodzona w Słońcu Ayna wskazała nam sposób dzisiejszej nocy.

- Myślisz o wysadzeniu okrętu? - zapytał Ray.

- Powinniśmy odejść w Słońce z honorem, zabierając ze sobą wielu wrogów na Sąd Ostateczny. Żaden ze statków Wielkiej Ojczyzny nie może wpaść w ich ręce. Dopóki żyje choć jeden, w którego żyłach płynie szlachetna krew. Taki koniec daje czystsze i spokojniejsze zejście z tego świata niż to, jakie Atlanci mogą zapewnić swoim więźniom - o czym dobrze wiemy.

Lady Ayna przyłączyła się do nich. Jesteście w stanie gotowości, Lordzie Cho?

- Oczekujemy krążownika. On nadpłynie - rzekł pewnym głosem i skinął w kierunku morza. - Przekazałaś swój raport?

- Zameldowałam o stracie Ognistego Węża, a Wielki pochwalił to, co zrobiłam. Re Mu przekazuje pozdrowienia i zaleca pośpiech, ponieważ, jeśli nas zaatakują, nie otrzymamy żadnej pomocy. -Zawahala się. -Coś jednak się stało, Lordzie Cho, i to napawa mnie obawą...

- jej głos był niższy, a Ray spostrzegł, że ścisnęła swój płaszcz tak mocno, aż zbieleły jej palce. - Coś... coś mi przerwało!

Cho obrócił się zdziwiony. - Co masz na myśli?

- Mój kontakt z Wielką Ojczyzną został przerwany... i to nie przez Re Mu. To się nigdy dotychczas nie zdarzyło.

- Jak to przerwany?

Drżała choć płaszcz dawał jej ciepło, a wiatr przeszył ją chłodem aż do szpiku kości. - To było tak, jakby ktoś rozwiesił czarną zasłonę. Gdy pomyślałam pytanie - nie było żadnej odpowiedzi. Odczekałam dwa obroty srebrnej obręczy czasomierza i spróbowałam ponownie. Nie było żadnego odzewu, nawet od obserwatora wybrzeża w jednej ze świątyń Mayax'u!

Cho milczał, dodała więc prawie błagalnym głosem: - Cóż to może oznaczać?

Twarz Murianina pozostała nieruchoma, jakby myślał tak głęboko, że nie dostrzegając jej ani całego otoczenia. Wyciągnęła więc rękę, by dotknąć jego ramienia, a on poruszył się pod wpływem tego delikatnego dotknięcia.

- Co... co to jest? - zapytała raz jeszcze.

- To może znaczyć, że Atlanci wykradli Święte tajemnice, by odkryć sekret Urodzonego w Słońcu.

Odsunęła się od niego, jakby powiedział coś potwornego. Han głośno krzyknął. Oczy Cho zabłyśły. - Ci, którzy zamieszkują zewnętrzny chłód i mrok! A więc się odważyli! Ale Re Mu musiałby być ostrzeżony, gdyby to się stało. To znaczy, że drzwi do wewnętrznej mocy są dla nas zamknięte.

- Jeśli będziemy musieli walczyć, nie będziemy nikogo wzywać i użyjemy naszych

własnych rąk i broni, aby nie dać im dostępu do tego wszystkiego, w obronie czego oddalibyśmy życie.

Lady Ayna odzyskała swój dawny spokój, a może była to samokontrola. - Jakież człowiek mógłby sprzeciwić się losowi? Ale możemy pokazać, że jesteśmy warci tego, co nam przeznaczone. A przed rozpoczęciem bitwy nie mówi się o kiesce - powiedziała i uśmiechnęła się do Cho, nie chcąc, by potraktował jej słowa jako reprimendę. Spróbuję jeszcze raz - ale proszę was, byście mnie wezwali, gdy pojawi się krążownik. - Dodała odchodząc.

Cho spojrział na Ray'a. - Wydaje się, że rzeczywiście zostałeś wciągnięty w sieć. Ta sprzeczka nic dla ciebie nie znaczy. Puste równiny Jałowych Ziemi byłyby dużo bezpieczniejsze niż te wody, gdy Czerwone wilki będą w pobliżu!

Miał rację - to nie była jego sprzeczka, pomyślał Ray. To było rozstrzygnięte, musiało być, całe wieki przed jego urodzeniem. Ale było coś jeszcze. Wtedy były to tylko słowa, rytuał innej rasy. Teraz była to rzecz, którą Ray pamiętał i której się trzymał.

- Gdy nasza krew została zmieszana na rękojeści miecza powiedziałeś mi, że jesteśmy braćmi...

- I tak jest!

- Czy nie powinniśmy więc także walczyć razem? Wydaje mi się, że chociaż nie przybyłem tutaj z własnej woli. sam mogę dokonać wyboru, co też i czynię - nie mając kraju, staję po stronie przyjaciół, A myślę, że mam takowych...

- Nie ma potrzeby, byś o to pytał! - odpowiedział Cho.

- I mam także wrogów... gdzieś tam... - Ray wskazał na morze. - Tak więc wybieram...

Cho skinął. - Obyś tego nigdy nie żałował, bracie.

- Amen - pomyślał Ray, ale nie powiedział tego głośno.

ROZDZIAŁ 5

- Więc wyłączyli wasze radio. Ray zaryzykował swoją własną interpretację tego, co usłyszał od Lady Ayna'y.

- Wyłączyć? radio? - spytał Cho. Tak, wasz system komunikacji.

- Myślisz, że robi to maszyna? - uśmiechnął się Cho. - Zapomniałem, jak mało o nas wiesz. My Urodzeni w Słońcu nie potrzebujemy maszyn, żeby komunikować się z Re Mu. W okresie napięć nawet niektórzy wyżsi oficerowie są szkoleni przez Naacal'ów, aby przyjmować myśli, tak jak mój umysł odczytuje teraz twoje. W ten właśnie sposób Lady Ayna złożyła raport o utracie Ognistego Węża. Tylko ci, którzy rodzą się z taką mocą lub ci, którzy są w tym kierunku przeszkoleni potrafią to robić.

- Jak więc Atlanci mogą zakłócić telepatię? - zapytał Ray. Po części w to uwierzył po swoich własnych doświadczeniach.

- Tego właśnie musimy się dowiedzieć. Nikt oprócz ludzi przeszkolonych w przesyłaniu myśli nie potrafiłby tego zrobić, a znamy ich wszystkich. A raczej tak nam się wydawało do dzisiejszej nocy. Wiemy, że Czerwone Tuniki mają coś takiego, ale sądziliśmy, że nie potrafią przeszkodzić w prawdziwych przekazach. Okazuje się, że jednak potrafią. Re Mu i Wielka ojczyzna nie dowiedzą się, jaki los czeka nas tutaj na północy, dopóki nie dotrzemy do Mayax. W całej naszej historii nie przydarzyła nam się taka rzecz, nie wierzyliśmy nawet, że to możliwe!

Niebo na wschodzie powoli się przejaśniało, choć ciągle jeszcze było ołowiano-szare. Padał chłodny deszczyk, przenikający przez ich ciepłe okrycia, sprawiając, że drżeli.

- Mgła i deszcz - tak jak przepowiedział Han - zaobserwował Cho.

- Miejmy nadzieję, że synom Ba-Al'a będzie tak samo ciężko dojrzeć nas, jak nam spostrzec ich. Chodź, zjemy śniadanie.

Pod pokładem znaleźli Lady Ayna'ę siedzącą przy końcu stołu. Jej twarz wyglądała mizernie w różowym świetle. Zmusiła się do słabego uśmiechu i skinęła głową w odpowiedzi na nieme pytanie Cho.

- Ich mur pozostał nieprzenikniony. Jeśli dojdzie do walki, będziemy zdani tylko na siebie.

Cho opadł ciężko na znajdującą się najbliżej niego ławę. - Niech i tak będzie. Być może jednak do tego nie dojdzie. Z woli Płomienia. Zjedzmy teraz strawę. Wyprostowała się.

- Statki Ojczyzny słyną z doskonałego zaopatrzenia w żywność. Uighur nie może

równać się smakołykami z Mu. Tak przynajmniej powiedzieli oficerowie, którzy wrócili ze zwiadu stamtąd. - rzekła.

- Gdzie jest Uighur? - zapytał Ray. Odwróciła głowę, przyglądając mu się szeroko otwartymi oczami. Cho podszedł do mapy wiszącej na ścianie kajuty.

Nacisnął palcami jakieś miejsce w ramie i część mapy przesunęła się w prawo, zakrywając część Atlantydy. Ukazała się reszta państwa Mu na Pacyfiku i dalej linia brzegowa kontynentu azjatyckiego, różna jednak od tej, którą znał Ray. Morze rozciągało się na terenie, gdzie powinny znajdować się Chiny i fragment Pustyni Gobi, a wzniesienia późniejszego Tybetu tworzyły nowe wybrzeże. Właśnie ten fragment wskazał palcem Cho.

- „Uighur”. Lady Ayna wciąż wpatrywała się w Ray’a.

- Jak to jest, że nie wiesz, co to Uighur?

- Z tej samej przyczyny, z której dwa dni temu nie wiedziałem również, co to jest Mu. Jestem z innego czasu, pamiętasz? Nic tam nie wiemy o Uighur.

- Lecz wiecie o Atlantydzie - powiedział powoli Cho.

- Dlaczego Czerwony Łąd przeszedł do legendy w odległej przeszłości, podczas gdy reszta odeszła w zapomnienie? Co uczynili następcy Krainy Cienia jaki wielki płomień rozniecili, że jego żar i dym przetrwały niezliczone wieki?

Oczy Lady Ayna’y stały się smutne. - Mogę tylko sądzić, że to jakaś katastrofa. Cóż naprawdę wiedzą twoi ludzie o Czerwonym Łądzie, Lordzie Ray?

- Tyle tylko, że był kontynentem na oceanie, który w naszych czasach ciągnie się nieprzerwanie na wschód i zachód i poszczerbiony jest jedynie małymi wysepkami, i że zatonął pod wielkimi falami podczas trzęsienia ziemi, będącego rezultatem zła jego mieszkańców.

- Zaginiony łąd... A czy próbowano w twoich czasach odnaleźć jakieś jego pozostałości?

- Próbowano tak usilnie, że udowodniono naukowo, iż nigdy nie istniał. Przypuszcza się, że to wyłącznie legenda.

Służący wniósł tacę i zaczęli jeść, mocno już wygłodnieli. Ray jednak spoglądał co chwilę na mapę i zastanawiał się. Dlaczego tak się stało, że pozostałości takiej cywilizacji nigdzie nie przetrwały, aby dać świadectwo prawdzie? Świat, który widział, różnił się bardzo od tego świata z jego czasów. Pewne fragmenty pozostały jednak takie same. A przecież to niemożliwe, że wszystko - każdy fragment tej wysoko rozwiniętej cywilizacji - zniknęło całkowicie, bez śladu!

- Krążownik w polu widzenia! - Han stanął w przejściu.

Łyżka Ray'a wpadła do miski, rozpryskując zawartość dookoła. Cho przeskoczył kajutę jednym susem i znalazł się na zewnętrznym pokładzie. Podobnie uczynił Ray podążając za nim.

- Tam - Han wskazał czarny kształt we mgle.

- Na stanowiska! - krzyknął Cho.

Ktoś stanął przy poręczy obok Ray'a - była to Lady Ayna. Powinna zostać na dole - pomyślał, ale przypomniał sobie, że przecież dowodziła podobnym okrętem, i wiedziała na ten temat więcej niż on.

Krażownik płynął cały czas swym własnym kursem i wydawało się, że ich nie dostrzega. Mimo iż zaczął powoli wślizgiwać się w mgłę a po chwili całkowicie w niej zniknął, napięcie na Władcy Wichrów wciąż się utrzymywało.

- On wróci - powiedział Cho. - Próbuje nas teraz zbić z tropu, jak polująca pantera, gdy zwęszy ślad. Widzicie - wraca!

Miał rację. Ostry dziób drugiego statku ponownie przeciął kłębiącą się mgłę. Zrobił lekki łuk i zbliżył się do Władcy Wichrów. Ray zauważył, że bardzo ciężko jest mu myśleć o tym złowieszczym, mrocznym cieniu, jako o innym statku, niosącym na swym pokładzie ludzi takich jak ci, stojący teraz w milczeniu obok niego. Nikt się nie odzywał, słychać było tylko szum spienionych fal, ciętych dziobem Władcy Wichrów, który konsekwentnie trzymał się kursu.

Później, jakby doskonale zdając sobie sprawę z ich położenia i bawiąc się jedynie w kotka i myszkę, krążownik zmienił kurs o parę stopni i skierował się wprost na muriański okręt.

Cho spokojnie wydał rozkazy: Apu! Trzymaj kurs, cała naprzód. Nieważne jakie mamy szansę - to musi być bitwa w ruchu. Hań! Użyj miotaczy płomieni, ale dopiero gdy zbliżymy się na tyle, by mieć pewność, że ich trafimy. Nie strzelać do momentu, gdy wydam rozkaz.

Oficerowie rozeszli się na stanowiska. Hek i Romaha z rozkazu Lady Ayna'y zajęli pozycje na śródokręciu. Z kajuty wyszedł adiutant z trzema tarczami z czerwonego metalu i długimi przedramiennikami z tego samego materiału. Cho wsunął jeden z nich na lewe ramię Ray'a i pokazał, w jaki sposób szybko przymocować do niego tarczę.

- To obrona przeciwko miotaczom płomieni - wyjaśnił Murianin. - Jeśli zobaczysz, że któraś z tych czarnych rur, jakie moi ludzie mają przy pasach, zostanie użyta - podnieś tarczę. Nie wierzę, że na tym krążowniku wiozą wyziewacze śmierci, tego typu statki rzadko są w nie uzbrojone. Miejmy nadzieję, że ich nie mają, bo mała jest szansa obrony przed nimi.

Niosąc swoją własną tarczę, Cho podszedł do steru. - Minie noc, a dzień powita nas już na Morzu Wewnętrznym - a to oznacza wolność od wszystkich ucieczek.

Lady Ayna wzruszyła ramionami, jakby zrzuciła jakiś ciężar. - Wobec tego - rzekła niemal radośnie - czego tu się obawiać? Z pewnością my - prawdziwej krwi - potrafimy utrzymać sługusów Krainy Cienia z dala przez ten czas. Widzicie - nawet teraz wahają się, jakby bali się zaatakować, choć są, w odpowiedniej pozycji, żeby to zrobić.

Rzeczywiście, mroczny okręt zdawał się płynąć niezdecydowanie. Mogło to jednak być złudzenie, bo mgła zniekształcała, raz zasłaniając, za chwilę znów odsłaniając statek. Ray'owi wydawało się, że krążownik obrócił się lekko dziobem, podczas gdy Władca Wichrów kontynuował kurs. Lady Ayna miała rację, pędzący wróg jakby trochę zwolnił, skręcając delikatnie. Wyprzedzili go, teraz prawie całkowicie ukryci we mgle.

- Boją się, nas! Lękają się wypróbować potęgę naszej ojczyzny w otwartej bitwie - dziewczyna nie posiadała się z radości.

Cho potrząsnął głową, wyraźnie niespokojny. - Nie podoba mi się to. Według wszelkich prawideł powinni wtedy zaatakować, a oni się oddalili.

- Jaką nadzieję może mieć krążownik na wygraną z gotowym do bitwy, a w dodatku spragnionym jej, okrętem wojennym? - odrzekła. - Oznacza to jedynie, że ich kapitan jest człowiekiem rozsądnym. Mogą się czaić gdzieś w pobliżu, czekając aż Ba-Al da im jakąś małą przewagę, ale nie zaryzykują bezpośredniego nadziania się na nasze kły.

Przez następne dwie godziny wydawało się, że miała rację w ocenie sytuacji, że krążący wokół statek obawiał się otwarcie natrzeć na muriański okręt. Krążownik pozostawał za kurtyną z mgły, choć był widoczny. Dotrzymywał tempa, ale nic poza tym się nie działo.

Han jednak podzielał nieufność Cho, czując wiszące w powietrzu niebezpieczeństwo. Co jakiś czas spoglądał znad steru, przyglądając się jakby z lękiem ich nieproszonemu towarzysowi. Trwało to do czasu, gdy popołudniowe słońce przebiło się bladymi promieniami przez chmury.

Cho rozkazał podać ludziom posiłek na pokładzie. Oni również jedli tam, gdzie stali - ciągle w pogotowiu. - Być może oczekują, że noc i ciemność będą im sprzyjać. - Cho strzepnął okruchy z palców.

- My również możemy na to liczyć Urodzony w Słońcu - rzekł w odpowiedzi Hań.

- Skorzystanie z osłony nocy daje szansę, że uda nam się umknąć.

Cho ponownie założył osłonę. - Nic z tego! Nadpływają!

Krążownik płynął z ogromną prędkością. Ray wyciągnął miecz, który podarował mu Cho i spojrzął z ciekawością na błyszczące ostrze. Nie była to broń pasująca do jego ręki.

Trzymał miecz niezdarnie i przejechał palcem po ostrzu. Usta miał suche i zauważył, że przełyka ślinę zbyt często. Ostatecznie schował miecz z powrotem do pochwy. Gołe ręce i znajomość walki w zwarciu mogły się teraz bardziej przydać. Ale oprócz treningów w „jego” czasie, była to pierwsza bitwa w jakiej miał wziąć udział.

Załoga wokół niego spokojnie, z wielką biegłością przygotowywała broń. Zazdrościł im znajomości rzeczy i wprawy, które dawały im zajęcie na czas oczekiwania oraz obronę, gdy nadejdzie „próba”.

- Pamiętaj! Ta tarcza służy do obrony - ostrzegł Cho. Ray skinął ponuro głową. Wtedy rozpoczął się atak, zaskakujący jak ulewa w tropiku. Z dziobu krążownika wystrzelił zielony promień, jasny - pomimo, że świeciło słońce - uderzając w burtę Władcy Wichrów. Ray poczuł woń spalenizny.

- Za nisko! - krzyknęła Lady Ayna.

Cał za całem zielone światło pięło się w górę, w kierunku oczekujących Murian. Palce Cho wbiły się w ramię Ray'a. - Tarcza! - Zasłoń się! Ray uniósł ją wzdłuż ciała, skuliwszy się lekko za tą osłoną, która nagle wydała się bardzo lekka i bezużyteczna. Wiązka wpadła na pokład, na którym stali.

Jeden z ludzi został trafiony z „wyziewacza śmierci” i krzyknął przeraźliwie. Jego prawe ramię trzęsło się w konwulsyjnych drgawkach. Na odkrytej skórze pełzała, jak jakiś obrzydliwy gad, jaskrawo zielona masa. Marynarz krzyknął jeszcze raz, cofając się od maszyny, którą obsługiwał i upadł na pokład, tuż obok Ray'a. Amerykanin instynktownie rzucił się na pomoc, wyciągając przed siebie ramiona, ale Cho powstrzymał go silnym uchwytem.

- Nie! Nie możemy nic zrobić. On i tak umrze, a to zaatakuje każdy żywy organizm, który się zbliży.

Mężczyzna jęknął jeszcze raz, po czym skonał. Wszyscy odsunęli się od jego powykrecanego ciała.

- Widzisz - „To” szuka teraz nowych ofiar, pokonawszy już jedną - wyszeptał Cho.

Zielona plama nie przypominała już w niczym wiązki światła. Była teraz czymś o wiele bardziej namacalnym, posiadającym złowieszcą energię. Ześlizgnęła się z ramienia zmarłego, upadając na deski pokładu. Wydłużyła się teraz w coś na kształt węża i zaczęła pełznąć. Han wychylił się znad steru. W ręce trzymał kryształ o gruszkowatym kształcie. Kiedy go uniósł, wystrzeliła z niego iskierka ognia, uderzając dokładnie w zielonkawą, węzowatą masę. Rozległ się krótki, przenikliwy dźwięk, drażniący uszy i zielona „rzecz” zniknęła, zostawiając na pokładzie szerniałą plamę, z której uniosła się smużka dymu.

- To... to było żywe! - Ray odzyskał oddech.

- Nie w takim sensie, jak my rozumiemy życie - odrzekł Cho. - To jedna z ich ulubionych broni. I próbują ponownie.

Raz jeszcze promień wystrzelił z krążownika, tym razem wycelowany był znacznie wyżej.

Uderzył w tarczę Han'a, przylgnął do niej, próbując znaleźć przejście przez tę metalową barierę. Nie dał jednak rady, wycofał się, ale tylko po to, by zaatakować resztę załogi, uderzając po kolei w każdego.

Gdy dotarł do Ray'a, ten wydał mu się ciężarem odpychającym go do tyłu. Zaskoczony Ray cofnął się o krok lub dwa, zanim stawiał czoła naciskowi, który w rzeczywistości nie był aż tak silny. Brzeg tarczy był blisko jego ciała, oddzielał go jednak od tego wijącego się w górę i w dół „czegoś”, które próbowało znaleźć jakąś szczelinę w metalu, przez którą mogłoby go sięgnąć. I tym razem nie powiodło się, więc wiązka, ześlizgnąwszy się po metalowej osłonie, chroniącej jego ciało, skierowała się w kierunku dzioba. Ale nigdzie nie mogła znaleźć drugiej ofiary.

Jak dotychczas Władca Wichrów nie przystąpił do kontrataku, co mocno dziwiło Ray'a. Nie zboczył również z kursu ani nie zmniejszył prędkości, którą nakazał Cho. Krążownik został teraz trochę w tyle, tak jakby wystrzelenie promienia przyhamowało go na chwilę. Lecz po niepowodzeniu pierwszego wystrzału, pruł już ponownie fale, by wystrzelić drugi, który dotarł, niosąc ze sobą odgłosy przypominające padający deszcz.

Ray spojrzał w dół. Zaledwie kilka cali od jego stóp w pokład wbite były dwa ostro zakończone metalowe odłamki, które ciągle jeszcze drgały. Han krzyknął; następny taki odłamek sterczał w jego ramieniu. Cho pospieszył, by przejąć stery.

- Wystrzelić z „wyziewaczy śmierci”! - rozkazał. Jeden z marynarzy stojących obok Ray'a umocował rurę na skrzyni, podczas gdy jego towarzysz włożył do niej jakąś kulę w kolorze brudnej żółci. Jeden z nich spuścił w dół małą dźwignię. Żółta kula uniosła się leniwie w powietrze, poszybowała w górę w kierunku krążownika, i uderzyła w pokład dziobowy. Uniósł się kłęb żółto-pomarańczowego dymu. Krążownik wykonał szybki zwrot, lecz dym rozciągał się już na całym pokładzie, okrywając go grubszą warstwą niż wcześniej mgła. W końcu zakrył cały statek z wyjątkiem fragmentów tuż nad powierzchnią wody.

Cho przekazał ster jednemu z marynarzy. - To było wbrew wszystkim rozkazom, z wyjątkiem skrajnej konieczności. Jak się czujesz, Han?

Oficer opierał się bezwładnie o Ray'a, który wcześniej ruszył, by go podtrzymać. Pod morską opalenizną jego twarz miała niezdrową zielonkawą barwę. Metalowe ostrze wystające

z jego ramienia musiało być zatrute.

- Ktoś inny musi przejąć stery, Urodzony w Słońcu... Ja...

Całym ciężarem osunął się na Ray'a, a Amerykanin odrzucił swoją tarczę, by ułożyć go na pokładzie. Cho wziął go w ramiona podtrzymując mu głowę.

- Nie martw się o mnie - ja idę do Słońca. Zapal za mnie świecę od Płomienia... bo...

Jego głowa opadła na pierś Cho, a Murianin delikatnie dotknął zroszonego potem czoła. Następnie spojrzął w kierunku krążownika, który na przemian zanurzał się i wynurzał z fal, jakby nie było nikogo za sterem.

- Zapłaciliście za to, zwolennicy Cienia - lecz przyjdzie wam zapłacić ponownie i to nieraz! To wam przysięgam na Płomień! Zapłatę za krew i życie Han'a odbierzemy z samego Miasta Pięciu Murów! Może nie w tym roku - ale nadejdzie odpowiedni czas!

Ray pomógł mu okryć zmarłego oficera płaszczem. Gdy wstali, marynarze ostrożnie zbierali z pokładu metalowe strzałki, uważając, żeby nie dotykać przy tym pozbawionych koloru ostrzy. Lecz dla tego marynarza, który zginął od zielonego ognia oraz dla Han'a byłoby lepiej, gdyby nie doszło do tej walki.

- Urodzony w Słońcu! Spójrz na krążownik! Minęło już parę chwil od czasu, gdy przestali zwracać uwagę na drugi statek, który kołysał się na falach pozornie bez kierunku. Lecz teraz ktoś kompetentny musiał wziąć ster w swoje ręce, gdyż statek sunął do przodu, choć już nie z taką jak wcześniej prędkością, i płynął spokojnie za nimi.

- Jak to możliwe? - wykrzyknęła Lady Ayna - „Wyziewacz śmierci” powinien był zabić wszystkich na pokładzie!

- Najwidoczniej posiadają jakiś sposób obrony, o którym nic nie wiemy - rzekł w odpowiedzi Cho - Ale wydaje się, że ich uszkodziliśmy. Jeśli dotrwamy do południa dnia jutrzejszego, będziemy wolni. Ale jeśli wezwą jeszcze któryś ze swoich statków...

- Tak -jak echo rzekła Lady Ayna - Może się i tak zdarzyć. Spójrz, to prawda, że się wloką, ale nie zostawią nas w spokoju.

Władca Wichrów o całą długość wyprzedzał mroczny krążownik, który coraz bardziej zostawał w tyle, lecz trzymał się kursu. Okaleczony myśliwy, który mimo wszystko nie zrezygnował jeszcze ze swojej ofiary. W tej determinacji było coś niesamowitego.

Pod niebem pokrytym chmurami noc nadeszła wcześniej. A cichy atlancki statek podążał za nimi, płynąc ponuro bez chęci i siły do ponownego ataku na Władcę Wichrów. Murianie zapalili białe, ciągłe światło, ale nie nadeszła żadna odpowiedź. Jednak ich własne oświetlenie odbijało się o otaczające statek fale dając pewność, że wróg nie zbliży się nie zauważony.

Ray przetarł piekące, zmęczone od ciągłego wypatrywania oczy. Podobnie jak pozostali nie odłożył jeszcze wysokiej tarczy, która swoim ciężarem wrzyniała się coraz bardziej w mięśnie ramienia.

Cho twierdził, że jutro późnym popołudniem dotrą do Morza Wewnętrznego i tam mogą liczyć na pomoc z fortów przy wejściu do morza, jeśli będą jej potrzebować.

W pobliżu koła sterowego padał czarny cień. Rzuciły go zaszyte w bojowe peleryny ciała Han'a i jednego z marynarzy, czekające na swój pogrzeb o świcie. A ciemny, cichy wróg podążał ich śladem.

Lady Ayna zeszła pod pokład, a Cho przejął ster. Ray postanowił pozostać tak długo, jak Murianin będzie pełnił swoje obowiązki. Nigdy przedtem nie był tak zmęczony

- lub tak mu się wydawało. Ani - do czego niechętnie przyznał się przed samym sobą - tak się nie bał. Walce wręcz czy nawet na miecze, mógłby stawić temu czoła; ale pełzający zielony płomień, który posiadał pewien rodzaj życia oraz deszcz zatrutych, metalowych kolców nie miały swego odpowiednika w treningach, które przeszedł w swoich czasach. Jego palce zawinęły się jakby wokół strzelby-broni odległej o całe wieki. To i granaty - w duchu tworzył listę rzeczy, które chciałby mieć teraz zamiast bezużytecznego miecza, ciężącego u boku.

W końcu Cho oddał ster jednemu z członków załogi i rzekł:

- Czas odpocząć.

W kajucie nie było Lady Ayna'y. Ray odłożył tarczę i ściągnął przemoczoną pelerynę. Zobaczył, jak Cho poczłapał do najbliższej ławy i opadł na nią, wychylił się do przodu i oparł o stół kładąc głowę na ramieniu.

Ray oparł się tyłem głowy o ścianę i zamknął oczy. Chwilę wcześniej nie chciał nic innego jak zasnąć, zamknąć oczy i zapomnieć o wszystkim. Lecz teraz pomimo ciemności pod powiekami, ujrzał... drzewa! Rzędy drzew wznoszących się wysoko do nieba z konarami wyrastającymi wiele stóp ponad jego głowę. Pomiedzy nimi cienie, które falowały niczym niestrudzone podmywaniem brzegu fale morskie. Poczul, że głęboko wewnątrz odezwał się w nim pewien niepokój. Rozpoznał w tym małą, zacierającą się w pamięci chęć przejścia pod tymi wysokimi jak dachy budynków gałęziami, głęboko coraz głębiej w cień drzew. Gdzieś pomiedzy nimi była furka, szczelina w strukturze czasu, i gdyby mógł ją znaleźć, wróciłby.

Drzewa stawały się coraz ciemniejsze, aż wreszcie pnie, gałęzie i niespokojne cienie zlały się w jedno. A w Ray'u pragnienie powrotu do furki przycichło. Wreszcie zasnął.

W gabinecie dyrektora było teraz pięciu ludzi zamiast dwóch. Lecz jeden z nich skupiał na sobie uwagę pozostałych.

- Nie mogę wam niczego obiecać, panowie. Psychofizyka jest programem eksperymentalnym, podobnie jak wasza „Operacja Atlantyda”.

Fordham odłożył fajkę. - Wiem, że istnieje ze sto eksperymentalnych programów...

- Niech pan to zamieni na tysiące, a będzie pan bliższy prawdy - powiedział pierwszy mówca.

- W porządku, niech będzie tysiące, doktorze Burton. A niech mi pan powie, czy ktokolwiek wie, co się w nich robi, czy ktoś ma całościowy obraz?

- Mają raporty...

Fordham uśmiechnął się szyderczo. Kto je czyta? Prawdopodobnie kilka komisji. Ale czy ktoś jeszcze próbuje koordynować całością?

- Prawdopodobnie nie, chyba że zdarza się właśnie coś takiego i powstaje stan wyjątkowy - zgodził się ten drugi.

- Wobec tego, czy ja dobrze pana rozumiem, doktorze Burton? Wierzy pan, że ma jakiś sposób na to, by wpłynąć na naszego człowieka w taki sposób, żeby powrócił do punktu wezwania... dzięki jakiemuś procesowi psychicznemu? A wtedy Fordham ponownie otworzył drzwi - czy jak tam sobie chcecie to nazwać? - mężczyzna w generalskim mundurze wychylił się do przodu w geście zdradzającym zniecierpliwienie.

- Podkreślić należy słowa „być może” generale Colfax - odpowiedział Burton. - Mieliliśmy kilka wyników, które nas zadziwiają, lecz zależy to od testowanej osoby i okoliczności. Jedna rzecz działa na naszą korzyść - ten Osborne znalazł się nagle w sytuacji, na którą był zupełnie nie przygotowany, co mogło spowodować nagłe wyczerpanie. Według jego akt - podniósł leżącą przed nim kartkę papieru, ale nie spojrzął na nią, przyglądał się natomiast po kolei wszystkim mężczyznom w pokoju - nie miał do czynienia z naszym szkoleniem. Jednak mówi się o nim, że jest typem samotnika, co oznacza, być na tyle silnym psychicznie, by nie spanikować tak od razu. Co uczyni, albo już uczynił po przejściu stąd tam, tego nikt nie odgadnie. Możemy tylko spróbować porównać go z przypadkami, które już przeanalizowaliśmy.

- Może on ciągle kręci się w pobliżu punktu przejścia szukając powrotu - jeśli w ogóle zdaje sobie sprawę, co się stało. Jeżeli tak, to nasz problem jest stosunkowo prosty. Jeśli przestraszył się na tyle by zacząć uciekać, ulegając panice - to możemy spróbować skontaktować się z nim przez jego umysł. Taką przynajmniej mam nadzieję, gdyż on będzie stanowić wyjątek w tamtej epoce. Także pod warunkiem, że nie odszedł zbyt daleko, możemy liczyć na to, że sposób przywołania go będzie można dobrać na tyle odpowiednio, żeby sprowadzić go z powrotem.

- Zbyt dużo tego 'jeśli' w tym wszystkim - skomentował generał Colfax. - Bezpieczniej dla nas byłoby wysłać tam oddział żołnierzy...

- Przypuśćmy, że pański oddział znalazłby się w takiej puszczy, jaką był kontynent północno-amerykański jakieś cztery tysiące lat temu włączył się Fordham. - Poszukiwanie jednej osoby w takim kraju nie byłoby łatwe. Jeśli doktor Burton potrafi przywołać go z powrotem...

- Znowu 'jeśli'! Dlaczego sądzi pan, że tamten świat jest tak odmienny?

- Widział pan film - odpowiedział krótko Fordham.

- Czy to przypominało obecne Ohio? Drzewa takie jak tamte...

...rosną całe wieki, wiem - odpowiedział Colfax. - A jeśli cały ten plan doktora nie zadziała?

- Spójrzmy prawdzie w oczy! - Hargreaves zamrugnął przekrwionymi oczami. - Możemy już nigdy więcej nie zobaczyć Osborne'a. Mógł umrzeć zaraz po nakręceniu tego filmu. Nie mamy pewności, czy ktoś może przetrwać taką podróż. Ale nawet jeśli go nie odnajdziemy, wcześniej czy później, będziemy musieli wysłać tam ekipy badawcze. Może ta cała wiązka myślowa doktora będzie pomocna przy następnej próbie, jeśli nie powiedzie się z Osborne'm.

- Kiedy będziecie gotowi? - Fordham zapytał Burton'a.

- Nie mówimy przecież o radiu tranzystorowym! Trzeba to rozmontować, przetransportować i ponownie złożyć. Nie mogę nic obiecać. Będziemy nad tym pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę i zrobimy co się da. Ale zajmie to co najmniej kilka tygodni...

- Kilka tygodni - powtórzył generał Colfax. - Ciekaw jestem, co się w międzyczasie stanie z Osborne'm. Jeśli jeszcze żyje!

ROZDZIAŁ 6

Ray przebudził się i leżał teraz z przymrużonymi oczami, starając się zatrzymać coś, co pozostało ze snów - coś ważnego. Ta myśl jednak już zniknęła. Cho stał nad nim, tylko częściowo widoczny w szarym świetle rozpoczynającego się dopiero dnia.

- Już świta - powiedział Murianin, jakby stwierdzenie tego miało jakieś głębsze znaczenie.

Amerikanin podniósł się, by pójść za Cho na górny pokład; sztywne mięśnie wywołały grymas na jego twarzy. Mgła i chmury zniknęły. Morze dookoła było tak spokojne, jak chyba nigdy dotąd. Niebo na wschodzie było różowe i bladozłote. Na pokładzie leżały dwa zaszyte w peleryny ciała. Cho przystanął. - Han'ie, mój przyjacielu... - powiedział i podszedł do burty. Podniesiono deski, na których leżały zwłoki. Według oceny Ray'a na pokładzie zebrała się cała załoga, stojąc na baczność jak do przeglądu. Łopocząca na wietrze flaga była teraz spuszczonej do połowy masztu.

- Morze - głos Cho był mocniejszy z każdym słowem - któreś jest naszym dziedzictwem od niepamiętnych czasów. Otwórz się teraz na swych synów, którzy z honorem wypełniali swe obowiązki, a teraz udają się na wieczny spoczynek. Udziel schronienia ich ciałom, gdy ich duchy bezpiecznie zamieszkują komnaty Słońca.

Deski zostały przechylone. Ray usłyszał westchnienie Lady Ayna'y. Wschodzące słońce nadało falom złoty blask, a Władca Wichrów pomknął dalej.

Noc i mrok poprzedniego dnia zlewały się z czarnym cieniem ścigającego ich krążownika. Ray nie wiedział, dlaczego spodziewał się, że ten zniknie wraz z nadejściem tego jasnego poranka, nie wiedział też, dlaczego zaskoczył go widok obcego statku pozostającego ciągle w zasięgu jego wzroku. Statek nie zbliżał się; prawdopodobnie nie mógł ich dogonić. Jednak załoga muriańskiego statku cały czas była pod bronią, w stanie gotowości bojowej. Rozmowa załogi była przerywana częstymi pauzami, podczas których obserwowali swój własny kilwater.

- Wszystko jest nie tak - Cho oparł obie ręce na burcie, wpatrując się w odległego prześladowcę. - Oni są martwi, muszą być martwi. Ten statek jest prowadzony przez trupy!

Lady Ayna przygryzła dolną wargę, jakby chcąc się w ten sposób powstrzymać przed wypowiedzeniem słów, których wolałaby nie wypowiadać. Ale Ray odpowiedział.

- Znasz moce, którymi władasz, więc być może masz rację, ale dopóki nie podpłyną bliżej... - przerwał. On również odczuwał tę dręczącą nerwowość z powodu cienia ciągle

obecnego na morzu, który nie zbliżał się i nie pozwalał im zaatakować, pozostając ciągłym zagrożeniem; tym gorszym, że ów cień rozbudzał w nich niespokojne myśli.

- Tak..., dopóki nie podpłyną bliżej... - powtórzyła Lady Ayna.

- A my musimy być blisko morskich bram Mayax'u. Czy wiesz Lordzie Cho, że nigdy nie widziałam Wielkiej Ojczyzny? Podobnie jak Lord Ray, znajduję się w nieznanym kraju. Czy zawiniemy do Miasta Słońca. Czy jest podobne do Uighur? - prawie trajkotała, starając się słowami zagłuszyć myśli. Cho ochoczo jej zawtórował. Zdecydowanie odwrócił się, odrywając spojrzenie znad rufy. - Jest bardzo odmienne. Uighur wznosi się ponad górami i wąskimi dolinami, a w Wielkiej Ojczyźnie rozległe pola są poprzecinane szerokimi rzekami. Miasto leży przy ujściu jednej z takich rzek. Czasami o zmroku okoliczni mieszkańcy wypływają łodziami dla przyjemności, by śpiewać pieśni i słuchać gry harfiarzy...

Lady Ayna westchnęła. - Hm. W czasach pokoju. Tak odmienny od naszej zamiatanej wiatrem krainy, gdzie stada dzikich koni biegają przy osadach, poza którymi wyjęci spod prawa walczą z czartami i bestiami Mrocznego, by utrzymać się przy życiu.

- Więc bestie Mrocznego ciągle istnieją? - zapytał Cho.

- Skóra i długie włosy jednego z nich zostały dostarczone w pakunku z darami na miesiąc przed wypłynięciem Ognistego Węża. Czasami dworscy młodzieńcy polują na nie. Mam sztylet z kłębem bestii tworzącym rękojeść. Lecz tę bestię zabito w czasach młodości mego ojca. Bestie ukrywają się w górach, są samotnikami i wychodzą tylko, gdy mają zły rok i głód przyciąga je do naszych wiosek łowieckich.

Cóż. W Mu mówi się, że wszystkie bestie wycięto dawno temu i występują tylko w historyjkach do straszenia dzieci. Bestie, Ray'u, są częściowo podobne do ludzi, chodzą wyprostowane i są kudłate, pokryte grubymi włosami. Ich kły są długie, zagięte... o! w ten sposób, szczególnie górne. Zawsze żyją w wysokich, dzikich miejscach. Polują w ciemności, a na górskim śniegu pozostawiają wielkie dziwaczne ślady.

- Yeti - odpowiedziała Ray'owi pamięć.

Macie je w twoim czasie? - entuzjastycznie zapytała Lady Ayna.

- Kolejna legenda, według której żyją w krainie, którą nazywacie Uighur, a która w moim czasie tworzy najwyższe górskie tereny na świecie. Krążą różne historie o waszych bestiach, widziano ich ślady, ale żaden nie został zabity czy schwytany.

Jakież to dziwne - powiedziała wolno kobieta. - Bestie są znane w twoim czasie, a o krainie takiej jak Mu zapomniano. Co jeszcze pozostało?

- Zapytaj raczej - przerwał jej Cho - dlaczego jedne przetrwały, a o innych zapomniano? Bestie Mrocznego i Atlantyda - dlaczego akurat to się zachowało?

Dzień był bezchmurny, słoneczny. Zrobiło się cieplej, więc zdjęli swoje płaszcze. A ponad falami, teraz bardziej niebiesko-zielonymi, unosiły się ptaki. Smugi ciemnych wodorostów zdobiły powierzchnię morza, a w pewnym momencie jakaś ryba poruszyła powierzchnię wody wystawiając głowę i jakby inteligentnie spoglądając na przepływającego Władcę Wichrów.

- Delfin! - Lady Ayna podążyła wzrokiem za wyciągniętą ręką Ray'a.

- Tancerz morski - poprawiła. - Więc te także znasz, Lordzie Ray?.

- W moim czasie ich znaczenie ciągle rośnie. Zorientowaliśmy się, że są wysoce inteligentnymi istotami i poszukujemy sposobów porozumiewania się z nimi.

Przeniosła swe spojrzenie z Amerykanina na delfina i z powrotem.

- Ogólnie wiadomo, że tancerze morscy są bardzo przyjaźnie nastawieni, że pomagają pływakom w tarapatach i że są pod ochroną Słońca. Żaden człowiek nie śmie podnieść ręki, by ich zranić. Ale oni należą do morza, a dla nas, gdy płyniemy po jego powierzchni lekko w nim zanurzeni, świat ten jest zamknięty.

- No cóż, nie macie łodzi podwodnych - Ray pokiwał głową - ani strojów do nurkowania i butli z tlenem. Istnieje sposób, by otworzyć głębiny morskie dla człowieka? Jak? - spytała Lady Ayna.

Ray opisał jak mógł najlepiej działanie łodzi podwodnych. Opowiedział także, jak człowiek mógł nie tylko podróżować w głębiny, ale także, wyposażony w aparat tlenowy, mógł pływać w otchłaniach, ile tylko chciał, będąc bardziej częścią morza, niż był kiedykolwiek wcześniej, odkąd pierwsze stworzenia wypełzły z wody, by rozpocząć życie na lądzie.

- Jakie to cudowne! - krzyknęła Lady Ayna - Oh, pływanie pod wodą! Doprawdy, żyjesz w czasach cudów, gdy cały świat stoi przed człowiekiem otworem! Uczono nas, że gdy skończą się wojny, tak właśnie będzie.

- Wojny ciągle są na świecie - odpowiedział Ray - Wiele z tego, co wynaleźliśmy, wyniknęło z konieczności obrony lub ataku na wojnie. - Mój wiek daleki jest od złotego.

- Złotego? - powtórzyła pytająco.

- Ludzkość spogląda wstecz, do czasów złotego wieku, gdy nie było żadnych wojen, a wszędzie panował pokój i szczęście...

Cho uśmiechnął się kryjąc twarz. - Kiedy więc był ten wiek, bracie? W naszych czasach, które są legendą dla ciebie? Nie - sam widzisz, jaki tu mamy pokój. W czasach Hyperborei? My mamy nasze własne legendy i te mówią tylko o śmierci i klęskach spadających na nas z powodu ludzkiej chciwości i żądz. Jeśli był taki złoty wiek, to gdzie

możemy go znaleźć? Na pewno nie w przeszłości? Nas uczono patrzeć w przyszłość.

- Która dla nas jest mroczna - odpowiedział Ray.

- Lordzie - sygnał!

Na wołanie obserwatora zwrócili się ku południowemu zachodowi. Na południowym niebie rozciągała się biała smuga przecinająca błękit prostą linią.

- To sygnał z wieży zewnętrznych bram - powiedział Cho.

- Wydaje się, że ostatecznie wygramy nasz wyścig - skomentowała Lady Ayna.

Ray spojrział do tyłu. Krążownik był tam, lecz lekko tylko widoczny, jakby się zatrzymał.

- To było to, co ich niepokoiło, pomyślał Ray, to czekanie na jakiś ostatni atak ze strony tej złowieszczej czarnej plamki na horyzoncie.

Lady Ayna wzięła głęboki oddech. - Powietrze jest czyste po jego odpłynięciu. Patrz teraz naprzód, a nie wstecz. Przyszłość ciągle na nas czeka.

Dookoła rozpoczęła się krzątanina. Metalowe ścianki chroniące śródkręcie zostały opuszczone. Obsługa przykrywała maszyny wojenne. Przed nimi na wąskim wysuniętym w morze cyplu, zakończonym ostrymi zębami skał, stała wysoka wieża.

Cho chodził po pokładzie i wydawał rozkazy.

- Wpłyniemy tam bezpośrednio - powiedział, gdy wrócił. - Nie zatrzymam się w Manoa, lecz udam się od razu w kierunku kanałów. Spójrz, witają nas przez wyciągnięcie sztandaru.

Z wieży unosiły się kłęby białego dymu; flaga zjechała wzdłuż masztu i uniosła się ponownie. Wiatr rozciągnął ją na moment i Ray ujrzał jej insygnia: promienie wschodzącego słońca na zielonym polu.

Oplłynęli rafy, zmieniając kurs na zachód i wkrótce ujrzeli jeszcze jeden przylądek, położony nieco na południu. Na nim wznosił się przysadzisty, potężny budynek, który miał wygląd fortu. Cho uśmiechnął się. Napięcie częściowo zniknęło z jego twarzy.

- Właśnie wpłynęliśmy. Posilmy się i napijmy w spokoju.

Ciągle jeszcze był dzień, gdy wrócili na górny pokład. Cho nieustannie spacerował, nie zwracając zbyt dużej uwagi na pozostałych.

- Teraz już nie płyniemy sami - Lady Ayna wskazała ręką w kierunku różnych statków. - To jest transportowiec ziarna, za nim statek kupiecki z Ojczyzny, a następny to okręt z floty północnej. Część z nich została wezwana, by przeczekać tutaj dopóki Morze Północne będzie znowu bezpieczne. Pozostałe prowadzą interesy na tych wodach. Morze Wewnętrzne jest zawsze bezpieczne - północne sztormy i porywy wiatru z południa są tu nie

znane.

- Dlaczego tamte statki ustępują nam? - zapytał Ray. Dwa statki przed nimi zmieniały kurs, otwierając przestrzeń przed Władcą Wichrów.

- Ponieważ my płyniemy pod banderą. - Cho podszedł do nich. Wskazał na powiewającą flagę, na której słońce zajmowało centralną pozycję na purpurowym polu. - Oni wiedzą, że wieziemy pilne wieści, więc dostali rozkaz, by dać nam wolną drogę.

Gdy nastąpiła ciemność, na flagę skierowano światło, obwieszczając tym samym potrzebę szybkiego przepłynięcia. Ułatwiano im także podróż jeszcze przez następny dzień, ponieważ znajdowali się na zatłoczonych szlakach wodnych w pobliżu portu Manoa. Tę stolicę prowincji Ray widział tylko z morza, lecz jej strzeliste białe wieże i piramidy sprawiały wrażenie, że ta cywilizacja została założona dawno temu.

W ciągu tych paru dni odkrył, że język Wielkiej Ojczyzny stawał się jego własną mową. Przynajmniej rozumiał z łatwością, choć gdy odpowiadał, plątał mu się język przy wymawianiu dźwięcznie brzmiących spółgłosek i zlewających się samogłosek. Ćwiczył, ile tylko mógł, a Cho podawał mu również podstawy języka atlanckiego.

Po raz pierwszy zmuszeni byli zatrzymać się w kanałach prowadzących do Zachodniego Morza. Ray nie dostrzegł żadnego podobieństwa otaczających ich terenów do kontynentu z jego czasów.

Ta część Ameryki Południowej musi w przyszłości tworzyć ostre grzbiety Andów, lecz teraz jedynymi widocznymi z pokładu Władcy Wichrów wzniesieniami były delikatnie zaokrąglone wzgórza za miastem nad kanałem portowym.

Na pokładzie panowało zamieszanie, wchodzili i odchodzili różni urzędnicy. Ostatecznie jednak przepuszczono ich i kil Władcy Wichrów wślizgnął się w fale kolejnego morza.

- Słońcu niech będą dzięki, nareszcie jesteśmy wolni! - Cho wrócił po wizycie ostatniego oficera portowego na pokładzie. - Po tym, co się stało, nie znoszę postojów, niezbyt mnie też interesują plotki portowe.

- Re Mu... - rozpoczęła Lady Ayna.

- Tak, jemu musimy powiedzieć prawdę, nie kryjąc przed nim ani słowa, żeby nie wybuchła panika. A prawda, którą dlań mamy nie jest przyjemna. Re Mu - może on dostrzeże rzeczy, któreśmy mogli uczynić lepiej. On jest mądrością, o której my nie możemy nawet marzyć. Mam wątpliwości czy wypełniłem mój pierwszy rozkaz...

- Oh, czy nie wracasz ze swym statkiem przerwała Lady Ayna.

- Czego mogłabym nie dokonać, gdyby los nie zmarszczył na mnie swe lico, tak jak

zmarszczył na ciebie! Nie ma żadnej hańby w porażce, jeśli postępowało się najlepiej jak się potrafi - i nadal próbuje.

- Jakże niebieskie jest to morze rzekła nagle, jakby chciała odwrócić bieg swych myśli. - Jest szare wzdłuż wybrzeży Uighur i zbyt ciemne na północy, gdzie podmywa Jałowe Ziemie...

- Dlaczego nazywacie je Jałowymi Ziemiami? - zapytał Ray. - To prawda, że są bezludne, lecz nie są jałowe. Rosną tam lasy... przerwał, myśląc o drzewach ciemnych i wysokich, ciągle jeszcze żywych.

- Być może dlatego, że nie założono tam żadnych kolonii - odpowiedział Cho. - Nam, mieszkańcom Wielkiej Ojczyzny, ziemie te wydają się pępne, jakby kryły tajemnice, których nie powinno ujrzyć oko ludzkie.

- W twoich czasach jest jednak inaczej, prawda? rzekła Lady Ayna. - Opowiedz nam o nich, proszę.

Opowiedział im o przeludnionych i zatłoczonych miastach, o ciągle rosnącej ludności, która zakrywa powierzchnię ziemi coraz większą ilością osiedli, o autostradach, o lotniskach, o lotach w kosmos...

- Usiłujecie opanować księżyc, a nawet lądować statkami w innych światach! - powiedział Cho. - Człowiek czyni tak wiele, lecz ty powiadasz, że wszystko to jest pełne wad.

- Tak. Im więcej urządzeń człowiek tworzy, tym więcej śmierci za tym idzie. Ludzie na całym świecie dyskutują, lecz łamią każde prawo, które ustalą. Niektórzy posiadają więcej bogactw, niż mogą zliczyć, inni umierają z powodu braku chleba. Tak to wygląda...

- Jak zawsze - zadumała się Lady Ayna. - Lecz ciągle jesteście ludźmi, jedni są dobrzy, inni źli. Czy wznosiłeś się kiedyś w przestworzach?

- Jakie to uczucie? - zapytał Cho.

- Trochę jak pływanie. Można zobaczyć to, co jest pod spodem, lub też utonąć w chmurach...

- To by mi się spodobało - rzekła Lady Ayna - Byłoby dobrze, gdybyś zabrał ze sobą takiego ptaka.

Ray zaśmiał się. - Jest wiele rzeczy, które mogłem wziąć ze sobą, lecz nigdy nie pomyślałem o samolocie.

Opowiadał o paru innych rzeczach ze swojego czasu w czasie, gdy płynęli po zachodnim oceanie, lecz Lady Ayna nigdy nie miała dość słuchania o tym, jak samoloty unoszą ludzi pomiędzy chmury.

Naacalowie powinni być w stanie stworzyć coś takiego - zauważyła. - Powinno się im

zasugerować, żeby dążyli do tej wiedzy.

Cho aż się zdrygnął. - Nie sugeruje się rzeczy Naacalom; ich rzeczą jest decydować, które ścieżki mądrości zostaną otwarte dla naszych stóp.

Gdy usłyszą słowa Lorda Ray'a, powinni się skierować właśnie na tę ścieżkę - upierała się. - To byłoby przyjemne spojrzeć w dół z chmur, fruwać jak ptak...

Jej upór najwyraźniej zaniepokoił Cho. - Tak, Ray porozmawia z Naacalami. Nastąpi to, gdy tylko usłyszą o jego przybyciu. Ale my nie możemy nic sugerować.

- Kim są Naacalowie? - zapytał szybko Ray, gdy zauważył, że Lady Ayna była gotowa do dyskusji.

- To kapłani Płomienia, którzy są strażnikami odwiecznej mądrości i poszukiwaczami nowej - by nauczać ludzkość. Podróżują od kolonii do kolonii, głosząc wiedzę i wzbogacając, jak tylko mogą nasze zasoby wiadomości.

Wiele rzeczy mówią tylko Re Mu i być może kilku Urodzonym w Słońcu, którzy są dyskretni i należycie troszczą się o mądrość. Moja matka dostała tego zaszczytu, gdy została córką świątyni po śmierci mojego ojca.

- Ja wstąpię do świątyni, gdy moja służba na morzu się skończy.

Cho uśmiechnął się. - Teraz tak mówisz, moja pani. Pójdę o zakład, że w ciągu roku zbierzesz kilku wojowników wokół siebie. Wtedy nie usłyszymy więcej o świątyni.

Jej oczy błysnęły, a usta wykrzywiły się. - Czy masz moc, by czytać w przyszłości jak Naacalowie, lub ktoś, kto przeszedł Dziewięć Tajemnic? - Co rzekłszy, oddaliła się wchodząc do kajuty. Ray spojrzał na Cho oczekując jakiegoś wyjaśnienia.

Murianin ciągle się uśmiechał. - Tak czasami mówią wszystkie kobiety - że wołałyby posiąść wiedzę ze świątyni i nie mieć z nami do czynienia. Szybko jednak o tym zapominają, gdy nadchodzi czas na małżeńskie bransolety...

- Powinniśmy przybić do portu przed zmrokiem, a dzisiejszej nocy spać na dworze mej matki. Nie sądzę, aby wezwano nas na audiencję przed nadejściem jutra, choć Lady Ayna może pójść już dziś wieczorem.

Za niespełną godzinę rozległ się radosny okrzyk. Dobijamy! Wystawiono wiosła, a wiosłarze zajęli swoje stanowiska. Jeden z oficerów wybił rytm na małym bębnie i zaczęli wiosłować z wyćwiczoną łatwością.

- Policja portowa - Cho wskazał na lekką łódź.

- Władca Wichrów z floty północnej z pilnymi wieściami dla Re Mu.

- Droga wolna - policyjny kuter podążał już w kierunku powoli płynącego statku kupieckiego.

Port o owalnym kształcie był pełen różnych statków. Ciężkie statki kupieckie, okazałe statki pasażerskie, okręty z floty, barki, kutry rybackie - zakotwiczone, kołysały się delikatnie. Z doków zaś dochodził zgiełk całego tłumu robotników.

Dalej miasto wznosiło się taras przy tarasie, wyglądając jakby ze snu. Biały, błyszczący metal barwy tęczy, mozaika skomponowana z murów i wież wznoszących się wyżej i wyżej. Domy i pałace, które Ray widział z daleka w Manoa były w porównaniu z tym, surowymi budowlami.

- Tam leży serce naszego świata. Co o tym sądzisz, bracie? - zapytał Cho. - Czy dorównuje to miastom twojej epoki.

- Nie sądzę, żeby mój czas mógł się równać z tym. Rozmiarem - tak, lecz nie pięknem.

Przybyli do brzegu i Cho przekazał dowództwo drugiemu oficerowi. Oczekiwała ich gwardia honorowa i gdy zeszli ze statku, oddała honory wojskowe poprzez uniesienie w górę mieczy. Jej dowódca przemówił do Cho:

- Odbyleś szybką podróż, Urodzony w Słońcu.

- Trzy dni z Morza Wewnętrznego - odrzekł Cho z nutą dumy w głosie.

- Doskonały czas w rzeczy samej, mój panie. Na Lady Ayna'ę oczekuje lektyka. A wy, panowie, czy udajecie się na dwór Lady Aiee?

- Tak - w głosie Cho czuło się zniecierpliwienie.

Lady Ayna uczyniła krok do przodu. - Wygląda na to, że nasze drogi rozchodzą się tutaj, moi panowie. Niewątpliwie przyjaciele i towarzysze broni nie potrzebują ceremonii pożegnalnych. Do czasu ponownego spotkania, niech Płomień was prowadzi.

Uniosła rękę w geście pozdrowienia i odeszła wraz ze swoją eskortą, szybko ginąc w tłumie. Dowódca gwardii pozostał z nimi.

- Jakie są twoje rozkazy, Urodzony w Słońcu?

- Ruszajmy tak szybko, jak tylko możemy.

Oficer torował im drogę. Ray szedł wolniej, próbując zobaczyć, co tylko się da, lecz Cho ciągle go poganiał. Dwa albo trzy skrzyżowania z jednej zatłoczonej uliczki w następną i udało im się wydostać z największego tłoku ulicznego.

Ciągle jeszcze przesuwały się karety, konie, wielbłądy, lecz było tam również wielu pieszych. Różnorodność strojów, jaskrawość kolorów, całą gamę ras, które Ray widział tylko w przelocie, trudno było zliczyć, gdyż ciągle go ponaglano. Wydawało się, że spaceruje ulicami miasta, gdzie większość świata została wymieszana, tworząc unikalny konglomerat. I marzył o tym, by móc zagłębić się w te dźwięki, widoki i wrażenia bez pośpiechu.

Cho skręcił w wąski, cichy zaułek, wyprzedzając oficera. Zatrzymał się przed

umieszczonymi w ścianie po lewej stronie szkarłatnymi drzwiami.

- Wielkie dzięki za twe towarzystwo i pomoc, panie - powiedział, a drzwi już się otworzyły pod jego silnym pchnięciem. Ray zawahał się przez chwilę, a oficer uśmiechnął się.

- Wszyscy wiedzą o Lordzie Cho. On jest dobrym synem Lady Aiee. Odpoczywaj w świetle Promienia, panie - zasalutował i odszedł.

Ray wszedł do wielkiego ogrodu, zamykając za sobą drzwi, które Cho pozostawił uchylone. Były tam palmy i kwiaty, basen otoczony dookoła omszałym marmurem. Rosły przy nim paprocie, które odbijały się w wodzie. Obok stał Cho, spjrzał na Ray'a.

- Nadchodzi...

Kobieta, która przeszła przez krótko przycięty trawnik, nie uniosła wzroku, wydawała się być pochłonięta własnymi myślami. Była takiego samego jak Cho wzrostu, jej skóra była prawie tak jasna, jak perły wokół jej szyi i szata, w którą była przyodziana. Jej włosy miały żółtawy odcień i zwisały grubymi warkoczami, w które wplecione były perły, sięgające talii. Lecz spokojne piękno jej twarzy, było wszystkim, co Ray teraz widział.

Nagle rozbudziły się w nim wspomnienia i nie był w stanie powstrzymać się przed tym, co następnie zrobił. Obrócił się na pięcie i ruszył z powrotem w kierunku czerwonych drzwi w białej ścianie. Szedł na oślep, nie widząc tego, co było wokoło, lecz to, co miał w swoim umyśle. Drzwi jednak nie ustąpiły pod naporem pchnięcia, tak jak wcześniej przed Cho. Zaczął w nie walić z siłą wystarczającą, by posiniaczyć sobie pięści.

Mój synu...

Żadnych słów - to tylko w jego umyśle, tak jak wtedy, gdy poraż pierwszy zetknął się z Cho. I - w pewien sposób - słowa te przyniosły ulgę, odpychając wspomnienia.

Lecz nie obrócił się; nie miał odwagi. Po raz ostatni uderzył w niewzruszoną zapórę z drzwi. Nie chciał... nie mógł się odwrócić i stanąć wobec...

- Ray.

Jego własne imię, brzmiące jednak nie tak, jak obawiał się je usłyszeć - czując gorzki ból po ponownym przebudzeniu się - lecz wypowiedziane innym głosem. Jego ręka opadła.

Ray...

Było to takie przywołanie do posłuszeństwa, że nie mógł go zlekceważyć. Niechętnie, jakże niechętnie obrócił się i wzrokiem napotkał oczy. Oczy, które były wszechogarniające. One sięgały wewnątrz niego, dostrzegały nie tylko to, jak teraz stoi, lecz również to, co odczuwał w ciągu minionych miesięcy. Te oczy sięgały poza barierę, pomiędzy tym czasem i jego własnym, i wiedziały... był pewien, że wiedziały...

- Ray - zabrzmiało po raz trzeci. Tym razem nie było to już żądanie, lecz zaproszenie. A na jego ramieniu spoczęła dłoń. Był jej tak świadom, jak tych wszystko-wiedzących, wszystko-widzących oczu. Ta ręka sprowadziła go z powrotem do ogrodu i w pewien sposób przeprowadziła go przez jakieś inne drzwi niewidoczne, lecz odczuwalne. Tylko dzięki miejscu, w którym się teraz znajdował, był wolny od świata, w którym się urodził.

ROZDZIAŁ 7

- Obudź się! - Ray otworzył oczy. Trząśnięcie z zimna, lodowaty chłód przenikał go do szpiku kości; nie leżał jednak na śnieżnej zaspie, choć nie znajdował się też na posłaniu, na którym wczoraj zasypiał.

Promienie księżycowego światła, tak jasne, że oślepiały jego mrugające oczy, przecinały podłogę. A podłoga pod jego nogami była zimna. Jak dostał się do tej sali i dlaczego tak stał z jedną ręką opartą na klamce? Nie miał pojęcia, czuł tylko zupełny zamęt w głowie.

- Obudź się! - Z tyłu ponownie dobiegło wydane niskim głosem polecenie.

Obrócił się ku zakapturzonej postaci znajdującej się w połowie w cieniu, a w połowie w księżycowej poświacie. Wzniesiona ręka odrzuciła w tył kaptur. Ray stał przed Lady Aiee. Drugą rękę zwróciła w jego stronę; na jej wyciągniętej dłoni mała kula ożyła białym jasnym światłem, które raziło jego oczy.

- Chodź. - Jej głos był delikatny, trochę głośniejszy niż szept. Odwróciła się jakby pewna, że wykona jej polecenie i ruszyła bezszelestnie korytarzem oświetlonym księżycowym światłem w kierunku uchylonych drzwi.

Gdy weszli do środka, umieściła kulę na trójnogu, a ta natychmiast zaczęła świecić mocniej, oświetlając pokój z krzesłami, sofą i stołem wypełnionym zwojami ksiąg.

- Tutaj! - pchnęła go na krzesło przy stole i Ray usiadł. Ciągłe trząśnięcie z zimna i wynikało to bardziej z jakiegoś wewnętrznego chłodu niż z temperatury dookoła.

Lady Aiee nalała wina do kielichów ukształtowanych niczym kwiaty. A do płynu odmierzyła kilka kropel z fiołki długości palca. - Pij! - Wcisnęła kielich w jego dłonie.

Ray był znowu posłuszny. Płyn ogrzewał mu przelyk, nawet mocniej, gdy już przestał pić. Odstawił puste naczynie, ona zaś podeszła doń i położyła ręce na jego ramionach, zmuszając do patrzenia w jej oczy. Czuł się jak porwany przez siły, których nie można ani zrozumieć, ani kontrolować. Jego słaby, instynktowny opór został natychmiast przełamany. Nie wiedział, czego od niego chciała. Oczekiwała jednak jakichś odpowiedzi.

W końcu przerwała kontakt, jej palce przestały ścisnąć mu ramiona. Gdy tylko Ray został uwolniony z tego uścisku, zrozumiał, jak był bezsilny.

- Czego...? Po raz pierwszy odważył się zadać pytanie, nie wiedział jednak, o co chciał zapytać. Jak się tutaj dostał? Czego od niego chciała?

- Chodziłeś podczas snu - powiedziała - poruszałeś się siłą nie pochodzącą z twego

budzącego się umysłu. Muszę poznać naturę tej siły, muszę wiedzieć, skąd pochodziła.

- Chodziłem we śnie! Ale...

- Powiedz, że nigdy przedtem tego nie robiłeś - odpowiedziała Lady Aiee. To prawda, o której wiesz. Słuchaj jednak, mój synu. Jak słyszałeś, jestem ze świątyni. Tam mnie uczono. Ludzie w twoich czasach polegają na rzeczach materialnych, na wiedzy popartej dowodami, które człowiek może zobaczyć, usłyszeć, posmakować lub czuć. My mamy inne nauczanie, które nie jest tak oczywiste. Ono zajmuje się tym, co niewidzialne, niesłyszalne, tym co może być odbierane pośrednio, ale nie ukazane w jasnym świetle dnia.

- Ty jednak nie jesteś z naszej krwi i nie ten świat cię ukształtował, wiele więc z tego, co jest w tobie jest dla nas nowe. Możesz posiadać nowe energie, których nie znamy, mimo naszego doświadczenia w tych sprawach. Siły, których nie rozumiemy, ty możesz podporządkować swej woli. Jeśli chodzenie we śnie przytrafia się jednemu z moich ludzi, oznacza to, że jest on pod czyjąś kontrolą. To może być zła rzecz i ofiara musi przejść oczyszczenie w świątyni.

- Pod kontrolą?

- Poruszany wolą kogoś innego. Tak właśnie robią synowie Cienia.

Ray potrząsnął głową. - Nie jestem Atlantą. Powiedziałem Cho i tobie prawdę.

Lady Aiee skinęła. To wiem. Dla kogoś ze świątyni dotyk Cienia jest jak szrama po płomieniu na ludzkiej twarzy. Gdybyś był opanowany wbrew swej woli, dowiedziałabym się o tym, gdy „czytałam” cię przed chwilą. Coś jednak pobudziło cię do chodzenia, gdy jedna część twego umysłu odpoczywała. Ważne jest, byśmy to coś rozpoznali. Może być tak, że twój własny świat krępuje twego ducha i będzie cię przywoływał. Albo może być tak...

- Jak? - To wszystko brzmiało wiarygodnie, gdy mówiła, jednak jego wiedza i doświadczenie sprawiały, że podważał to jako mające nie więcej prawdy niż światło księżyca w korytarzu materii.

- ...że coś jeszcze stara się cię użyć. Gdy zabrali cię Atlanci, jeden z ich Czerwonych Sukni przyglądał się tobie, nieprawdaż? A ci, którzy cię schwytali, oddali mu rzeczy, które miałeś przy sobie, gdy zostałeś uwięziony. Tak więc on ma w pamięci twój obraz, a w dłoniach rzeczy, które były bardzo blisko twego ciała. Zdolny mag mając tak wiele może sporo zdziałać. Jeśli to jest przyczyna, to przez jakiś czas jesteś bezpieczny. Środek, który przed chwilą wypileś sprawi, że nie będziesz już celem takich poszukiwań i ataków. A ludzie ze świątyni popracują nad tobą.

- Ale... To jest magia! To nie może się dziać! To przypomina wbijanie igieł w lalkę i wyobrażanie sobie, że wróg cierpi.

Wciągnęła powietrze tak gwałtownie, że Ray się obejrzał.

- Co wiesz o igłach, lalkach i złych życzeniach? - Ciepło zniknęło z jej głosu, czyniąc go obcym i nieprzyjaznym.

- Historyjki z mojego świata, w które żaden myślący człowiek nie uwierzy.

- Nie? W takim razie są głupcami, a nie myślącymi ludźmi. Stare moce muszą być prawie zapomniane. Ale pewne siły dochodzą do głosu w źle czyniących. Nie lekceważ starych historii, człowieku spoza czasu, bo spoczywa w nich ziarno prawdy. W świecie jest światło i ciemność i poszczególni ludzie ku nim się skłaniają. Jeśli zechcą zapłacić - ponieważ wszystko ma swą cenę - wtedy posiadą pewną wiedzę i moc potrzebną do jej użycia w zależności od tego, ile się nauczyli. Ci zaś, którzy się nie uczyli, widzą tylko materialne rzeczy i myślą, że to, co widzą, to ich istota, nie wiedząc, że powinni bać się i uciekać od tego, co kryje się za tymi zabawkami. A w tych czasach to nie są zabawki. Słuchaj i uwierz. Drwienie z tego może kosztować cię życie!

- Myślisz, że prawdopodobnie ten atlancki kapłan próbował dotrzeć do mnie w jakiś sposób? Ale dlaczego?

- Z powodów, które ty sam możesz wymienić, jeśli pomyślisz. Daleko ci do głupoty. Po pierwsze, jesteś nowym elementem, który znalazł się w środku starej kłótni w czasie kryzysu. A tacy są zawsze traktowani z obawą... .

- Ależ ja jestem tylko człowiekiem, bez jakichś specjalnych zdolności.

Lady Aiee ożywiła się. - Przedtem jeden człowiek przeważył szalę, skierował prądy historii na nowe drogi. To, co nosisz w sobie, może posłużyć tym, po stronie których zdecydujesz się stanąć. To pierwszy powód, by roztoczyć kontrolę nad twym umysłem - choć czynienie tego tak blisko twierdzy Słońca jest zuchwalstwem, w które trudno uwierzyć. Z drugiej strony jesteś wśród nas, zaakceptowany i bezpieczny, możesz więc być okiem i uchem dla nich. Nie - musiała czytać w jego myślach - nie złość się. Mieliby przewagę, gdyby uczynili to bez udziału twojej świadomości. Być może - zmarszczyła czoło - przez moją ostrożność popełniłam błąd. Może przyglądanie się i czekanie byłoby lepsze.

- Zobaczyć, dokąd pójdę - kontynuował jej myśl - jeśli spróbuję znowu.

Lady Aiee potrząsnęła głową. - Nie spróbujesz, przynajmniej nie przez kilka dni. Czy nie powiedziałam, że ten środek uwolni cię spod tego wpływu. Ludzie ze świątyni będą wiedzieć więcej niż ja. - Teraz, jeszcze raz jej ręce spoczęły na jego ramionach, stawiając go na nogi, wrócisz na swoje posłanie, gdzie będziesz dobrze spał, a rano obudzisz się wypoczęty i ze spokojnym umysłem.

Czy to spotkanie było snem, zastanawiał się, gdy przewracał się na posłaniu, czując

ciepło słońca na głowie i ramionach. To nie mógł być sen, gdyż pamiętał zbyt wiele szczegółów, prawie jakby było to ostrzeżenie.

- Hej! - Cho wszedł do środka. - Wstawaj, bracie, nie tylko jedzenie, ale i piękny poranek czekają na ciebie!

Pływali w basenie ze srebrnym piaskiem na dnie i rzędem fantastycznych potworów wyrzeźbionych na jego krawędzi. Potem założyli jedwabne tuniki.

- Włosy ci rosną - zauważył Cho - to dobrze. Wolny wojownik nie chodzi ostrzyżony jak niewolnik. Sam uczesał swoje długie loki i spiął je perłowymi klamrami na karku.

Lady Aiee siedziała już przy stole, na tarasie powyżej ogrodu, gdy do niej dołączyli. Kruszyła w dłoniach małe, zbożowe ciasteczka i rzucała okruchy w kierunku gromady pięknych ptaków na kamiennym chodniku, śmiejąc się ze swej łaskawości. Otrzepawszy ręce podała je Cho, a potem Ray'owi, a Amerykanin próbował naśladować grację Murianina, gdy je całował.

- Piękny poranek, moje dzieci. Ale nie można go spędzić tak, jak byśmy sobie tego życzyli...

- Wezwanie? - zapytał szybko Cho.

- Przed chwilą - do pałacu. Być może potem będziemy mogli pokazać Ray'owi część miasta. Amerykaninowi wydało się, że patrzy na niego ze smutkiem, jakby jej myśli były bardzo poważne. Czy ciągle myślała, że może być zagrożeniem dla tego wszystkiego, nieświadomym szpiegiem pośrodku nich. Ray stracił tę odrobinę radości, którą czuł odkąd się obudził. Żaden obłok mógł nie przysłaniać słońca, ale nocne mary z chłodem przebiegły mu po grzbiecie.

Cho rozpoczął szybkie pouczanie o tym, co trzeba zrobić zgodnie z dworską etykietą, więc Ray zmusił się do skupienia uwagi na jego słowach. Wydawało się, że Muriański Cesarz nie żył w sposób dopuszczający takie półprywatne spotkania, na jakie zostali wezwani, trzeba było jednak podporządkować się pewnym formom.

Lady Aiee przerwała synowi po chwili. - Ray, Re Mu nie jest podobny do żadnego człowieka w naszym świecie i jak wierzę, także w twoim. On jest o jedną sferę dalej, wybrany na Urodzonego w Słońcu. Był poddany podczas nauki takim doświadczeniom, jakim żaden inny człowiek nie mógłby stawić czoła. Nasza władza nie przechodzi z ojca na syna, jak to się zdarza w kilku mniejszych królestwach, ale na najlepszego mężczyznę następnego pokolenia, po dokładnej selekcji pośród wszystkich, w których żyłach płynie krew Urodzonego w Słońcu. Ten, który zasiada na tronie Słońca, jest w rzeczywistości tym spośród nas, który dowiódł swego prawa do dzierżenia w swych dłoniach całej mocy. Nie bądź przed nim

niespokojny. On rozpoznaje prawdę i fałsz lepiej niż inni, a uczciwy człowiek o dobrym sercu nie ma się czego obawiać w jego obecności.

Czy było to znowu coś więcej niż ostrzeżenie? Ray nie mógł tego stwierdzić. Nie było jednak odwrotu, a o ile wiedział, był uczciwy. Przestraszył się własnych myśli. Dlaczego miałby kwestionować swą uczciwość? Te ostrzeżenia, magia, trzeba to odrzucić i skupić się tylko na tym co się stało. Miał jasną opowieść i każde słowo tej opowieści było jej prawdą. Wsiedli do zasłoniętych lektyk. Nie był to ulubiony środek transportu Ray'a, ale tak nakazywały obyczaje. Z pałacu nie przysłano eskorty, by utorować im drogę i dopilnować, by ich podróż odbyła się możliwie szybko. Gdy w końcu tragarze postawili lektyki na ziemi, Ray wysiadł i znalazł się na dworze wśród szemrzących fontann. Przed nim był szereg schodów w górę, po których poprowadziła ich Lady Aiee. Ray podążał stopień lub dwa za nią po lewej stronie, a Cho po prawej. Podała strażnikowi ich imiona, a ten stanął na baczność przy wejściu do sali.

Na jej dalekim końcu wisiała kotara w kolorze kości słoniowej a obok srebrny gong i młot. Lady Aiee uderzyła w gong dwukrotnie i zanim echo zamilkło, głos zza kotary przemówił:

- Wejdz, Aiee, z synem syna mojego brata i obcym z daleka.

Weszli do większej komnaty o ścianach i podłodze z kości słoniowej, na których nie było śladu użycia szlachetnych kamieni czy metali. Dach powyżej był kopułą o środku otwartym na niebo, a dokładnie pod nim znajdowało się czterech mężczyzn. Zamiast cudownych jedwabi, jakie Ray widział wcześniej, trzech nosiło długie białe szaty z kapturami odrzuconymi na plecy, podobne do tej, w którą odziana była Lady Aiee poprzedniej nocy. Byli starzy, pochyleni, a ich włosy były tak białe jak ich szaty.

Czwarty siedział trochę z boku. Jego tunika była żółta, a pas wykonany z czerwonego metalu, takiego samego jak ten, z którego zrobione były tarcze chroniące ich w czasie bitwy. Na głowie miał koronę w kształcie słońca zwieńczoną dziewięciogłowym wężem.

Lady Aiee klękła na jedno kolano. Cho i Ray mniej zręcznie podążyli za jej przykładem.

- Pozdrawiam cię, Aiee, i ciebie Cho. Ciemne, niebieskie oczy człowieka, który władał większością świata, były teraz zwrócone na Ray'a. - I ciebie także, przybyszu, który odbyłeś tak długą podróż. Podejdźcie tutaj. Podniósł się i poprowadził ku drugiemu końcowi komnaty, gdzie stały ławy z kości słoniowej wyściełane jedwabiem. Skinał, by przed nim usiedli.

- Lady Aiee ma nam wiele do powiedzenia - rozpoczął. Ray nie mógł przestać spoglądać na Cesarza. Te ciemne oczy - jak oczy Lady Aiee, wydawały się spoglądać nie na to, co znajdowało się przed nimi, a na to, co leżało poza zewnętrznym wyglądem. Były stare, bardzo stare i bardzo mądre, pełne mądrości, której nie spotkał nigdy w swoim czasie i swojej przestrzeni. Mężczyzna zaś nie mógł być starszy niż w średnim wieku.

Cesarz patrzył na Cho - czułeś, że ten ścigacz był obcym statkiem?

- Po tym jak dwie osoby z mojej załogi zostały zabite, uruchomiliśmy wyziewacz śmierci. Mimo, że otoczył okręt, on ciągle płynął za nami. To było zupełnie tak, jakby ci obcy byli nieśmiertelni.

Jeden z Naacali podszedł bliżej i powiedział: - Jeśli tak jest, to obawiam się, że zapłacili za to taką cenę, która zaciąży na nich w dniach, jakie nadejdą. - Trzeba im współczuć - Re Mu przerwał i uśmiechnął się nieśmiało. - Uczyniłeś to, co należało, Cho. A teraz... - Jego oczy raz jeszcze zwróciły się ku Ray'owi.

- Myślę, że już nam pomogłeś, człowieku z przeszłości, uwalniając Cho z rąk Atlantów. Najprawdopodobniej posiadasz moce nieznane naszej wiedzy i siły nam obce. Ale dlaczego twój los zetknął cię z losem Mu?

- Mój świat zniknął. Jeśli chodzi o pomoc Cho, to najpierw on mi pomógł. Poza tym - nic nie wiem. Po chwili Ray dodał. Czy mam szansę wrócić do mego czasu?

Re Mu odwrócił się do kapłana, a Naacal odpowiedział wysokim cienkim głosem. - Gdyby ten młodzieniec przybył tutaj przez sen, albo duchem, tak jak my odwiedzamy inne czasy, zapewne byłoby to możliwe. Ale przejść ciałem to zupełnie inna sprawa. Żaden z tych, którzy odważyli się przejść - nie powrócił.

- Wierzę, że musisz przyjąć tę prawdę - powiedział Re Mu. A jego oczy badały głębiej i głębiej zanim dodał. - Dano ci imię Ray, co w naszym języku oznacza moc Słońca, to potężny znak. Powiedz mi, co myślisz o tym atlanckim statku, który powinien być martwym wrakiem a płynął za wami?

- Myślę, że to był „zły”.

- Wszyscy się z tym zgadzacie. Ja także uważam, że zawierał zło. A stanięcie przed nieznanym złem wymaga przemyślenia tego na długo przedtem. Zamilkł, a gdy przemówił znowu, jego głos przybrał formalny ton.

- Pozwólcie temu młodzieńcowi być zaliczonym do Urodzonych w Słońcu, nawet jako syn naszego domu. Powinności tego stanu będą jego powinnościami, ponieważ ja tak wam powiedziałem. Mój synu, między nami obowiązki dalece przewyższają prawa. I może się zdarzyć, że zaczniesz postrzegać nasz świat jako niemiły. Ucz się z niego, ile tylko możesz,

także wtedy, jeśli on będzie uczył się od ciebie.

Wydawało się, że ich audyencja została zakończona i mogą odejść. Raz jeszcze na zewnętrznym korytarzu z dala od Cesarza, Ray próbował zrozumieć, jakie były przyczyny oddziaływania Re Mu na niego. Nie był to efekt zachowania Murianina, mimo całej swej doskonałości. Nie była to też jakaś wielka mądrość jego słów. Nie było to nic, co robił lub mówił, raczej coś, co było za nim jak wielka, falująca osłona, która sprawia, że obawia się go i darzy głębokim szacunkiem.

Wrócili do lektyk i tragarzy. Lady Aiee uśmiechała się.

- Jako że nie jesteśmy już na wezwaniu - powiedziała - poleciłam, by zabrano nas na rynek, aby Ray mógł zobaczyć ruchliwe serce miasta.

Odsłonięcie zasłon w lektykach okazało się teraz czymś właściwym, a Ray ucieszył się, gdy Cho je odsunął, bo mógł oglądać miasto. Ulice były szerokie i dobrze ułożone, z klombami otoczonymi kamieniami i drzewami zdobiącymi je w równych odstępach. Na krawędzi placu zatrzymali się, a Lady Aiee podziękowała i odesłała eskortę z tragarzami.

Ray dostrzegł w tłumie kilka osób ubranych prościej niż on i jego towarzysze. Nie było jednak nikogo w łachmanach lub gorzej niż dobrze odżywnionego.

- Sprzedawcy kwiatów - Lady Aiee wskazała na boczną drogę pełną barw. Cho podszedł do jednego ze straganów i wrócił po chwili z małym bukietem kwiatów o słodkim zapachu, które wręczył swej matce. Ta zaś przyjęła je z wdzięcznością.

- Dlaczego oddech wiosny nigdy nie wyrósł w naszych ogrodach. Płomień wie, że próbowaliśmy wyhodować go wiele razy, opiekując się i troszcząc o niego. A on zawsze schnął i obumierał. To jedna z tajemnic, której żaden Naacal nie rozwiąże. Teraz - położyła rękę na ramieniu Cho - Czyż nie jestem winna podarunku powracającym do domu? Jakież może być lepszy moment na ich wybranie?

- Czy ciągle jesteśmy mile widziani - roześmiał się Cho. - Jeśli tak, to miejmy coś z tego. Dokąd więc, moja pani?

- Myślę, że do Kraffitiego.

Przeszli aleję sprzedawców kwiatów i weszli na boczną drogę, pełną sklepów. Słońce padało tu i tam, tworząc tęczowe łuki ze światła odbijanego od towarów umieszczonych na rozstawionych ladach. Ray nigdy nie widział takich otwartych pokazów klejnotów i rozglądał się zadziwiony, pozostając nieco w tyle za resztą. Wiele kamieni było osadzonych w nieznanym mu czerwonym metalu, zapytał więc Cho, co to jest.

- Orichalcum. Ma wiele właściwości, a jest mieszanką złota, miedzi i srebra, ale proporcje są strzeżoną tajemnicą kowali.

Jeden ze sprzedawców wstał, by pozdrowić Lady Aiee.

- Płomień naprawdę wyróżnia mnie dziś, jeśli Urodzona w Słońcu i jej towarzysze znajdują przyjemność w odwiedzeniu mego skromnego sklepu.

- Rzeczywiście Kraffiti, jeśli będziesz tworzył takie dzieła, to musisz cierpliwie kontynuować kuszenie nas. Wiele słyszałam o pewnym perłowym nakryciu głowy.

- Spocznij, o Urodzona w Słońcu, a zostanie to przyniesione do twej oceny. - Ham - zwrócił się do swego pomocnika - przynieś szybko koronę sto dziesięć.

- Teraz zobaczymy prawdziwe piękno. - Cho powiedział Ray'owi szeptem. - Kraffiti jest mistrzem rzemieślników, a jego agenci zdobywają mu najpiękniejsze kamienie z całego świata.

Pomocnik pojawił się, dźwigając hebanową tacę. Na jej czarnej powierzchni umieszczono naturalnej wielkości popiersie kobiety, również wykonane z czarnego drewna, na jej głowie była korona. Siatka z różanych pereł podtrzymywała włosy z tyłu, a nad czołem wznosił się dziewięciogłowy wąż wykonany z tych samych kamieni, a niektóre z nich były tak duże, jak paznokieć kciuka Ray'a. Lady Aiee wyciągnęła palec i uderzyła w głowę węża, nim przemówiła.

- Dobrze dopracowałeś swe pokusy. Teraz, gdy to zobaczyłam, nie będę mogła spać, dopóki to nie będzie moje.

- Ależ oczywiście! Czyż nie wpłynąłem na myśli Urodzonej w Słońcu? Nikomu innemu bym tego nie zaoferował. Jeśli tego nie zechcesz, zostanie zniszczone, a perły użyte do czegoś innego.

- Jest moja. Niech przyniosą to na dwór. Teraz pokaż nam naramienniki, jako że jestem winna podarki powracającym do domu wojownikom, którzy spełniali obowiązki w odległych miejscach - uśmiechnęła się do Ray'a. - Mamy taki zwyczaj podarowywania małych skarbów powracającym z trudnych wypraw. Wybierz sobie jeden z nich i noś na szczęście.

Ray spojrział na oszałamiający zbiór wysadzanych kamieniami naramienników. Potem zwrócił wzrok ku Lady Aiee. - Wybierz coś dla mnie, to podarek od ciebie. - Uśmiechnęła się szeroko; wiedział, że sprawi jej przyjemność.

- Ten więc. - Podniosła naramiennik wyrzeźbiony z gagatu w formie dziewięciogłowego węża o oczach wykonanych z diamentów. - Węże są symbolem mądrości, której wszyscy ludzie potrzebują. Ten jest jedyny w swoim rodzaju.

- Zatrzymaj także ten - powiedział do niej Kraffiti i podał jej inny z mlecznego nefrytu, o podobnym kształcie, lecz o oczach z rubinów.

- Ten będzie twój Cho, jeśli ci się podoba.

- Bardzo. - Cho odpowiedział bezzwłocznie.

- Na wewnętrznej stronie umieść imiona - poleciła Lady Aiee. - Na czarnym „Ray”, a na nefrytowym „Cho”, i przyślij je z koroną.

- Załatwione. Urodzona w Słońcu.

Ray patrzył na nie, leżące razem, czarny naprzeciwko białego, obydwie błyszczące. Wydawały się przez to bardziej kontrastowe. Zdaje się, że oni czczą tutaj węże, nie znając uprzedzeń ludzi z mojego czasu do tego gatunku gadów. Naramiennik był pięknie wykonany, był dziełem sztuki i podarkiem od przyjaciela. A jednak - nie wiedział dlaczego wolałby zostawić go tam, gdzie był teraz, by nosił go ktoś inny. Ten czarny naramiennik krył w sobie jakąś straszną zapowiedź.

Zerwał się szybko na nogi, uświadamiając sobie nagle, że czekają na niego. Lady Aiee przyglądała mu się uważnie.

- Co jest? O co chodzi? Zapytała odrobinę szorstko.

- Nic. Kontrast pomiędzy białym i czarnym czyni je bardziej interesującymi.

Popatrzyła na naramienniki. - Tak, to prawda. I to wszystko?

- Tak - odpowiedział. Postanowił nie mieć więcej przeczuć - one wydawały się być zbyt łatwym łupem w tym świecie.

ROZDZIAŁ 8

Mimo że życie na dworze Lady Aiee na pierwszy rzut oka sprawiało wrażenie zbyt kownego i pełnego rozrywek, Ray odkrył, iż w rzeczywistości nie było tak bez troskie dla nikogo z nich. Jego własne zadanie polegało na czytaniu muriańskich rękopisów po to, by następnie mógł przystąpić do czytania książek w formie zwojów. A to nie było łatwe. W miarę jak mijał czas, Ray zaczął zauważać, że pewne sfery muriańskiego życia nie są przed nim tak otwarte, jak dostęp do tych zwojów, nad którymi tyle ślęczał.

Lady Aiee znikwała na całe godziny, oddając się swym obowiązkom w świątyni. Był to jedyny z ważnych budynków w mieście, do którego odwiedzenia nie został zaproszony. Jak wywnioskował, świątynia stanowiła samo serce tego kraju. Dlaczego tak zwlekają, by mu ją pokazać?

Czy było to jednak zwlekanie? Ray zapytał sam siebie pewnego ranka, gdy podszedł do okna, by dać odpocząć swym oczom, przypatrując się zieleni na zewnątrz. Tego właśnie dnia usłyszał kilka słów z rozmowy pomiędzy Cho i jego matką; wystarczająco dużo, by dowiedzieć się, że Cho wybiera się do świątyni na specjalną ceremonię poświęconą tym, którzy zginęli na morzu. Nikt jednak nie wspominał o tym Ray'owi ani słowem.

Czy nadal chodził we śnie zmuszany przez coś, co według Lady Aiee z całą pewnością było wolą kogoś innego? Jeśli tak, to nie zdawał sobie z tego sprawy. Czyżby ciągle podejrzewali go do tego stopnia, że nie zabierają go do świątyni, którą darzą szacunkiem?

Słońce jest symbolem ich najwyższej istoty. Jest to stosunkowo łatwe do zrozumienia, gdyż jest to jedno z najstarszych wierzeń. Był też Płomień - jeszcze jeden symbol o religijnym znaczeniu, o którym wspominali od czasu do czasu.

Jak dotychczas poruszał się tylko w granicach, które jak sądził - zostały dlań wyznaczone, chodząc wyłącznie w czyimś towarzystwie tam, gdzie go zaproszono lub na targowisko, czy do doków z Cho. Raz tylko był na przyjęciu nad rzeką, gdzie gośćmi były również Lady Ayna wraz z gospodynią domu, w którym mieszkała. Zapamiętywał to, co zobaczył, aby to później przemyśleć na osobności. Ciągle jednak był przeświadczony, a obecnie myśl ta stawała się coraz silniejsza, że to co mu pokazywano, to tylko powierzchowne rzeczy, a wszystko co naprawdę miało w tym państwie jakieś znaczenie, trzymano przed nim w tajemnicy. Pomimo dobrych manier i przyjaznego stosunku otaczających go ludzi ciągle pozostawał obcym.

- Mój panie...

Tak był pochłonięty własnymi myślami, że przeląkł się tych słów, które doszły go od strony drzwi. I właśnie wtedy pewne podejrzenie zakiełkowało w, jego umyśle. Być może tak naprawdę nigdy nie pozostawał sam. Spojrzał do tyłu na służącego.

- Tak, Tampro?

- Posłaniec od Wielkiego.

- Lady Aiee i Lord Cho wyszli...

- Posłaniec chce rozmawiać z tobą, panie. Przybył w pośpiechu.

Królewski posłaniec do niego?

- Niech wejdzie.

Lecz Tampro już wyszedł, a w chwilę później w tym samym miejscu stał człowiek w mundurze straży pałacowej.

- Bądź pozdrowiony. Wielki prosi, abyś łaskawie przybył do Komnaty Niebios.

Ray skinął głową. Miał zamęt w głowie i zapomniał wypowiedzieć stosowną, oficjalną formułkę. Ruszył za posłańcem do lektyki. Zauważył, że ponownie, zaraz gdy do niej wsiadł, spuszczone zasłonki, tak że nie mógł ani widzieć, ani być widzianym. Dlaczego? Wyobraźnia podsunęła mu kilka odpowiedzi, a każda bardziej szalona od poprzedniej. Tragarze ruszyli truchtem, co sugerowało pośpiech.

Usłyszał pytanie wartowników oraz wypowiedzianą niskim głosem odpowiedź kogoś ze swojej eskorty. Ruszyli dalej, pozostawiając za sobą tumult ulic, wkraczając w strefę względnego spokoju. W końcu tragarze zatrzymali się i postawili swój ciężar.

Ray wysiadł, tym razem nie był to jednak ten dziedziniec, który odwiedzili wcześniej. Pomiedzy wysokimi ścianami była wąska przestrzeń.

Nie rosły tu żadne rośliny, które przełamałyby nagość białych kamiennych przestrzeni. Wyczuwało się obietnicę jakiegoś ponurego celu, co obudziło w nim ostrożność.

Naprzeciwko niego znajdowały się drzwi wiodące do wieży. Biała powierzchnia jej ścian była gładka, z wyjątkiem drzwi. Lecz kiedy Ray spojrział w górę, ujrzał symbole ze złota umieszczone ponad nim. Pomimo długiej nauki nie był stanie odczytać ich znaczenia. Posłaniec stał w drzwiach, kiwając ręką na Ray'a, by ten się doń przyłączył.

- Wielki oczekuje cię! - W jego głosie słychać było zniecierpliwienie. - W górę... - Stał z boku, by wskazać Ray'owi schody zakręcone wokół wewnętrznych ścian wieży. Amerykanin wspinał się na nie sam, a oficer pozostał na dole.

We wnętrzu wieży panowała dziwna prostota, jakby została ona celowo zaprojektowana tak, żeby imitować starsze i prymitywniejsze formy architektury z czasów, gdy ludzie budowali z surowego kamienia, ucząc się dopiero rzemiosła. Schody przez otwartą

studnię wieży wiodły do pustego pokoju, który zajmował całą kondygnację. Schody jednak piły się dalej wiodąc przez następny pusty pokój, potem jeszcze jeden.

Wreszcie dotarł do szczytowej części. Oprócz Re Mu oczekiwało go również dwóch Naacal'ów. Za nimi w zaokrąglonej części ściany w pewnych odstępach znajdowały się nieprzepuszczające światła owalne otwory z pewnością nie pomyślane jako okna, gdyż - mimo, że na zewnątrz jasno świeciło słońce - nie przenikało przez nie żadne światło. Jedynym źródłem światła były kule umieszczone na trójnogach przy trzech siedzeniach. Pozostała część pokoju w swej nagości przypominała inne komnaty.

Ray ukląkł, czując się niezręcznie i głupio, zgodnie jednak z etykietą dworską. Jakkolwiek żaden z nich go nie pozdrowił. Zamiast tego znalazł się w centrum ich badawczego spojrzenia i jego podejrzliwość wzrosła. Sprawiało to wrażenie przesłuchania, z tą różnicą, że on nie popełnił żadnej zbrodni, za którą musiałby odpowiadać.

- To prawda. Nie wezwaliśmy cię na przesłuchanie.

Re Mu pierwszy zabrał głos. - Nie z powodu przeszłości cię tu wzywamy, lecz z powodu tego, co ma się dopiero wydarzyć.

Ray był oszołomiony. - Uważacie, że działam na waszą niekorzyść? - Więc o to chodziło, to przez podejrzliwość Lady Aiee. Czyli miał prawo się obawiać.

- Nie; możesz się nam dobrze przysłużyć, nie źle! Opowiedz mu U-Cha.

- Rzeczy mają się tak - powiedział jeden z Naacal'ów. - Ci z Atlantydy zamknęli teraz drogi myśli, co się nigdy nie zdarzyło od czasu, kiedy lądy i żyjące istoty wypelzały z dna morza po tym, jak Hyperborea została zepchnięta w głębiny. Zawsze pewna grupa ludzi z Ojczyzny była szkolona, żeby komunikować się z wysłannikami przebywającymi w koloniach. W ten sposób Re Mu wydaje rozkazy swym namiestnikom z innych terenów. Teraz możemy się porozumiewać tylko z ograniczonymi posterunkami Mayax'u, ci, którzy wybrali z własnej woli przejście na stronę Cienia przekroczyli barierę, której żaden z nas nie może przeniknąć. A co tam knują, musimy się dowiedzieć dla dobra Ojczyzny.

- Tak to wygląda. - Re Mu pochylił się lekko do przodu i ponownie ta przytłaczająca aura, która wydawała się być jego nieodłączną częścią ogarnęła Ray'a. Czy działo się tak za sprawą władcy, czy nie - Ray nie wiedział. - Nie możemy przełamać tej bariery. Istnieje jednak szansa, że ty mógłbyś tego dokonać. Pochodzisz z czasu, w którym ludzie posiadają odmienne myśli i moce. To, co nas zatrzymuje, może nie być przeszkodą dla ciebie. Czy zechciałbyś pomóc nam sprawdzić, co robią nasi wrogowie?

- Czy macie na myśli wysłanie mnie do Atlantydy? - spytał Ray powoli.

- Cieleśnie nie, ale w myślach - odpowiedział Naacal U-Cha.

- Na takie wyprawy - dodał Re Mu - znamy wiele zabezpieczeń. Och... - Przerwał wciąż patrząc na Ray'a - Widzę, że niewiele wiesz o umyśle i jego możliwościach. Ludzka siła w twoich czasach opiera się na czymś innym. Więc dla ciebie jest to przerażająca rzecz, dlatego że wkraczasz w obszar, którego nie rozumiesz ani nie potrafisz kontrolować. Ale nie bądź taki podejrzliwy wobec tego zadania. Kiedy już się nauczysz, będziesz mógł używać sił wewnętrznych tak, jak to czynią wszyscy Urodzeni w Słońcu. Szanuję jednak twoje wahania, gdyż dla ciebie jest to nieprzebrany odstęp, po którym nie biegną żadne ścieżki, niezbadanego morza.

Jestem dla nich użyteczny - pomyślał Ray. Będą, ostrożnie obchodzić się z narzędziem, którego potrzebują. Prawdą jest, że komunikował się z Cho i innymi, i że to nie wyrządziło mu żadnej krzywdy. Aczkolwiek Lady Aiee ostrzegła go, że być może został sprawdzony jako narzędzie przez przeciwnika.

- Nie! - Re Mu znów czytał mu w myślach. - Czy sądzisz, że ryzykowałibyśmy użycie czegoś, w co wątpimy? Zobaczysz dowód na to tu i teraz.

Drugi z Naacal'i wydobyl spod płaszcza kryształową kulę taką samą jaką Ray widział w ręce Lady Aiee tej nocy, gdy chodził we śnie.

- Weź ją w obie dłonie, dotykając ją najpierw serca, a potem czoła.

Kapłan nie wręczył mu jej, lecz otworzył dłoń i kryształ sam przepłynął w jego stronę. Ray chwycił go i posłusznie zamknął go w swych dłoniach. Kryształ nie był chłodny, tak jak się spodziewał, lecz ciepły. Przyłożył ręce do piersi na długą chwilę, następnie, na znak Naacal'a uniósł je do czoła.

- Zwróć go teraz... - Naacal wyciągnął dłoń i kryształ powędrował z powrotem w taki sam sposób w jaki, otrzymał go Ray. Kula świeciła teraz delikatnie, lecz poza tym nic się w niej nie zmieniło. Wszyscy trzej patrząc na nią kiwali głowami jak jeden mąż.

- Nikt splamiony Cieniem nie byłby w stanie tego uczynić - powiedział Re Mu.

- Jaki jest twój wybór? Musi być podjęty dobrowolnie.

- Skąd mam wiedzieć, czemu się przyglądać, gdy tam pójde? - zapytał Ray.

- Wyślemy cię we właściwe miejsca - odpowiedział Władca.

- Kiedy?

- Teraz. Zwłoka jest niebezpieczna.

Ray zwilżył usta językiem. Tak czy nie? Nie miał wątpliwości, że głęboko wierzą w to, co chcą uczynić. Lecz dla niego było to wątpliwe. Cóż, niech spróbują, skoro dla nich to tyle znaczy.

- Zgoda - odpowiedział szybko, obawiając się, że zwątpienie weźmie górę.

Naacal'owie przejęli inicjatywę. Pod wpływem dotyku jeden z kamieni w ścianie obrócił się. Ich oczom ukazał się basen z wodą iskrzącą się życiem. Rozebrali Ray'a i wykopalili. Po kąpieli odczuł mrowienie. Następnie owinęli go w szatę tak białą jak ich własne i posadzili na tronie Re Mu. Władca stanął za nim i zawiązał mu oczy trzymaną w dłoni przepaską.

- Ujrzyj ciemną zasłonę wiszącą przed tobą - rozkazał muriański władca.

Nagle się pojawiła - czarna, gruba, namacalna, zwisająca szerokimi fałdami.

- Przejdź przez nią! - zadźwięczało mu w uszach polecenie.

Ray spełnił rozkaz. Pod palcami poczuł gładki materiał, i jego ciężar na całej ręce, gdy wciskał się w nią szukając wejścia. Nagle przyłgął do niej przerażony, gdyż wokół czuł płomienie, które przypalały jego ciało.

- Cofnij się! - gdzieś krzyknął jakiś głos, był jednak ledwo słyszalny.

Ray potknął się. W zasłonie utworzyła się szpara, obiecując ucieczkę przed tym dziwnym ogniem, którego nie widział. Rzucił się w nią i znalazł się pośród jakiegoś światła.

Stał w jednym końcu długiej, kolumnowej komnaty, której czerwone ściany skąpane były w cieniu. Na ścianach, w przytłumionych kolorach, nie tracąc przy tym nic ze szczegółów, widniały freski, które wymyślić i namalować mógł tylko diabeł z piekła rodem. Ray próbował odwrócić głowę, oderwać wzrok; było mu niedobrze. Czuł jednak, że siła, która kontroluje każdy jego ruch, zmusza go, by przyglądał się wszystkim tym okropnościom, jakby oceniając całe ich okrucieństwo i ohydę.

Gdy przeszedł wzdłuż całej mrocznej części sali oddzielonej od reszty rzędem kolumn, zauważył, że nie jest sam. Za filarami znajdował się ołtarz z czarnego kamienia, a przy nim grupa pochłoniętych czymś osób. Śpiewały one jakąś monotonną pieśń, której słów nie rozumiał. Ray zatrzymał się za jedną z kolumn, wiedząc, że to również jest coś, co musi zobaczyć.

Na ołtarzu stała rzeźba ze złota z głową byka o rozłożystych rogach, która wyglądała dziwnie w połączeniu z ludzkim korpusem. Wokół połyskującego złotawo złota unosił się mroczny, czarny obłok. Ray bez większego zdziwienia, rozpoznał w tej rzeźbie szatana, którego nieodłącznym symbolem w myślach ludzi jest właśnie ta bestia.

Przy ołtarzu było ich pięciu. Dwóch ubranych było w czerwone szaty, mieli ogolone głowy, jak ten atlancki kapłan, którego widział na pokładzie statku. Byli sługusami tego plugawego boga. Trzeci miał na sobie zbroję wojownika, a czwarty nosił kosztowną szatę i wiele klejnotów.

Ten ostatni miał małe, okrągłe usta z bladymi wargami, jak jakieś diabelskie szczenię.

Jego małe oczka osadzone były głęboko w fałdach tłustej skóry. Ray poczuł nagły przypływ nienawiści i obrzydzenia, jakby wszystkie jego emocje zostały tak wzmocnione, że reakcja wystąpiła szybko i gwałtownie.

Na niższym stopniu ołtarza leżał piąty mężczyzna. Był rozebrany i związany - bezradny więzień. Bił jednak od niego pewien rodzaj światła, który Ray odczytał jako odzwierciedlenie desperackiej odwagi. Po cerze i włosach Ray odgadł, że pojmany jest Murianinem.

Śpiew umilkł, a jeden z kapłanów poruszył się. Od ostrza, które trzymał w ręce odbiło się ponure światło.

- Głupcze! - jeniec splunął na Czerwoną Suknię. - Mu zwycięży was wszystkich i waszego diabelskiego boga!

Jego ciało wygięło się w łuk pod uderzeniem ostrza. Drugi kapłan stał obok i chwycił tryskającą krew w przygotowaną wcześniej misę. Naczynie przechodziło z rąk do rąk, a mężczyźni z niego pili...

Ray poczuł mdłości i zaczął walczyć z tą siłą, która go tutaj trzymała, aż wreszcie się uwolnił, a ta przerażająca komnata zniknęła. Stał teraz na jakimś wysokim murze nad portem przepelnionym statkami. Pozostał tam przez chwilę, jakby dzięki jego oczom wszystko poniżej poddawane było dokładnej inspekcji, choć dla niego nie oznaczało to nic, poza dużą ilością statków różnych kształtów i rozmiarów stłoczonych razem, jeden obok drugiego.

Teraz z kolei port zniknął i Ray znalazł się w następnej komnacie, lecz tym razem był to raczej pałac niż świątynia, mimo, że ściany tutaj były również z czerwonego kamienia, tę salę zdobiły również inne kolory oraz gobeliny o fantastycznych wzorach.

Mężczyzna w przyozdobionej klejnotami szacie, którego ostatnio widział przy ołtarzu boga-byka, siedział na tronie otoczony dworzanami. Nad całym tym zgromadzeniem u-nosił się ten sam mroczny obłok. Ray wiedział, że jest to coś nadprzyrodzonego i nie próbował nawet kwestionować tego, co widzi. Przed Posejdonem - jako, że ten mężczyzna nie mógł być nikim innym - stała grupa więźniów - mocno skutych w łańcuchy Murian.

Niewyraźnie, jak gdyby z dużej odległości Ray usłyszał słowa władcy. Obraz był dlań o wiele ostrzejszy niż dźwięk.

- Zostaliście sami. Wasza ojczyzna opuściła was. Dzisiejszego wieczoru krew waszego kapitana zaspokoila pragnienie Ba-Al'a. Mu jest teraz ziarnkiem prochu na rąbku naszego płaszcza, które strząśniemy, by porwał je wiatr. Dobrze wam robi, gdy to zobaczycie...

Jeden z pojmanyh odrzucił do tyłu głowę, próbując odgarnąć z twarzy zmierzwione

włosy.

- Czcieliu diabła; Mu - nasza ojczyzna będzie istnieć wiecznie! Zawsze otacza nas swym ramieniem. Jeśli jej życzeniem jest, byśmy umarli dla dobra innych, to umrzemy. Ty pomocię z otchłani Mroku. Czy wierzysz, że któryś z synów Mu służyłby pod twoim nikczemnym dowództwem?

Posejdon zaśmiał się okrutnie. - Więc - jego głos był teraz przyciszony i odległy tak, że Ray z trudem odróżniał poszczególne słowa - nadal odzywacie się uparcie i z arogancją na ustach, prowokując swym językiem. Nie, nie zabiję już ani jednego więcej. Zatrzymam was, żebyście mogli poparzyć swe stopy, gdy zmuszę was, byście biegali po rozżarzonych zgliszczach tego, czym kiedyś było Mu.

Ojczyzna nie upadnie tak łatwo, przynajmniej dopóty, dopóki choć jeden z naszego plemienia oddycha. Jeśli sądziłeś, że tak będzie, to jesteś wielkim głupcem! - zabrzmiała natychmiastowa odpowiedź jeńca.

Teraz grube, opływające tłuszczem policzki Posejdona pociemniały, wydawały się nabrzmiewać ze złości. - Do lochów z nimi... do lochów!

Kierująca Ray'em siła wezwała go ponownie, gdy przyglądał się jak wywlekają jeńców z komnaty. Tym razem znalazł się w sklepie kupieckim, takim jak ten, który odwiedził na jarmarku w muriańskim mieście.

- Już niedługo nie będziemy musieli ustępować miejsca kupcom z Mu - z satysfakcją w głosie rzekł mężczyzna, po czym uniósł do ust puchar, napił się i delikatnie dotknął warg rąbkiem płótna.

- Wielka Ojczyzna posiada wielką siłę... - nuta zwątpienia zabrzmiała w odpowiedzi jednego z współrozmówców.

- Phi! - kupiec napił się ponownie i z uznaniem oblizał wargi. - Czyż kapłani Ba-Al'a nie posiadają również wiedzy?

Następnie Ray został przeniesiony do górnej sali jakiejś wieży, bądź wysokiego budynku, gdyż z pobliskiego okna widać było mgliste światła znajdujące się gdzieś poniżej w oddali. Po raz pierwszy od momentu, gdy przekroczył wrota czasu, otoczony był przedmiotami wykazującymi pewne pokrewieństwo z rzeczami z jego własnej epoki. Dziwaczne rurki, próbówki oraz wiele innych, które w sumie składały się na jakieś laboratorium. Przy stole w narożniku siedziało dwóch odzianych na czerwono Atlantów.

- Musimy mieć jakiegoś człowieka, którym można by znów go nakarmić - rzekł jeden z nich. I ponownie, choć Ray stał blisko tej pary, ich głosy były przytłumione i odległe.

- Jeden czeka w kolejce - muriański więzień. Niech pozna objęcie Miłującego, jak w

przyszłości cały jego ród. Przebiegła twarz kapłana zapłonęła pragnieniem, które było jak głód, a diabelski obłok nad jego głową stał się bardzo ciemny.

Jego towarzysz natomiast spuścił oczy i przyglądał się swym dłoniom leżącym na stole. Na ciemnej twarzy najwyraźniej pojawiło się z wątpienie.

- Czy otwieramy bramy, których później nie będziemy w stanie zamknąć? Czasami boję się, że posuwamy się za daleko i zbyt szybko...

- Czyż Cień nie powstanie, by ochronić swoich wyznawców? Dzień Płomienia chyli się ku zachodowi.

Ray nie pamiętał, jakie zło czynili dalej. Jeśli nawet Naacal'owie widzieli to jego oczami, to zostało to dla dobra Ray'a wymazane z jego umysłu, nim ponownie stanął przed ciemną kurtyną. Jeszcze raz przeszedł przez katusze płomieni, gdy pięściami odgarniał poły materiału. W końcu bardzo osłabiony, otworzył oczy na komnatę wieży w Mu, z jej nie przepuszczającymi światła otworami w ścianach, niczym ogromne ślepe oczy.

Stał przed nim Re Mu, ale uprzedni spokój zniknął z jego twarzy. A Naacal'owie wyglądali, jakby ujrzeli Sąd Ostateczny, przed którym nic ich nie uchroni. Ray był bardzo zmęczony, jakby ciężko chory.

Więc to tym się zajmują - otwierają wrota, których żaden człowiek nie powinien dotykać... - rzekł Re Mu prawie szeptem. - Czyż nie wiedzą, że to, co przywołali, w końcu zawsze obraca się przeciw swym niedoszłym panom? Można to przywołać, lecz odesłać z powrotem to całkiem inna sprawa. Pokój niech będzie tym, których wysłali do Słońca. A wobec ciebie - przemówił do Ray'a, wyciągając ręce, by dokładnie okryć szatą jego ramiona - mamy dług, którego nie sposób zmierzyć, gdyż gdybyśmy nie wiedzieli co oni robią, byłoby to dla nas zgubą.

- Co się stało w laboratorium?

- Ciesz się, że nie pamiętasz. Musimy iść, żeby przygotować naszą odpowiedź, lecz musimy z tym poczekać do czasu, gdy ułożymy się w spokoju w naszych niszach. Oni popełnili grzech, za który nie ma rozgrzeszenia, a odpowiednia zapłata zostanie wyegzekwowana. U-Cha! Przynieś wodę życia.

Starszy Naacal podał Władcy czarnekę z połyskującym płynem. Położywszy ręce na ramionach Ray'a, muriański władca podtrzymywał go, dopóki nie wypił całej zawartości. Ray czuł, że za każdym łykiem wstępuje w niego nowe życie i energia.

- Musisz odpocząć, a oni będą czuwać, byś nie miał żadnych snów. Później wyślemy cię do domu...

Sen cisnął się już Ray'owi na powieki. Był ledwo świadom faktu, że Naacalowie

przynieśli matę, którą wyścielili podłogę; że Re Mu własnymi rękami pomagał im ułożyć na niej Amerykanina. Jednak pomimo pragnienia snu, przeszły go dreszcze, gdy wspomnienia tego co widział, lub myślał że widział na Atlantydzie, powróciły nieproszone. Wtedy jakaś ręka dotknęła jego ciała, padły jakieś słowa w języku, którego nie rozumiał i wspomnienia zniknęły. Pozostał tylko sen.

Gdy się obudził, dookoła niego jarzyło się delikatne światło, w którym skąpany był on i cała komnata. Pochodziło z tych owali, które nie były oknami... Ktoś się poruszył, Ray odwrócił głowę. Nawet ten drobny ruch wymagał ogromnej ilości silnej woli i determinacji. Lady Aiee uśmiechnęła się do niego.

- Opowiedzieli mi o tym, co uczyniłeś i przyszłam zaopiekować się tobą, jako członek twego dworu.

Oczy Ray'a zamknęły się, mimo że tego nie chciał. Członek twojego dworu. - Cóż wspólnego miał jakiś muriański dwór z nim? To nie był jego świat ani jego czas, był tu obcy...

Drzewa wysokie jak wieże Mu, wyrastające z ziemi. Pomiędzy nimi falujące ciernie, które tworzyły oszałamiający labirynt. Gdzieś pomiędzy nimi... dalej... dalej... musi iść... dalej...

- Ray! Ray!

Wołanie było tak ciche, jak głosy z alianckich snów, lecz było tak rozkazujące, tak władcze, że musiał usłuchać... usłuchać i przestać biec pomiędzy tymi drzewami ku nieznanemu celowi.

- Ray!

Ktoś trzymał jego ręce. Próbował uwolnić się z tego uścisku, lecz nie mógł.

- Wracaj!

Tym razem wołanie było głośne jak huk pioruna zwiastującego burzę; miało w sobie taką siłę, że stchórzył, obawiając się nadejścia kolejnego grzmotu.

- Wracaj! - polecenie dotarło do niego ponownie; nie było mowy o stawianiu oporu.

Ray otworzył oczy. Obok niego klęczała Lady Aiee. To właśnie ona trzymała go za ręce. Za nią stał starszy Naacal z palcami na jej ramionach. Sprawiali wrażenie, jakby byli tak połączeni.

- Zostań! - tym razem to Naacal wydał polecenie. Oderwał palce od ramion Lady Aiee i pochylił się nad Ray'em. W jego dłoniach, jakby z powietrza, pojawiła się kryształowa kula. Światło ze ścian wydawało się podążać w jej kierunku, by utworzyć świecący obłok, który otoczył Amerykanina.

Jeszcze raz zamknął oczy. Teraz jednak nie było drzew, nie było potrzeby gonienia za czymś - nic tylko uzdrawiający sen.

ROZDZIAŁ 9

Długonogi ptak przebiegł wzdłuż wijącej się na piasku linii, która znaczyła granicę przyływu, szukając ofiar morza. Skończył właśnie ucztować na małej płaszczce, teraz cieszył się z nowego znaleziska. Odwracając kamyk zaskrzeczał i mignął w odwrocie.

Ray, poruszony tym przestraszonym skrzekiem, wznosił głowę i rozejrzał się po małej zatoczce. Motyl o metalicznie niebieskich skrzydłach zatańczył nad jego głową, by zaraz odfrunąć. Plaża należała tylko do niego. Tego właśnie chciał. W pewnym sensie zawsze był sam. Pomimo ciepłego przyjęcia przez Murian w jego umyśle zawsze była bariera między nimi, uczucie, że to nie było prawdziwe, przynajmniej nie dla niego.

Co się ostatecznie stało z tym lądem i ludźmi? Jakaś katastrofa o światowym zasięgu musiała zmienić zupełnie oblicze planety, przekształcając lądy i morza tak, jak znał je ze swoich czasów. Czy ci, którzy pozostali z narodu muriańskiego uciekli na bardziej stały ląd, uwięzieni na wyspach będących wcześniej wierzchołkami gór wznoszących się nad falistymi dolinami Mu? Cywilizacja musiała wymrzeć szybko w takim chaosie. Ci, co pozostali przy życiu, stali się znowu, dzikusami, wszystko prócz legendy zaginęło. Królowie będą pamiętani jako bóstwa upadłych plemion.

Czy były to ostatnie dni Mu, czy też jego rozkwit?

Jałowe Ziemie, przecież to jego ojczyzna - o ile cokolwiek mogło być z nim łączone, czy też on z czymś. Kiedyś pewnego dnia wróci tam.

Rozległ się tupot, jako że zachłanny żarłoczny ptak ośmielony i oszukany milczeniem Ray'a, odważył się wrócić. Obserwował Amerykanina przez długą chwilę, by pobic dalej i odwrócić następny kamyk po drugiej stronie zatoczki.

Cofnął się gwałtownie, znów skrzecząc przeraźliwie. Ray usłyszał pluśnięcie, jakby ktoś lub coś poruszyło się w wodzie przy brzegu. Miał nadzieję, że nie podejda bliżej. Ich głosy jednak niosły się łatwo za sprawą pułapki z odbijających dźwięk skał. Jedno słowo przyciągnęło jego uwagę:

- ...Ba-Al'a w noc dorocznej uczy. Nadstawiać karku za Mu? Jeśli tak myślą, są głupcami. Mówię, uwolnijmy się jak to zrobiła Atlantyda. Wygnajmy Urodzonych w Słońcu.

- A jeśli nie odejda? - cóż, wtedy spotkają się z Ba-Al'em. On zrobi z nich użytek, jak mniemam - mówiący zaśmiał się.

- Kiedy więc zeglujesz na wschód? - spytał drugi głos.

- Za trzy dni od dziś, lub wcześniej, jeśli będziemy mogli wypłynąć. Ci muriańscy

głupcy nigdy nie mieli zastrzeżeń do mojej wiarygodności jako żeglarza, bo niby dlaczego. Jestem tylko handlarzem zboża z Uighur, podążającym ku posterunkowi Mayax'u, który pływa już dwa lata tym szlakiem. Poznają mnie po moim płaszczu. Jest tylko jeden mały problem. W mieście znajduje się jedna z tych przeklętych Urodzonych w Słońcu - Lady Ayna, która zna moją twarz. Odwiedziłem jej dwór przed sprawą ukrytych statków, kiedy to skazano mnie na pięć lat banicji. Jeśli zobaczy mnie tu na terenie, gdzie nie wolno mi przebywać, doniesie o tym.

- Jak przedostaniesz się przez wschodnie strażę, by dotrzeć do naszych przyjaciół?

- To moja tajemnica. Przekaż mi całą wiedzę, jaką posiadasz, a ja przewiozę ją bezpiecznie bez obaw. To nie mój pierwszy taki wyjazd. A twoi bracia w Krainie Cienia mile mnie powitają.

- Nie śmie węszyć zbyt dużo. Pewne części świątyni są zakazane i dobrze strzeżone. Oni znają sposoby wyczytywania więcej niż tylko powierzchownych myśli człowieka, ci wyuczeni przez Płomień kapłani. To i tak dużo, że zostałem przyjęty jako nowicjusz.

- Masz się dowiedzieć tego, czego się od ciebie żąda, - w głosie brzmiała teraz groźba. - Wiemy, że w jakiś sposób byli ostatnio w stanie przeniknąć zasłonę ciemności. Odkryli Miłującego, tyle przekazały połączone umysły. Musisz się dowiedzieć, jak tego dokonali i czy planują jakąś obronę - to istotne. A teraz wracaj, zanim spytają, czy widziano na brzegu morza kogoś rozmawiającego z kapitanem kupców z Uighur.

- Widziano? - w tym okrzyku czuło się panikę. - Przecież powiedziałaś, że to bezpieczne miejsce, gdzie możemy spotkać się bez obaw, że ktoś nas dostrzeże.

- Nie ma zupełnie bezpiecznego miejsca, głupcze! Element ryzyka jest obecny zawsze w naszej pracy. Jeśli w to nie wierzysz, jesteś gorszy od głupca. Nigdy nie trać świadomości, że spacerujesz po linie rozwieszanej nad przepaścią pomimo chroniącego cię talizmanu. A teraz idź!

Ray przeczołgał się po piasku do skały na końcu zatoczki. Było jednak zbyt późno, by zobaczyć coś więcej, oprócz tego, że jeden miał na sobie białą szatę Naacala, a drugi skórzaną tunikę niegdyś niebieską, teraz wyblakłą i wybieloną przez osad soli. Zwykły, pozbawiony pióropusza hełm ukrywał włosy tego ostatniego, który z daleka mógł być jednym z kapitanów na statkach handlowych.

Kiedy zniknęli ze ścieżki wiodącej w górę klifu, Ray podniósł się na nogi strzepując piasek z koszuli. Próbował sobie przypomnieć, w którym miejscu przy drodze znajdował się najbliższy posterunek straży. Z pewnością mijają jakiś idąc tutaj.

Kiedy wygramolił się do góry na drogę, nie było już w zasięgu wzroku nikogo

przypominającego tę dwójkę, którą chciał śledzić. Kilka słoni szło kołysząc się z dobrze przywiązanymi ładunkami z tyłu i wzniecało chmurę kurzu. Jeździec z rogiem kurierów królewskich zwisającym mu z ramienia, spinał konia ostrogami, aby wyminąć bestie maszerujące ociężale.

Wszyscy podróżujący zatrzymali się, przy zewnętrznej bramie miasta, by zostać przepuszczonym przez strażę. Starożytny zwyczaj przez długi czas zaniechany, został ostatnio wskrzeszony i był źródłem narzekań i utyskiwań tych, którzy nie widzieli sensu takich opóźnień.

- Nazwisko i stopień - spytał żołnierz Ray'a zmęczonym głosem kogoś, kto robił to pięćdziesiąt razy przez ostatnią godzinę i z pewnością, zrobi następnych pięćdziesiąt przez następną.

- Urodzony w Słońcu Ray z dworu Lady Aiee.

- Przejść. Jednak żołnierz wpatrywał się w niego z zaskoczeniem. Widzenie jednego z Urodzonych w Słońcu pieszo i samotnie było tak dalekie od przeciętności, że wzbudziło podejrzliwość.

Ray pospiesznym krokiem wszedł w uliczkę za posterunkiem, wiedząc, że jest już przedmiotem raportu składanego przełożonemu przez strażnika. Twierdza! Musi dostać się tam jak najszybciej. Znow przedstawił się strażnikowi, tym razem stojącemu przy zewnętrznym murze pałacu.

- Urodzony w Słońcu Ray, z wiadomością wielkiej wagi dla Re Mu!

Wszedł na dziedziniec z fontanną, powoli prowadzono go do sali audiencyjnej władcy. Re Mu towarzyszyło teraz nie tylko dwóch Naacali, lecz wojownicy, którzy spojrzeli na Amerykanina z zaskoczeniem. Lecz Re Mu skinął nań, by się zbliżył.

- Ktoś, kto przybywa w takim pośpiechu musi przynosić sprawę dużej, wagi.

Ray rzucił spojrzenie na oficerów, więc władca muriański uniósł dłoń tak, że cofnęli się oni nieco. - Możesz mówić...

Amerykanin szybko powiedział mu o tym, co się wydarzyło, kiedy mówił, twarz Re Mu stawała się maską powagi.

- Dobrze zrobiłeś przychodząc z tym szybko. Czy możesz opisać tych ludzi, ich twarze?

- Nie, O Wielki, poza faktem, że jeden nosił szatę Naacala, a drugi był oficerem floty z Uighur, nic więcej nie mogę o nich powiedzieć. Myślę, że poznałbym ich głosy, gdybym je jeszcze raz usłyszał.

- Według tego co powiedział, Lady Ayna zna marynarza. To już jest jakiś ślad.

Jeden z Naacali stojąc obok Re Mu poruszył się, w jego głosie zabrzmiała lodowata wściekłość.

- Bądź pewien, że znajdziemy zdrajcę i dowiemy się, jakich sztuczek użył, że strażnicy Płomienia go nie wykryli. Czego dowiemy się z jego ust będzie ci natychmiast przekazane, Władco Płomienia.

- Marynarz pozostaje więc dla nas. Bądź w pogotowiu, Urodzony w Słońcu, by tu powrócić i pomóc go rozpoznać. Możesz odejść.

Ray wrócił na dziedziniec Lady Aiee. Kusiło go, by odwiedzić doki i poszukać tam marynarza z Uighur w niebieskiej tunice. Nadchodził zmierzch, a jego zdrowy rozsądek powiedział mu, że przedstawiciele prawa podejmą działanie, które będzie bardziej efektywne, niż jakikolwiek amatorski wysiłek z jego strony.

- Ray, gdzie byłeś? - Cho spacerował ogrodową ścieżką. - Szukałem cię...

- Poszedłem na brzeg morza. Ray zawahał się. Czy powinien powiedzieć Cho o wszystkim? Dlaczego nie? Nie wymuszano na nim obietnicy, żeby tego nie czynił. Wspiął się na taras, gdzie znalazł panią domu siedzącą już przy stole.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział pospiesznie. - Nie sądziłem, że godzina jest tak późna.

- Myślę jednak - wyraz jej twarzy zmienił się - że masz lepszą, wymówkę, niż zwyczajne „zapomniałem”. Czyż nie jest tak?

- To... Po raz drugi Ray opowiedział o wszystkim. - Potem poinformowałem o tym Re Mu.

- Na Płomień! Zdrajcy w mieście! - wykrzyknął Cho.

- W świątyni! Ale jak zło mogło przebrać się tak dobrze, by móc wejść tam niezauważone? - Głos Lady Aiee zadrżał, był niepewny, taki, jakiego Ray nigdy nie słyszał.

- Naacalowie powiedzieli, że go odszukają - uspokajał Ray. - Była jednak tak zmartwiona, że Ray z kolei poczuł się niespokojny. W pewien sposób przez ostatnie dni zaczął na nią patrzeć, jak na kogoś tak pewnego siebie, iż pozostała ona dla niego solidną podporą we wszystkich trudnościach.

- Ci, którzy wchodzą w drogę Naacalom - odparł Cho - nie uważają już życia za tak przyjemne, że chcieliby trwać przy nim długo. Można by się nad takimi litować.

- Nie! - Głos jego matki brzmiał ostro. - Nie ma litości dla kogoś, kto rozmyślnie wikła sprawy Światła, by służyć Ciemności. Bowiem ten człowiek zna dobro, a z własnej woli służy złu. Wybrał Cię jak ci z Atlantydy. Litość jest dla słabych duchem, a nie dla słabych sercem...

- Myślę teraz, że coraz bardziej zbliżamy się do dnia, kiedy nasza flota wypłynie na wschód. - Głos Cho zabrzmiał, jakby ta myśl sprawiała mu satysfakcję.

Ray przypomniał sobie swoją podróż w marzeniach; a może był to sen. Dla Cho bitwa może być kwestią czerni i bieli, zła pokonanego przez dobro. Murianin mówił tak zawsze o tej walce, rzadko wspominał o przyszłości. Istniało jednak to laboratorium w wieży atlanckiej i to co zostało wymazane z pamięci Ray'a. Szkoda, że teraz nie mógł tego przywołać, bo to, co jest prawdopodobnym faktem, może być wyolbrzymione przez wyobraźnię, a kiedy pozwalał sobie pamiętać, więcej niż jedna okropność stawała mu żywo przed oczami.

- Mogą mieć nową broń - rzekł - teraz nieznaną.

Cho spojrzał na niego. - Nie mogę zadawać pytań, ale mówisz jak ktoś kto wie.

Nie kazano mu trzymać senniej podróży w tajemnicy, Ray instynktownie nigdy nie mówił o niej od swej wizyty w wieży.

Był to pierwszy raz, kiedy Cho nawiązał do tego tematu, choć nie zrobił tego wprost.

- Nie jestem pewien tego, co wiem - powiedział Ray. I choć mówił prawdę był przekonany, że Murianin bierze to za wykręt.

Cho wstrząsnął ramionami. - Nieważne. Każdy ma swoje rozkazy.

Ray zawahał się. Miał tak niewiele na tym świecie, czego mógł się uchwycić. - Cho z powodu zbiegu okoliczności i przez prawdziwą sympatię i Lady Aiee... Stracił wieczorny posiłek na rozmyślanie, a oni rozmawiali o błahych sprawach dnia.

Amerikanin zjadł to, co przed nim postawiono, niezbyt świadom smaku, czy zapachu, po prostu był głodny. Posiłek zaspokoił jego głód. Później jednak zauważył, że Lady Aiee ledwie tknęła zawartości talerzy, które jej przyniesiono. W końcu wstała i podeszła do krawędzi tarasu, patrząc ponad murem ogrodu na światła miasta.

- Jak długo to potrwa? - spytała. Jej słowa były ciche, lecz słyszalne. - Przeżyjemy tę wojnę - tak powiedzieli nam opiekujący się losami świątyni. Jednak koniec nadchodzi w samą porę. Może nie za naszych czasów, czy czasów synów naszych synów. A jednak ciemność przyszłości pochłonie nas. Powiedz mi Ray'u, w twoich czasach jesteśmy nieznani. Atlantyda upada, a człowiek pamięta ją jak przez mgłę. Mu odchodzi i nawet legenda ginie. Morze zalewa oba nasze lądy, a wyłaniają się nowe z nowymi rasami, które nie znają prawa, być może żadnego. I wszystko rozpoczyna się na nowo. Narody formują się z dzikich plemion, nowe miasta, nowa nauka, nowe walki, ale nie ma końca bólu i wojny i zła. Czyż nie jest tak?

Ray skinął głową - jest.

- Mówisz, że w twoich czasach ludzie lądują na księżycu, docierają do innych planet. Ale jeśli nie mogą wygrać wojny toczącej się w nich samych, mogą ją tylko prowadzić na

zewnątrz, może pewnego dnia wśród gwiazd. Jaki byłby z tego pożytek?

- Żaden - zgodził się Ray. - Ale...

- Ale - podjęła jego myśl - taka jest natura naszego gatunku, aby walczyć ze sobą i z innymi. A dopóki nie pokonamy samych siebie, będziemy nosić pochodnię zła dokądkolwiek pójdziemy. Może nawet zasłonimy naszymi brudnymi i pokrytymi krwią palcami jasność gwiazd. Są to jednak myśli, które Cień umieścił w naszych umysłach po to, żebyśmy uwierzyli, że cała walka nie zda się na nic, łatwiej jest się poddać. Stajemy przeciwko Atlantydzie, bojąc się, że tu i teraz Cień otacza ziemię, naszą ziemię. Mu jest stare, Mayax i Uighur starzeją się. Atlantyda jest przegniła złem. A co z Jałowymi Ziemiami, Ray'u?

- Wielkie równiny i las... - Myśląc o tym lesie Ray zamilkł. - Drzewa...

- Drzewa? - Powtórzył Cho zwracając mu uwagę na fakt, że powiedział to głośno.

- Drzewa, jakich nie znamy w moich czasach - wyjaśnił. - Przynajmniej nie w tej części łądu. To miejsce, które nie wita ludzi przyjaźnie. Zdał sobie sprawę z tego, że odkrył małą cząstkę tajemnicy. To prawda, że nie przyjmuje ludzi gościnnie, opiera się, próbuje wygnać intruza.

- Ale to twój kraj - powiedziała Lady Aiee.

- Będzie. Teraz jest niczyj, chyba że człowiek go sobie podporządkuje.

- Co wkrótce zrobi - obiecała. Lissa, pokojówka Lady Aiee wyłoniła się z szarości zapadającego zmroku.

- Posłaniec z twierdzy. Urodzeni w Słońcu mają się stawić natychmiast.

- Idźcie w pokoju. - Lady Aiee wyciągnęła ręce do nich.

- Myślę, że czasu pozostało nam już niewiele, choć skarbem jest, to co mamy.

Tym razem nie oczekiwały ich lekkie lektyki, lecz rząd strażników. Brzęk miecza o zbroję brzmiał przenikliwie w cichej, bocznej uliczce, choć gubił się w pomruku głównej drogi.

Re Mu siedział na tronie w komnacie audiencyjnej, towarzyszyli mu tylko dwaj Naacalowie i grupa żołnierzy. Eskorta z Ray'em i Cho zasałutowała obnażonymi mieczami, a ponury zgrzyt metalu o metal spowodował, że mężczyzna stojący przed tronem rzucił im niechętnie spojrzenie.

- Ławka dla Urodzonych w Słońcu. - Re Mu rzekł w odpowiedzi na złożony mu hołd. Dwóch wojowników przyciągnęło wąskie siedzenie dla obu.

Murianin zwrócił uwagę na człowieka stojącego przed nim.

- Według twoich wyjaśnień żeglujesz z ładunkiem zboża, by je dostarczyć do wschodnich posterunków Mayax'u.

- Jest tak, jak mówisz O, Wielki. Ray poruszył się zaskoczony. To był zdrajca z Uighur. Mógłby przysiąc.

- Twoim rodzinnym portem jest Chan-Chal?

- Tak jest O, Wielki.

Był młodszy niż Ray się spodziewał. Była w nim pewność siebie, która albo skrywała człowieka przyzwyczajonego do obcowania z niebezpieczeństwem, albo też wynikała z szalonej determinacji, by opierać się wrogowi do końca.

- Przez ile lat żeglowałeś z flotą?

- Pięć lat, jak każe zwyczaj O, Wielki. Nie jestem Urodzonym w Słońcu, by chodzić po pokładach tylko przez trzy lata...

Czyli to nie była maska; tego Ray był pewien. Ten człowiek wiedział, że jest skończony, ale nie podda się bez walki. Bronił się teraz otwarcie.

- Czy słyszałeś o jakimś Sydyku?

- Tak. Był oficerem floty wyjętym spod prawa za kradzież państwowych pieniędzy.

- Był skazany na pięcioletnią, banicję. A teraz spaceruje tymi ulicami. Widziałeś go?

- Po co zadawać zagadki? - Jeden ze strażników poruszył się, jakby chciał ukarać zuchwałość więźnia. Jednak nieznaczny gest Władcy zatrzymał go na miejscu. Ciemnoniebieskie oczy Re Mu błysnęły w spokoju maski jego twarzy.

- Żadnych zagadek. Zostałeś rozpoznany przez Urodzoną w Słońcu Lady Ayna'ę, która miała powód znać dobrze Sydyka.

- Ona ma rację. Kimże jestem, by dyskutować z jednym z Urodzonych w Słońcu? Złamałem nakaz banicji. Wyślijcie mnie na otwarty rynek, jak każe prawo.

Ray zastanawiał się - czy to dlatego człowiek z Uighur był tak śmiały? Czy uważał, że był oskarżony tylko o złamanie nakazu banicji i nie podejrzewał że wiedzą o nim więcej? Czy Re Mu jednak zająłby się sądzeniem tak pomniejszego przypadku? Czy Sydyk nie podejrzewał niczego?

- Lordzie Ray'u!

Amerikanin wzdrygnął się, po czym wstał, by odpowiedzieć wskazującej nań dłoni Władcy.

- Czy słyszałeś głos tego człowieka wcześniej?

- Tak O, Wielki. To ten, o którym mówiłem.

- Jesteś gotów przysiąc?

- Jestem.

Na skinienie Re Mu, Ray wrócił na miejsce. Jeśli Sydyk podejrzewał teraz najgorsze,

był na tyle uparty, czy też dobrze wyszkolony, by nic nie okazać.

- Zdrajca!

Siła tego słowa przedarła się przez niewzruszony pancerz Sydyka. Zbladł pod ciemną, morską opalenizną.

- Twój współnik zdradził wszystkie twoje plany. A teraz otrzyma nagrodę; taką, jaką uznają, za stosowaną ci, którzy służą Płomieniowi, a których chciał zwieść swoją obecnością, w świątyni. Wiemy, dlaczego tu przybyłeś, ty, żaloszny głupcze, czy Ba-Al ci teraz pomoże? Czyjego oszukani zwolennicy podniosą choć jeden miecz w twoim imieniu? Mów otwarcie, a możliwe, że sędziów opanuje litość...

Sydyk mógł być wstrząśnięty jeszcze chwilę wcześniej, ale teraz znów stał za swą tarczą pewności siebie.

- Jeśli mam umrzeć to umrę. Ale niewiele się ode mnie dowiecie...

- Tak? - Re Mu uśmiechnął się, małym, kpiącym uśmiechem. Widząc to Ray wzdrygnął się. Nigdy nie chciałby, żeby ktoś tak się do niego uśmiechał.

- Pójdiesz z Naacalami.

Cień przebiegł przez twarz człowieka z Uighur, po czym zniknął.

- Idę więc do Naacali. Ale wiedzcie, że będę trzymał język za zębami.

- Jesteś zły i słyszysz złą świadomie. Jesteś jednak odważny, choć ze złej przyczyny. Nadszedł czas, kiedy nieliczni muszą cierpieć dla dobra wielu. Słońce Mu postanawia - głos Re Mu przybrał formalny ton ceremonii - że tak ma się stać.

Wyprowadzono Sydyka, lecz kiedy mijał Ray'a, człowiek z Uighur utkwiał wzrok w Amerykaninie.

- Wspomnisz mnie pewnego dnia, Urodzony w Słońcu

- tytuł wypowiedział ze wzgardą. - Gdyż Ba-Al pokaże, kto się przyczynił do śmierci jego wiernego sługi. Jeszcze trafisz do jego świątyni. Wiem o tym tak, jak widzi się prawdziwe obrazy przed nadejściem śmierci! - zaśmiał się przeraźliwie, ciągnięty przez żołnierzy.

Cho stał już na nogach patrząc za nim. - Widział cię..., widział cię, w Czerwonej świątyni. Człowiek bliski śmierci czasem mówi prawdę o przyszłości. Może wkroczysz tam jako najeżdżający ją wojownik, a nie więzień?

- Staliśmy się zbyt zadowoleni z siebie przez ostatnie lata

- głos Re Mu przebił się przez głos Cho. - Jeszcze dzień i ci zdrajcy byłiby już dla nas nieosiągalni. Może będzie można dowiedzieć się czegoś więcej od Sydyka, skoro nowicjusz jest bardziej bojaźliwy i dopiero niedawno przystąpił do służby u nich.

Zdawał się być pogrążony w myślach i jakby zapominać o tym, co się przed chwilą wydarzyło. Ray spodziewał się, że zostanie odprawiony teraz, gdy spełnił już swoją rolę, ale to nie nastąpiło. Minuty ciągnęły się długo, w pomieszczeniu panowała zupełna cisza z wyjątkiem cichych zgrzytów, kiedy któryś ze strażników zmieniał czasami pozycję. Na co czekali? Ray wiercił się na ławce, gdyż chciał ściągnąć na siebie uwagę i zostać zwolnionym od bezcelowego tu sterczenia. Wydawało mu się, że nawet w tej sali o białych ścianach cienie czerniły się i pełzały w stronę ich i tronu, jakby nadciągała noc, nie w sposób naturalny lecz jak pogróżka.

Zasłona na drzwiach uchyliła się i wszedł strażnik salutując Władcy i wręczając mu tabliczkę do pisania. Re Mu przeczytał ją i podniósł wzrok.

- Twarz Sydyka nie była znana tym, którym służył. Dziś w nocy zanim został pojmany, zabroniono mu ryzykowania dalszych kontaktów z nimi. Lordzie Ray'u, co on ci powiedział, gdy go wyprowadzano?

- Przewidział, że znajdę się w świątyni Ba-Al'a.

- W świątyni Ba-Al'a... Ale nie jak się tam znajdziesz? Módl się, do bogów, jakich uznajesz, żeby widział tylko część prawdy.

Cho wystąpił do przodu. - O, Wielki, ten Sydyk był nieznany swym zwierzchnikom na wschodzie i nie będą go szukać przez pewien czas. Czy jeden z nas nie mógłby zająć jego miejsca by wkroczyć do serca ziemi wroga?

- Ci którzy wysyłają szpiegów będą również przygotowani przeciwko nim. Lepiej może niż my byliśmy. Co o tym myślisz U-Cha? Czy powinniśmy to rozważyć?

- Tak jest zapisane w gwiazdach.

- W takim razie - Cho był niemal bez tchu - pozwól mi zaproponować swoją osobę do tego zadania!

Re Mu powoli potrząsnął głową. - Nie podejmujemy decyzji pośpiesznie. Zobaczmy, zobaczymy...

- O, Wielki - przemówił starszy z Naacali, zniżył głos do szeptu tak, że nic nie słyszeli. Ray zobaczył, że Władca kiwa głową.

- Lordzie Cho, naszą wolą jest abyś wyszukał na mapach Jałowych Ziemi takich portów, które mogłyby być dobrą kryjówką dla zwiadowców z floty.

- Tak O, Wielki!

- A ty Lordzie Ray, pójdiesz z Ah-Kaniem, by spisać wszystko to, co słyszałeś o Sydyku.

Młodszy Naacal odstał od tronu i poczekał na Ray'a, by ten do niego dołączył.

Przeszli przez następne drzwi w wyludniony korytarz. Ray pomyślał, że jest to może prywatne przejście Re Mu. Spojrzał badawczo na swego przewodnika i zauważył błysk kryształu w jego dłoni. Nagle wystrzelił z niego oślepiający blask porażający jego oczy.

ROZDZIAŁ 10

- Sydyk'u z Uighur, ziemi Lady Ma-Lin, synu jej marszałka U-Vel'a. Mając lat piętnaście, wyruszyłeś, by zdobyć wiedzę żeglarską, służąc pod...

Imiona, szereg imion dźwięczących w głowie Ray'a. Głos nie przestawał brzęczeć, podając nowe szczegóły z życia Sydyk'a i choć Ray próbował zamknąć przed nimi swoje uszy, czy umysł, odkrył, że to niemożliwe. Pozostawał w niewoli tego głosu. Nic, co on wnosi do umysłu, nie mogło być wymazane, sprawiając, że był świadomy każdej chwili życia Sydyk'a. Jednakowo, mimo iż nie mógł otworzyć oczu, zdawał sobie sprawę z obecności dłoni na swoim ciele.

- Zostałeś pojmany przez strażników Muriańskich, ale zdołałeś się uwolnić, obarczając brzemieniem zdrady nowicjusza Ru-Gen. Twierdziłeś, że zachęcał cię do ucieczki z Mu, a ty mu odmówiłeś. Załoga Prującej Fali także zostanie wtajemniczona. Zastosujesz się do moich rozkazów. W dwie godziny po opuszczeniu kotwicy za posterunkiem granicznym V-Ma-Chal musisz zdołać dopłynąć sam do brzegu, kieruj się łukiem plaży na północ, aż zobaczysz dwie wysokie, zastrzone skały. Tam zaczekasz na przybycie małej łodzi. Ten, który nią dowodzi powie: „Wschód rośnie w siłę”, a ty odrzekniesz: „Zachód upada”. Wejdiesz na pokład i zrobisz, co będzie konieczne. - Przez miesiąc...

- Przez miesiąc będziesz oglądał i robił to, co ci nakażą. Wtedy, w jeden z trzech następnych dni, okręt naszej floty udający statek do przewozu owoców z południa, wypłynie z portu Miasta Pięciu Murów. Będzie miał on banderę zarazy, by ludzie trzymali się z daleka od niego. Musisz dotrzeć nań, jeśli zdołasz, przed nadejściem czwartego dnia, rozumiesz?

Choć nie rozumiał, Ray poczuł, że kiwa głową w odpowiedzi.

- Jesteś Sydyk'iem z Uighur.

Ray otworzył oczy. Spoglądał w taflę lustra na człowieka o brązowo-żółtej skórze i czarnych włosach, których grube loki okalały twarz. Była ona, o dziwo, starsza i ordynarniejsza niż jego własna.

- Twoje ubranie...

Z jednej strony lustra pojawiła się ręka, która wskazała zawiniątko czekające na statku. Włożył na siebie koszulę z szorstkiego materiału, skórzany kaftan i krótką, bladoniebieską spódniczkę poplamioną solą, pachnącą morzem i potem. Zamiast sandałów były tam marynarskie buty ze skóry, wąsko okolone paskiem futra na noskach. Paznokcie Ray'a były nierówne, a pod nimi leżała gruba, czarna warstwa. Głębokie rysy w skórze dłoni

pokryte były brudem. Tam, gdzie na nadgarstku widoczny był mały tatuaż, teraz skórę okalał szeroki pas miedzi. W zawiniątku były jeszcze: prosty pas z czarnej skóry do przymocowania miecza i hełm z brązu bez pióropusza.

- Przygotowaliśmy to najlepiej jak było można - odezwał się głos zza niego, choć już nie widział twarzy w lustrze.

- Pamiętaj, żeby się garbić chodząc, jesteś znad odległej granicy, nieokrzesany, nie znasz dobrych manier. Co robisz?

- głos był ostry, czujny. Ray wodził dłonią po prawym ramieniu, potem drugą dłonią po lewym. Nie bardzo pamiętał, czego szuka. Czarne! Tak, to było czarne. Powinien nosić to tu, to było bardzo ważne dla niego!

Spróbował raz jeszcze zwalczyć mgłę, która okryła jego umysł.

- Czarne. - W lustrze ujrzał własne usta układające się na kształt tego słowa. - Czarna opaska - moja opaska!

Nagle zobaczył ją oczyma duszy tak wyraźnie, jak wyraźnie widział to dziwne odbicie w lustrze. Czarna opaska należała do niego. Nie ruszy się stąd, dopóki mu jej nie oddadzą. Zdecydował się na to z dziwnym uporem, jakby to dawało mu bezpieczeństwo.

Coś poruszyło się za nim, aczkolwiek nie mógł nic zobaczyć w lustrze. Teraz jednak był w stanie odwrócić się tak, jakby trudnym zadaniem było zmuszenie swojego niechętnego ciała do posłuszeństwa nawet w tak drobnej i zwyczajnej sprawie.

Było ich trzech. Pierwszy, z wyglądu oficer, następnie jeden w koszuli służącego, zajęty w tej chwili skrzynką słoików i butelek, z poplamionym żółto-brązowym ręcznikiem przypominającym obecny kolor skóry Ray'a przewieszonym przez ramię, i wreszcie Naacal. W dłoni mędrca Ray zobaczył to, czego szukał - czarną opaskę ze wzorem węży o diamentowych oczach. Sięgnął po nią.

- To go zdradzi przed każdym Atlantą, który go zobaczy. Żaden kupiec nie nosiłby takiego skarbu. - Oficer poruszył się, aby mu przeszkodzić.

Naacal jednak spojrzął na Ray'a. - Nie wiem. Nie możemy oddalać myśli, że on bardzo by tego pragnął. Dlaczego chciałbyś to mieć, synu?

Dla Ray'a ten wąski pasek skóry był rzeczą, w której tlił się ogień życia. Potrzebował go, musi go mieć - należy do niego i nie mogą mu go zabrać.

- Moja! - Jego głos brzmiał jak warkot, ręka powędrowała do sztyletu na pasie. Cały świat, pokój zmniejszyły się do rozmiarów opaski i jej posiadania.

Wydawało mu się jednak, że nie będzie musiał o nią walczyć, gdyż Naacal, wciąż przyglądając mu się tym głębokim, badawczym spojrzeniem, podał mu ją, drugą ręką

powstrzymując oficera.

Jest w tym uzasadnienie, choć ani on, ani my nie znamy go teraz. Nie noś jej na wierzchu, mój synu.

Ray rozkoszował się chłodem opaski. Nie, noszenie jej byłoby niebezpieczne, musi ją trzymać w ukryciu, aby być bezpiecznym, bardzo bezpiecznym. Włożył ją z satysfakcją pod tunikę.

- Posłuchaj teraz - w głosie kapłana była taka moc, że Ray spojrzał na niego z uwagą. - Zapewne będziesz sądził, że to, co uczyniliśmy tej nocy jest złem wyrządzonym tobie. Lecz czas i los nie zostawiły nam wyboru w godzinie potrzeby. Żaden człowiek z Ojczyzny nie mógł przybrać wyglądu Sydyk'a i otworzyć bram dotąd zamkniętych dla naszych oczu. Wiedzieliśmy, że Cień nie może cię zatrzymać, bo byłeś już w jego kryjówce. Tak więc musimy znów wziąć do ręki broń, którą nam dałeś. Oto ona. W sile Płomienia odczytujemy iskry i gwiazdy. I choć śmierć będzie jak chmura nad tobą, jak płaszcz na twych ramionach każdego dnia, który nadejdzie, przez nasze czytanie nie dostanie cię. Już raczej potężniejsza od miecza będzie goła ręka. Użyjemy cię bez twojej zgody, gdyż nasze potrzeby są wielkiej miary. Możesz nas za to nienawidzić. Niemniej jednak... - przerwał - ...idź w pokój, z błogosławieństwem, dziewięciokrotnym błogosławieństwem Płomienia. Jego ręce poruszyły się w dziwnym geście, jakby wydobyl z powietrza niewidzialną substancję, napełnił nią dłonie i wzniosłszy je sypnął tym, co miał tak zebrane, na Amerykanina.

Oficer uczynił krok w przód. - Twój statek odpływa o brzasku. Podczas przepływania przez kanał zostań pod pokładem mówiąc, że masz gorączkę. Twój mat będzie pełnił rolę kapitana. A teraz jedziemy.

Musiał być wczesny ranek, kiedy wyszedł z pałacu tuż za oficerem, wleczony przez dwójkę strażników. Wiedział, że nie może uciec. Każdy przymus, jaki został nań nałożony w twierdzy kazał mu maszerować, poruszał nim tak, jak porusza się pionkiem szachowym, dopóki nie dokona tego, czego od niego wymagano. Przez chwilę jego umysł był niemy i tępy, zatopił się we mgle, kiedy potyczka o opaskę została wygrana. Nie miał już w sobie ani odrobiny z rebelianta. Dotarli do doków, do statku przewożącego zboże. Jakiś człowiek zawołał na nich z okrytego cieniem pokładu. Ray zmrużył oczy pod wpływem światła latarni.

- Kapitanie - powitał go marynarz - wszystko w pełnej gotowości.

- Oto twój oficer, Ra-Pan. - Jakaś wewnętrzna cząstka amerykańskiego umysłu podała mu to imię.

- Wypływamy o świcie - odrzekł Ray.

- Tak jest.

Oficer z twierdzy, ani strażnicy nie czekali. Kiedy odeszli bez pożegnania, Ray stanął przy burcie. Nad portem leżało miasto. Gdzieś błyskały światła, ale było ich niewiele. Miasto jeszcze spało. Ray poruszył się niespokojnie. Tam, skąd przyszedł - wzdygnął się - było tak ciężko myśleć. Sydyk z Uighur, był Sydykiem z Uighur. Nie wolno mu, nie śmiałyby nawet myśleć inaczej.

Wstał świt. Ra-Pan przeszedł przez pokład. Ray zwrócił się ku niemu ze słowami, jakby przygotowanymi już wcześniej dla niego.

- Nie czuję się dobrze. Przejmij za mnie dowództwo.

Towarzysz okazał się nie mieć nic przeciwko temu. Ray zszedł pod pokład do małej, ciemnej kajuty. Jego oczom ukazały się nieosłonięte wnęki. Próbował zasnąć, ale w jego głowie wciąż kłębiły się myśli i wspomnienia Sydyk'a, który sprawił, że rzeczywiście czuł się rozgorączkowany i chory. Aż wreszcie nadszedł niezakłócony majakami sen.

Ray obudził się przemarznięty, dygocąc. Drewniana deska z dwoma kukurydzianymi plackami i kawałkiem mięsa czekała na stole w kabinie na zewnątrz. Przełknął chleb, ale zapach mięsa przyprawiał go o mdłości, więc zostawił go i wyszedł na pokład. Wiał silny wiatr, gdyż byli już na otwartym morzu. Ra-Pan stał przy sterze. Część wiedzy Sydyk'a na temat statku i jego urządzeń była gdzieś wewnątrz Ray'a, należało ją tylko wywołać. Ray był przekonany, że załoga powinna była zaakceptować go jako prawowitego dowódcę. Uczynić fałszywy ruch i obudzić podejrzenie było jednak łatwo. Spojrzał na wschód. Tam w odległości setek mil leżała Atlantyda. A on nawet nie wiedział, czego ma dokonać, kiedy tam dotrze, jeśli w ogóle dotrze. Jakkolwiek był pewien, że nie może uczynić ani jednego kroku, który przeszkodziłby mu w dotarciu do niej.

Minęli kanał, zmuszeni czekać na swoją kolejkę, więc Ray spędził trzy dni w zatęchłej kabinie. Potem byli już na Morzu Wewnętrznym.

- Zatrzymamy się w Monoa. - Ra-Pan uczynił jedną ze swoich rzadkich uwag pewnego wieczoru.

To nie była tylko sugestia, lecz stwierdzenie. Zmysł ostrzegawczy Ray'a gwałtownie się obudził. To nie było zaplanowane. Instynkt samozachowawczy, w który wierzył, opierał się tylko na spełnianiu wydanych mu rozkazów.

- Nie. Popłyniemy do U-Ma-Chal.

Ra-Pan zmarszczył brwi. - Nigdy się tam nie zatrzymywaliśmy.

Czy władza, jaką mieli Naacalowie nad statkiem zaczynała słabnąć? Jeśli tak, to cała załoga może się zbuntować.

To nie ma znaczenia. - Ray spróbował zwrócić na Uighurianina takie samo

zniewalające spojrzenie, jakiego użył wobec niego kapłan. Musiał przekonać Ra–Pana, że jest właściwym człowiekiem, bo inaczej zostanie pokonany, zanim misja na dobre się rozpocznie.

- Odmawiasz wypełnienia moich rozkazów? - zapytał ostro.

Marynarz starał się odwrócić wzrok, ale nie był w stanie. Zwilżył tylko usta językiem.

- Zawsze to była Manoa.

Czy w tej wypowiedzi była nuta niepewności, czy też nie? Ray miał nadzieję, że tak. Od teraz jednak musi być czujny, aby ani Ra–Pan, ani nikt inny nie kwestionował jego decyzji.

- Ale tym razem to będzie U–Ma–Chal! - powiedział z naciskiem. Ra–Pan skinął głową z tym samym, co kiedyś tępym wyrazem oczu.

Amerykanin zaczął obserwować załogę. Jadł tylko to, czego próbował mat, spał z mieczem pod ręką i starał się odpoczywać jak najmniej.

Minęło siedem dni i znaleźli się przy wschodnim wejściu do portu. Ray stał przy burcie próbując dojrzeć światła latarni w mieście. Poczuł, jak coś ostrego pod koszulą uwiera go w tors. Jego palce zacisnęły się na opasce. Na całym świecie nie było drugiej takiej, jak ta.

Kto to powiedział i kiedy to było? Biała opaska należąca do kogoś, kogo znał dawno temu... wyciągnął bransoletę i obracał ją w dłoni usilnie starając sobie coś przypomnieć. Diamentowe oczy węży iskrzyły się.

- Hm...

Ray zacisnął dłoń na opasce. Nieopodal stał Ra–Pan. W jego oczach nie było już dawnej ospałości. Wpatrywał się w palce Ray'a tak, jakby posiadał zdolność widzenia przez nie.

- Czego chcesz? - spytał Amerykanin. - Powinieneś być przy sterze.

- Przyszedłem spytać, czy tej nocy zawijamy do portu - mężczyzna uparcie wpatrywał się w dłoń Ray'a.

- Czy nie mówiłem ci już raz? Wracaj na stanowisko!

Mimo obaw Amerykanina mat powlókł się z powrotem. Raz jeszcze dreszcz przebiegł Ray'owi po plecach. Teraz dopisywało mu szczęście, ale nie był ciekaw następnych tarapatów, z których wyjdzie w ten sposób.

- Sygnały z portu, kapitanie! - krzyknął marynarz z bocianiego gniazda na widok błysku z wybrzeża. - Chcą znać naszą misję.

- Ra–Pan! - Ray ujrzał w tym szansę dla siebie. - Idź i odpowiedz im.

Był prawie pewien, że mat się sprzeciwi, ale Uighurianin posłuchał go i powiosłował w stronę brzegu w towarzystwie jednego marynarza. Ray począł pospiesznie czynić

przygotowania. Wziął drugą szalupę, opuścił ją na wodę i wiosłując, popłynął wzdłuż linii brzegu, którą obrał za przewodnika. Zaskoczył go dobiegający od brzegu szmer głosów niesionych falami.

- Warta jest sześciomiesięcznych zarobków, trzyma ją pod koszula. Kto wie, czy lepiej go zabić, czy ograbić i zostawić kapłanom Ba-Al'a. Mogliby nam za niego zapłacić.

Usłyszał cichy szept w odpowiedzi, a po nim wyraźne zdanie. - Sydyk? Nie, użyli swych przeklętych sztuczek, żeby zamydlić nam oczy. To nie Sydyk, mówię ci. Podstawili jednego ze swoich ludzi na jego miejsce. Jedna informacja warta jest dużej nagrody od ludzi wschodu!

Ray przestał wiosłować. Tak więc nie miał już żadnej władzy nad matem. A pozostawić go z tym, co już wie? O, nie! Teraz już ich widział - dwa cienie na białym skrawku plaży, gdzie stali dyskutując. Jedno pociągnięcie wiosł powinno zbliżyć go wystarczająco blisko, przecież jest ich tylko dwóch.

Pociągnął wiosłami po raz ostatni wkładając w to tyle siły, ile mógł. Rzuciwszy wiosła, Ray wyskoczył na obmywany falami piasek. Zobaczył, że postacie odwróciły się. Jedna z nich poślizgnęła się lekko, ale w rękę drugiej już błyszczał miecz.

- Myślę, że nie sprzedacie nic Ba-Al'owi tej nocy - krzyknął Ray.

Pochyliwszy się, nabrał w dłoń piasku i cisnął chmurę ziaren w kierunku człowieka z mieczem. Teraz był już przy drugim z nich, uderzając go grzbietem dłoni i wykonując szybkie kopnięcie w górę. Był to sposób walki, na który wróg nie był przygotowany. Rozległo się krótkie sapnięcie i tamten upadł. Ray instynktownie odwrócił się i pochylił, gotów zaatakować drugiego z napastników. Rzucił się na niego gwałtownie. Obaj upadli i Ray usłyszał przyprawiający go o mdłości trzask czaszki uderzającej o skałę. Wstał. Wyszedł z tego bez uszczerbku, ale dyszał ciężko. Jeden z marynarzy leżał na skale nieruchomo jak kłoda, drugi rozciągnięty był na piasku.

Ray podszedł do niego. Palce nie znalazły pulsu. Pociągnął bezwładne ciało, ułożył obok drugiego i energicznie zasypał oba piaskiem. Nie wiedział, czy ci dwaj mają jakichś sprzymierzeńców, ale przynajmniej zyskał trochę czasu.

Przedsięwziął dalsze środki ostrożności: pozostawił łódź na wodzie, odwracając ją do góry dnem. Właśnie miał się oddalić, kiedy coś go tknęło. Opanował tę sztukę walki dawno temu, ale nie mógł sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek wcześniej skalał swoje ręce śmiercią. Powłókł się przez plażę, szukając jakiegoś śladu skał wskazujących miejsce spotkania. Narastał w nim chłód, lecz nie było mowy o zejściu z tej ścieżki, czy powrocie do człowieka, którym czuł, że był zanim Sydyk z Uighur zawładnął jego umysłem.

Robiło się coraz chłodniej, a on zostawił płaszcz w łódce zaplątawszy go wokół jednego z siedzeń, jako niemą odpowiedź na podejrzenie, że kapitanowi Sydyk'owi nie przytrafiło się nieszczęście. Powietrze było mroźne, więc Ray energicznie wymachiwał ramionami dla rozgrzewki.

Przebył skrawek lądu, gdy przed nim pojawiły się wielkie i wyraźne, łatwe do rozpoznania nawet w tak pochmurną noc jak ta, dwie ostro zakończone skały. Było to z pewnością miejsce spotkań, lecz i tak było za wcześnie. Nikt go nie oczekiwał.

Ray oparł się plecami o najbliższą skałę i spojrzał w morze. Dziś zabił własnymi rękami. Zauważył, że zgina palce i wyciera je o siebie, jakby chciał z nich usunąć coś więcej niż tylko piasek. Oni zabiliby go, może nie tu i teraz, ale z pewnością w mniej litościwy sposób - wydając go Atlantom. Ray miał mgliste wspomnienia o człowieku leżącym na ołtarzu w świątyni o czerwonych ścianach, oczekującym śmiertelnego ciosu. Taki los mógł spotkać również jego, taki, jeśli nie gorszy. Mimo to wciąż wycierał dłonie.

Wtem odskoczył od skały. Od strony morza dobiegły go odgłosy - słabe skrzypienia, które mogło wydawać wiosło poruszające się w dulce łodzi. Ray podszedł do brzegu. Łódź z dwiema szelnie opatulonymi postaciami przecięła nadbrzeżne fale.

- Wschód rośnie w siłę - głos był gardłowy i niski.

- Zachód upada - odpowiedział Ray prawie szeptem. Chodźmy już. Szczury Mu wciąż obserwują teren, a jesteśmy zbyt blisko portu, by być spokojni. Ray dobrnął do łodzi.

- Dobrze, że szybko dotarłeś - skomentował Atlanta. Ich patrole są teraz częste więc nie ważmy się zwlekać. Czy przybywasz sam?

Czy to wydawało się podejrzanym? Naacal nie ostrzegł go.

- Zostałem zdradzony...

- Przez kogo? I... czy byłeś śledzony?

- Przez Ra-Pana - mojego oficera. Murianie dostali go - wymyślił na oczekaniu Ray - ale już nie żyje.

- Tak? Dobra robota.

Wioślarze odbili od brzegu szybkimi, pewnymi uderzeniami wiosła. Przyłodek już ich nie osłaniał, a powietrze morskie było zimniejsze. Ray nie mógł zapanować nad dreszczami, choć bardzo się starał. Z ciemności wyłonił się kadłub statku niby zaostrowany zarys dachu na niebie. Łódź uderzyła w bok okrętu i sznurowa drabinka znalazła się w dłoniach Ray'a. Wspiął się na pokład. Nie było tam żadnych świateł, nawet osłoniętej pokładowej lampy. Musieli się rzeczywiście obawiać, że zostaną dostrzeżeni. Jeden z mężczyzn z łodzi rzekł:

- Zejdź pod pokład, musimy ruszać.

Zeszli po stromej drabince i pomiędzy połami zasłon ze skór przedostali się do głównej kabiny. Otaczały ich pomalowane na czerwono ściany, obwieszane zdumiewającą kolekcją broni. Zniszczona podłoga w białą-czarną szachownicę

pokryta była plamami. W powietrzu unosił się zapach niedomytych ciał ludzkich, rozlanego wina i, co gorsza, czegoś, co wskazywało, że kapitan nie był człowiekiem wykwinnych manier.

Była tam też ogromna ilość przedmiotów, które mogły pochodzić z łupów - jak na statku korsarskim. Na stole leżały metalowe talerze, ale i zwykłe wyroby garncarskie. Dziurawe, cuchnące jedwabne kotary leżały na ławach. Sam stół był cackiem wykonanym z ciemnego drewna inkrustowanego srebrem i kością słoniową. Był jednak bardzo porysowany i podrapany.

Atlanski przewodnik Ray'a rzucił swój płaszcz na ławę i nalał wina z przyozdobionej klejnotami karafki do poobijanego kielicha.

- Wypij to. Noc jest zimna. Mężczyźnie potrzeba trochę ognia w żyłach.

Ray zastanawiał się, czy jego dreszcze były aż tak widoczne. Mógł tylko mieć nadzieję, że zostały przypisane zimnemu wiatrowi. Napełnił usta winem i przełknął, lecz zakrztusił się. Znad krawędzi kielicha obserwował gospodarza. Atlanta był niższy od niego o cal, czy dwa, szerszy w barkach, których rozmiary równoważył sporej wielkości brzuch. Jego długie ręce zakończone były wielkimi, owłosionymi dłońmi niby łapami zwierzęcia.

W odróżnieniu od Murian, zawsze gładko wygolonych, czarna broda porastała jego twarz szerokim pasem aż do kości policzkowych. Używał dużej ilości tłuszczu, aby uformować z niej szpic dotykający torsu. Jego usta były tak zaskakującej grubości i tak jaskrawo czerwone, że można by prawie uwierzyć, że je malował. Choć odznaczał się tak bujną brodą, gdy zdjął brązowy hełm bez pióropusza, okazał się mieć gładko wygoloną czaszkę z wyjątkiem pozostawionego na ciemieniu grubego pasma włosów. Włosy te, także powleczone tłuszczem, owinięte były dookoła brązowej czaszki.

Wykrzywił wargi, ukazując przy tym żółte zęby i poklepał się po gorsie jedwabnej koszuli poplamionej resztkami jedzenia. Jego złoty pas nie został stworzony z myślą o pomieszczeniu takiego brzucha - pomyślał Ray. Jego końce złączone były pętlą z łańcucha, która dodała mu kilka cali w obwodzie.

- Witaj na Czarnym Sokole, bracie! Jestem kapitan Taut. Ci z Mu nie mają powodu, by patrzeć na mnie życzliwie, choć drobiazgi, jakie kradnę, są marne w tych czasach, kiedy wszyscy ich kupcy z Morza Wewnętrznego zabezpieczyli swe mienie.

Ray odstawił kielich i skinał dłonią na znak, aby mu jeszcze dolać. - Jestem Sydyk z

Uighur.

- O?! Jesteś chyba marynarzem. Oficer - uciekinier z floty? Czasami tacy do nas dołączają. Co tam w Ojczyźnie?

Ray zmusił się do uśmiechu. - Zdajesz się czytać moją przeszłość, kapitanie. Ci z Mu zaczynają się wreszcie budzić. Ja uwolniłem się w porę.

Kapitan Taut skinął głową. - Cóż, zawsze mówiłem, że Murianie są zbyt ufni, ale nie można ich uważać za ślepców. Wygląda na to, że jesteś mokry. Zrzuć te łańchy, Sydyk'u - podszedł do skrzyni, poszperał w niej i wrócił z nowym ubraniem.

- Z dobrego materiału. Pochodzą ze statku, który zdobyliśmy na Morzu Północnym, jeszcze zanim zdążył wysłać sygnały do wypłynięcia. Należały do jakiegoś oficera. Odszedł do Ba-Al'a, tak przynajmniej słyszałem.

Niechętnie, nie ośmielając się jednak tego okazać, Ray włożył ubranie nieżyjącego człowieka. Ukradkiem przełożył opaskę do nowej kryjówki.

- Odpocznij, jeśli chcesz - kapitan Taut wskazał na jedną z wnęk. - Nie dotrzemy do lądu przed dniem jutrzejszym.

Wyszedł, zostawiając Ray'a samego. Wybrawszy koję najmniej cuchnącą ze wszystkich, wyciągnął się na niej znużony. Doszedł tak daleko, ale co czekało nań za godzinę, czy jutro?

ROZDZIAŁ 11

Ray nie śnił tej nocy o drzewach, przechodził i przebiegał przez obrazy, które dziwnie przepływały jeden w drugi. Grał w nich rolę zarazem obserwatora, jak i uczestnika akcji. Był Sydykiem z Uighur, przeżywającym raz jeszcze ostatnie lata swego życia. Był wszakże jeszcze kimś innym stojącym obok i obserwującym Sydyka z potrzeby uczenia się i zapamiętania wszystkiego, co on zrobił i kim był.

Okrzyk „Ziemia!” obudził go w końcu. Leżał jeszcze przez minutę czy dwie, czuł się ciężki i nieświeży. Rozległ się przytłumiony odgłos stóp przemierzających pokład i krzyki komend. Taut powiedział, że dopłyną do lądu następnego dnia. Musiał spać długo zatopiony w tych snach.

Powoli usiadł, na sąsiednim stołku leżały ubrania Sydyk’a pokryte kryształkami soli. Były już suche, ale zmięte i jeszcze bardziej spłowiałe za sprawą zmożenia poprzedniej nocy. A jednak wolałby je nosić niż ubrać się w zrabowane szaty. Kiedy wyszedł na pokład, ciągle jeszcze zapinał pas.

- No, no! - kapitan Taut stał przy sterniku. - Musiałeś być bardzo zmęczony przyjacielu, skoro spałeś tak głęboko przez tyle czasu. A więc chciałbyś zobaczyć brzegi Czerwonej Krainy. Ba-Al okazał nam swoją łaskę. Mamy wiatr w plecy. Założyłem się o pięć bryłek srebra, że dotrzemy szczęśliwi do portu przed nocą. Tym razem będę rad, że tam zacumujemy. Szczury Mu stają się bystrookie, a ich kły są ostre... - roześmiał się i uczynił kilka kroków w stronę burty, by splunąć w wodę. - Jest kiepsko od czasu kiedy kupcy nie wpływają na Morze Północne. Lecz służba u Posejdona obiecuje więcej niż tylko ciężkie razy i brak łupów, choć lepiej by było, gdyby szybko spełniły się te obietniki. I... przyjacielu, nie dbam o to, czy powtórzysz te słowa Chronosowi - złemu wcieleniu Posejdona. My, wilki północy, nie jesteśmy jego zaprzysiężonymi poddanymi przez to, że zawieramy z nim przymierze od czasu do czasu. Chcemy więcej niż same tylko uczciwe obietnice. A co byś powiedział na bochenek chleba, czy innej dobrej strawy dla żołądka, żadnego czarnego paskudztwa, co smakuje, jak karaluchy z kurzem, jakie znajdziesz na statkach Chronos’a.

Poprowadził Ray’a z powrotem do kabiny. Żywność, choć podana na dziwnej zbieraninie talerzy, była lepsza niż wszystko, co jadł od czasu, gdy opuścił Mu. Wydawałoby się, że taka kuchnia była jedną z rzeczy, którą Taut szczycił się i chlubił przed innymi.

- Myślałem - Ray zrezygnował z kolejnego dania, do którego kapitan go namawiał - że należycie do atlanckiej floty...

- Do floty!?! - kapitan wytrzeszczył oczy. Ja - Taut? Nie, jestem wolnym kapitanem. Jest tylko dziesięciu ludzi, którzy zawijają teraz do Miasta Pięciu Murów. Ale tak jest tylko teraz, powiadam ci, tylko teraz. Nigdzie indziej nie było grabieży, a Posejdon ma wielkie plany. My jednak nie służymy pod żadnym z jego ludzi, nasz konflikt dotyczy pełnobrzuchych kupców i Murian, którzy trzymają miecze między nami, a tym, co moglibyśmy zabrać. Gdyby oni jednak przemówili tak głośno i jasno jak Chronos, o tym, jak złupiliśmy Czerwoną Krainę, zdecydowalibyśmy się zostać z Mu. Oni dotrzymują obietnic. Ale Mu żadnego z nas nie dostanie. Teraz, gdy musimy się za kimś opowiedzieć, cumujemy w Atlantydzie. Tam też znajduje się nasze wolne miasto Sanpar. Chronos wysłał posłańca, aby ten porozmawiał z nami wprost tak otwarcie, jak potrafi. Dobrze wiemy, że człowiek patrzy przed siebie, rozgląda się na boki i często ogląda się przez ramię, kiedy przyjeżdża do Czerwonej Krainy. Jednak Chronos potrzebuje nas, więc podnosimy jego banderę - co zawsze czyni nas pewnymi, że żaden Cień z nadbrzeża nie sięgnie po nas. Nie ma w nas miłości do Chronosa. Zbyt dużo sobie pozwala żądając tego, czy tamtego. Szybko nabywa się lekkiej głupoty w tym względzie. A on wysyła ludzi do Ba-Al'a, albo do tego nowego diabła, co przychodzi na zawołanie Czerwonych Sukni, a zwie się Miłujący.

- Z nami jest tak, jak z obcymi sobie wilkami, co spotkały się w lasach Jałowych Ziem. Oba warczą, węszą, pokazują kły, ale nie uderzają bojąc się, że sprowokują własną śmierć. Strach i nienawiść mogą iść w parze ze szczęściem. Tak więc czekamy i obserwujemy z kłami gotowymi na moment, kiedy wróg pomyśli, że jest silniejszy...

- Dziesięć statków jak twój?

- Dziesięć statków i wolna koja tu dla ciebie, jeśli tylko zechcesz. Zatrudniamy marynarzy, którzy nie ślubowali Czerwonej Krainie. Nie wydaje mi się Sydyk'u, a to jest ostrzeżenie, żeby człowiek twojego pokroju dostrzegł w Chronosie wielkodusznego mistrza i został długo w jego służbie. Gdy już będziesz miał dość woni strachu w jego wspaniałym pałacu, przyjdź do wilków morskich. Ostrzegam cię, że choć człowiek krwią się poci w tej służbie, przychodzi dzień, kiedy Chronos wyrzuci cię bez grosza wynagrodzenia, jeśli oczywiście nie wysyła cię do Ba-Al'a. Kiedy potrzebował statku, by po ciebie posłać, wybrał mój, bo jestem człowiekiem wielkiej wagi, a gdyby Murianie pojмали mnie, uśmiechnąłby się i nie nalałby ani kropli wina, by złagodzić pragnienie mojej głodnej duszy.

- Wracamy, w ten sposób przegrał część swojej gry. Wieści, które przynosisz, niech lepiej go rozczarują. Ale pamiętaj, przyjdź do nas, gdy zapragniesz ucieczki.

- Dlaczego mi to proponujesz? Nic o mnie nie wiesz - zakłopotał się Ray.

Kapitan przesadnie wzruszył ramionami podnosząc i opuszczając ciężkie barki.

Dlaczego? Nie wiem. Może dlatego, że jesteś młody i jesteś marynarzem jak my. Nie lubię Ba-Al'a ani czerwono odzianych kruków, które kraczą w jego świątyniach. A może dlatego, że tym zdenerwowałbym Chronos'a. I to chyba bardzo. Słuchaj... -usłyszeli nowy ruch na pokładzie. - Chodź na górę. Wydaje mi się, że wygrałem zakład i wpływamy do portu.

Ray był ożywiony pragnieniem ujżenia głównego portu Atlantydy. Był on położony w szerokiej zatoce o wąskim wejściu. Za nim leżało miasto, nie błyszczące tak jasno jak muriańska stolica, lecz bardziej ponure przez swoje ciemne mury.

Posiadłość Chronosa. Mówią, że jest nie do zdobycia dzięki pięciu murom i trzem kanałom. Ale... - Taut znów uśmiechnął się kpiąco. -To nie zostało jeszcze nigdy sprawdzone. Daj mi sto mieczy dobrego gatunku i uśmiech losu, a wtedy, wtedy moglibyśmy udowodnić fałszywość tego przekonania.

Ray spojrział na wilczą zgrają przy zwięzieniu kanału. Wydało mu się, że oczy zwierząt wytrzeszczone w kierunku linii brzegu odzwierciedlają niepoohamowany głód.

- Wierzę ci - odpowiedział.

Taut zaśmiał się - Chronos by nie wierzył. Pamiętaj, gdybyś był w potrzebie - przyjdź do nas. Okręt utorował sobie drogę w gąszczu statków i zakotwiczył za dokami, w których trzymano związanych kupców. Spuszczono szalupę i dwóch marynarzy zeszło na nią. Ray skinął na kapitana.

- Niech słońce... - przerwał nagle, uświadomiwszy sobie, że pamięć splatała mu figla. Dłoń powędrowała do rękojeści miecza, choć Ray nie miał żadnych szans na obronę.

Kapitan korsarzy spojrział tylko na niego ostro. - Uważaj, co mówisz Sydyk'u. Zbyt długo przebywałeś w kraju Murian. Tu mogą najpierw bić, potem zadawać pytania, jeśli usłyszą takie pozdrowienia. Idź już, ale pamiętaj, że tu cumujemy...

Ray przedostał się przez burtę oszołomiony. Usiadł cicho w łodzi z oczami utkwionymi w dokach, w stronę których płynęli, ale jego myśli zaprzętał kapitan Taut. To uporczywe naleganie, aby Ray odszukał go, kiedy tylko będzie miał kłopoty - dlaczego? Sądząc z przeszłości korsarza, byłby on bardziej skłonny sprzedać Amerykanina, kiedy tylko zdobyłby wskazówkę, że Sydyk jest mniej więcej tym, kim się wydaje być. Podejrzenie było teraz tarczą niezbędną Ray'owi, nadmierna ufność jest teraz zbyt ryzykowna.

Mężczyzna noszący prostą zbroję stał w dokach, kiedy Ray opuszczał statek.

- Skąd przybywasz cudzoziemcze? - w jego pytaniu brzmiał rodzaj zuchwałej pogardy.

- Uighur - odrzekł krótko Sydyk.

- A na imię masz może Sydyk?

- Może mam.

- Jeśli tak, to chodź ze mną - odparł żołnierz. - Jeśli tak nie jest, to przekonasz się, że nie jest bezpiecznie żartować z tymi, którzy cię oczekują.

Atlanta ruszył przez tłum, a Ray dostosował doń swój krok. Z dokoń nad ich głowami wyrosła wysoka ściana z czerwonego kamienia. Okrążyli ją i dotarli do otwartej bramy, nad którą zwisały ostre zęby kraty. Żołnierz wymienił kilka słów ze strażnikiem, po czym minęli wąski most na kanale, którego ciemne wody wirowały i szemrały.

Most kończył się następną bramą, tym razem w szaro-białym murze. Potem drugi łuk kanału z przerzuconym nad nim mostem, wiodącym do czarnego muru i trzeci kanał. Atlanta przemówił.

- Widzisz zabezpieczenia Atlantydy? Zostały dobrze pomyślane. Jeśli wróg ośmieli się sprawdzić nas, te bramy zostaną zaryglowane, a mosty podniesione. Nie ma armii, która mogłaby przejść zwycięsko przez takie urządzenia ochronne jak te...

Ray pomyślał o przechwałkach kapitana Tauga, który twierdził, że mając odpowiednich sojuszników, mógłby dać mieszkańcom miasta wiele do myślenia. Umocnienia wydały się Ray'owi zbyt potężne, aby zdobyli je wrogowie wyposażeni tylko w taką broń jak ta, którą widział już w użyciu.

Za ostatnim kanałem były jeszcze dwa mury do przebycia, zanim znaleźli się w mieście. Budynki pomalowano tu na trzy kolory: czerwony, czarny i szarobiały. One także wyglądały tak, jakby zostały wzniesione z myślą o możliwości ich przyszłego wykorzystania jako fortyfikacji.

Ulicami wędrowali ludzie innej rasy. Nie mieli tak jasnej skóry, ani wysokiego wzrostu, jak Murianie i o wiele więcej było wśród nich uzbrojonych mężczyzn. Mówili gardłowym językiem, jakby nie chcieli zostać podsłuchani nawet przez najbliższych sąsiadów. W mieście Chronos'a na dodatek unosiła się dziwna woń, która nie przypominała normalnego zapachu charakterystycznego dla wielkich skupisk ludzi mieszkających blisko siebie. Nie, to był zapach strachu. Ray zastanawiał się skąd to wie, ale był pewien, że to prawda.

Przewodnik przywiódł go na wielki plac. Naprzeciwko wznosiło się to, co niegdyś było potężną świątynią z białego marmuru, lecz teraz wyglądało na świadomie zszpeczone i splądrowane. Przed szerokimi schodami, wiodącymi na to, co pozostało z podium, stały dwie kolumny okryte zmatowiałą karmazynową tkaniną, dziś już postrzępioną i zakurzoną.

Żołnierz zaśmiał się i wskazał ręką budynek. Widzisz Świątynię Płomienia zbudowaną przez tych z Mu? Kapłani Ba-Al'a potraktowali ją surowo, kiedy Mroczny

przybył na swoje włości.

- Dlaczego kolumny są okryte? - spytał Ray.

- Nie wolno o tym mówić - żołnierz rozejrzał się bacznie na prawo i lewo. - Chodź... przyspieszył kroku idąc przez plac.

Musieli jednak przejść obok zniszczonej świątyni i kiedy to już zrobili, Atlanta wskazał na pełną wyrw linię biegnącą wzdłuż muru, na wysokości torsu mężczyzny. Kamień był tam pokryty rdzawo-brązowymi plamami.

To tu postawiliśmy Urodzonych w Słońcu i tych, co im służyli, kiedy nadszedł ich koniec. Nawet nie krzyknęli kiedy śmierć ich zabrała. Są uparci, ci Urodzeni w Słońcu. Ich dzieci ofiarowano Ba-Al'owi i mówi się, że nawet najmłodsze nie zapłakało. Są odważni, ale to wszystko. Odwaga nie będzie płaszczem, czy tarczą chroniącą przed wolą Ba-Al'a. Odeszli z wyjątkiem kilku pozostawionych w mulistych kanałach i tych podarowanych kapłanom do badań...

- Co się stanie z tymi w kanałach? - Ray nie spojrzął po raz drugi na mur. Walczył z obrazem, jaki malowała mu obudzona słowami przewodnika, wyobraźnia.

- Są tu czasem przyprawdzani i przesłuchiwani. Posejdon trzyma ich dla jakiegoś celu. Chodź, robi się późno.

- Powiedz mi - powiedział w chwilę potem - widziałeś Mu, człowieku z Uighur? Czy Ojczyzna jest tak bogata jak mówią?

- Tak mi się wydaje.

- A Urodzeni w Słońcu, wielu ich tam jest?

Ray pomyślał, że ma szansę zasiać w umyśle żołnierza ziarno zwątpienia. - Bardzo wielu i mają tam silną władzę. To ich starożytna ojczyzna.

- Chronos obiecał nam ich kobiety, kiedy mężczyźni zostaną wysłani na ołtarze Ba-Al'a. Najedziemy Mu i ich siła nic im nie pomoże. Wtedy wszystkie dobra będą nasze, a ci, co nie należą do Urodzonych w Słońcu - naszymi niewolnikami. To obietnica Ba-Al'a! - Atlanta był absolutnie pewien tego, co mówi.

Palce Ray'a zacisnęły się, jakby miały zaraz pochwycić żołnierza. Mgła opuściła już pamięć. Kiedy szedł przez miasto, coś powoli zaczęło się uwalniać spod skorupy Sydyk'a. Pomyśleć o Lady Aiee'i - Lady Ayna tak właśnie robiła.

- To może nie być takie łatwe. Widziałem Murian. Są dobrymi wojownikami, a nie dziećmi, które można łatwo zepchnąć z drogi.

- Ale oni nie mają Miłującego - zauważył ten drugi. - A teraz do świątyni Ba-Al'a.

Wielki budynek z czerwonego kamienia stał przy końcu szerokiej alei. Ray jednak

rzucił mu tylko jedno szybkie spojrzenie zanim skręcili w inną ulicę i doszli do pałacu Posejdon'a. Tu Atlanta zostawił go z oficerem gwardii.

Szli przez wąskie, spiralne schody i długie korytarze, ciemne, gdyż okna umieszczone były daleko od siebie i wysoko, przypominając raczej szczeliny w grubym murze. W tym miejscu pełnym cieni panował wilgotny chłód, który przyprawiał o dreszcze. Przypominało ono bardziej posępną twierdzę, niż pałac niepodobny wcale do pałacu Re-Mu. Wreszcie dotarli do małego sklepienia, które wiodło na podwórzec pod gołym niebem.

Oficer zaanonsował Ray'a - Człowiek z Uighur. Amerykanin posunął się naprzód o krok, czy dwa, świadom tego, że teraz dopiero zostanie poddany próbie i najmniejszy nawet błąd, jak ten, który zrobił przed Taufem, przypłaci życiem. Był Sydyk'iem, musiał być tylko nim. Inaczej nie byłby bezpieczny.

- No, gdzie on, gdzie on? - spytał ktoś gderliwym tonem. - Każ mu wystąpić, żebym go zobaczył, Magos.

- Podejź tu człowieku z Uighur - zabrzmiało polecenie. Ray stanął w miejscu oświetlonym ostatnimi promieniami zachodzącego słońca.

- Spóźniłeś się narzekał pierwszy głos.

Kilka rzeczy stanęło mi na przeszkodzie, Wasza Straszliwa Wysokość - odparł Ray ostrożnie.

- Chodź! Podejź tutaj!

Zbliżył się do złotego łoża i szybko upadł na kolana, pochylił głowę mając nadzieję, że wygląda na idealnie pokornego i przejętego strachem sługę.

- Podnieś oczy! Niech zobaczą, jakim jesteś człowiekiem, Sydyk'u z Uighur!

Był to Chronos, Posejdon Atlantydy - taki, jakim Ray widział go kiedyś we śnie. Nie, zbyt bezpiecznym jest pamiętać o tym teraz, w tym towarzystwie.

Nad małymi oczkami w opasłej twarzy o tłustych policzkach znajdowała się grzywka z perfumowanych i utrefionych włosów. Jego opasłe dłonie poruszały się w wystudiowanych gestach, od czasu do czasu podnosząc do nadętych warg smakołyki z pełnego talerza stojącego na małym bocznym stoliku przy łokciu władcy. Obok niego stał kapłan w czerwonych szatach, o ogolonej czaszce i bardzo jasnych oczach. Ray pomyślał, że bardziej powinien bać się jego, niż Posejdon'a, któremu rzekomo służy.

- Czy Wasza Straszliwa Wysokość byłby rad usłyszeć słowa swojego niewolnika? - Ray wymówił formułkę, która została mu wpojona.

- Czy może opowiedzieć wszystko od razu, Magos'ie? - spytał Chronos kapłana.

- Może byłoby lepiej oszczędzić czasu O, Straszliwy. Jeśli uznasz to za konieczne,

może powtórzyć swoją opowieść przed radą.

- Mów więc, człowieku z Uighur.

- Wypełniając rozkazy wydane twemu słudze udałem się do Mu - rozpoczął Ray. Słowa przysły tak łatwo, że musiały zostać umieszczone w jego umyśle w takiej formie, że stanowiły gotową odpowiedź na to właśnie pytanie.

Posejdon kręcił się na łożu wśród poduszek. Tak, tak!

- zniecierpliwiał się. - Ale co z ich umocnieniami?

Znów słowa przysły Ray'owi łatwo. Wszystkie nadbrzeżne forty zostały wzmocnione, a rezerwy zmobilizowane. Flota otrzymała rozkaz werbowania załóg na nowe statki i żeglowania po morzach zachodnich...

- Wszystko to już znamy, głupcze! Czy nie przynosisz niczego o większej wadze dla naszych uszu? Co ze sprawami, którymi miałeś się zająć szczególnie dokładnie?

- Twój niewolnik przekupił młodego nowicjusza w świątyni, który wiedział o czymś...

- I co, co? Czy wiedzą o Miłującym?

- Tak. Naacal'owie przeniknęli zasłonę ciemności i widzieli Miłującego. - Słowa wciąż sypały się z ust Ray'a, który wiedział, że nie pochodzą z jego umysłu, ale zostały w nim umieszczone, by odpowiadał na pytania. Nie wiedział jednakże, do czego to odkrycie może mu się przydać.

Chronos zwinął płaską dłoń w pięść i zanurzył ją głęboko w jedną z poduszek, na której się podpierał. A więc... - spojrzał z rozdrażnieniem na kapłana. - Powiedziałeś, że zasłony nie można przeniknąć, a oni to uczynili. Czy to oznacza, że Naacal'owie są potężniejsi niż...

- O, Straszliwy! - Dłoń Czerwonej Sukni uczyniła ostrzegawczy gest wskazując na Ray'a. Lecz nawet, jeśli kapłan nie życzył sobie dyskusowania na ten temat tu i teraz, to jego władca nie był w nastroju, by go uciszano.

- Czy wobec tego Naacal'owie są potężniejsi? - powtórzył, a jego głos stał się ostry i przenikliwy.

- Jak ci mówiłem, O, Straszliwy... - w odpowiedzi ton głosu kapłana był jednostajny i zrównoważony - żaden umysł zrodzony w Mu nie mógłby nas osiągnąć, jednak wyczuliśmy coś. Gdyby przeszukali świątynię...

Gdyby?! - Chronos przerwał mu. - Z pewnością to uczynili. Hej, ty! Czy planują jakąś obronę przeciw Miłującemu? Co mówił o tym ten młody klecha?

- Pracują nad czymś, Wasza Straszliwa Wysokość. Mógł się jednak tylko tyle o tym

dowiedzieć, że jest to promień czarnego światła.

Skąd pochodziły te słowa? Ray pragnął zakryć sobie usta dłońmi, stłumić głos, jednak on już nie należał do niego, tego głosu używał inny mózg spoza niego i to wzbudziło w Ray'u nowy rodzaj strachu. - Nowicjusz został pochwycony i zabrany zanim dowiedział się czegoś więcej. Było to dla mnie, twojego unizonego sługi, ostrzeżeniem i w porę uszedłem.

- Promień czarnego światła - Magos powtórzył w zamyśleniu.

- Słyszałeś już o czymś takim? Co to jest? - zapytał Chronos.

- Muszę poszukać w zapiskach - wykrętnie odparł kapłan. - Co jeszcze masz nam do powiedzenia? - zabrzmiało to tak, jakby bardzo chciał odciągnąć uwagę Chronos'a od tego właśnie tematu.

- Uighur się waha, o, Straszliwy. - Ray usłyszał, jak opowiada. - Nie jest on lojalnym potomkiem gotowym rzucić się do obrony Ojczyzny, jak wierzy Mu...

- To dobrze, dobrze! - Chronos wydał świszczący dźwięk zadowolenia.

- Widzisz - znów zwrócił się do kapłana. - Ziarno zasiane tak ostrożnie przez naszych ludzi zaczyna kiełkować, a niedługo wyda owoce. Wyznaczonego dnia Mu wezwie na pomoc sojuszników, ale nikt im nie odpowie. Wtedy zostanie sam, dojrzały do grabieży.

- Powiedz mi - teraz kapłan zadał pytanie - czy słyszałeś w Mu o cudzoziemcu, który ostatnio zyskał względy Re Mu? O kimś, kto nie pochodzi z Mu, lecz z bardzo daleka i kto posiada dziwne moce?

- Krąży taka opowieść. - Ray był wciąż tylko narzędziem w ręku siły, która go tu przywiodła. - Twój sługa nie może wierzyć w jej prawdziwość. Pospólstwo twierdzi, że Re Mu i Naacal'owie zdobyli się w potrzebie na wezwanie siły z zewnątrz - powiedział.

Chronos usiadł tak nagle, że poduszki spadły kaskadą na podłogę.

- Czy to może być prawda? - znów zwrócił się do Czerwonej Sukni, oczekując odpowiedzi.

- Kto to może wiedzieć, O, Straszliwy. Plotki podają wiele rzeczy, ale w każdej z nich jest tylko strzępek prawdy. Jakkolwiek to jest logiczne: mamy własne wsparcie i ono nie pochodzi ze świata, jaki znamy. Może Naacal'owie wykorzystali coś podobnego. To tłumaczyłoby przedostanie się przez zasłonę - mogli w taki sposób użyć tego, kogo przywołali.

- Czy z jego pomocą mogliby nas pokonać? - nalegał Chronos.

- My wzywamy siły z Ciemności, oni z innych źródeł, jeśli to w ogóle jest prawda. Któż może stwierdzić, która z mocy jest silniejsza, zanim nie spotkają się one w otwartej walce? Nie ma znaczenia, co stanie pod sztandarem Mu - my mamy za sobą Miłującego i jego

silny ród. Czy wiesz coś jeszcze o tej sprawie? - spytał Ray'a.

- Nie, synu Ba-Al'a. Słowa szeptane w mieście, tak jak mówisz, mogą nie mieć w sobie nawet najmniejszego cienia prawdy.

- Ale wystarczą, by nas przygotować. Człowiecze z Uighur, dobrze się spisałeś. Czy nie tak, O, Straszliwy? - spytał Magos Posejdona.

Tak się złożyło, że wyrwał władcę z głębi myśli.

- Och, tak, tak. Jesteś wolny, możesz odejść. Oficer czekający na zewnątrz pokaże ci siedzibę dla ciebie przygotowaną.

Ray cofnął się o cal, wciąż na klęczkach, wstał dopiero przy drzwiach. Kiedy spojrzął w górę, zobaczył, że Posejdon i kapłan rozmawiają szeptem ze sobą i pomyślał, że Magos został zatrudniony dla uspokajania swego władcy.

ROZDZIAŁ 12

Ray oparł się o szeroki, okienny parapet. Na górnym piętrze pałacu, okna były czymś więcej, niż tylko wąskimi szczelinami jak poniżej. Przez ciemności nocy przebijały się światła portu; Ray był na tyle wysoko, że mógł widzieć doki przez mur pałacowy.

Gdzieś tam w dole był statek, który go tu przywiózł. Ray zadumał się nad naleganiami kapitana Tauta i niespodziewaną sugestią, że może on znaleźć schronienie na statku, jeśli tylko zajdzie potrzeba. Dlaczego kapitan naciskał na to tak bardzo, mówiąc mu nie raz, a kilka razy.

Pokój znajdujący się za nim był skąpo umeblowany. Wyglądało na to, że Posejdon nie traktuje zbyt dobrze swoich oddanych wysłanników powracających z misji. Cztery czerwone ściany, zakurzona podłoga, zniszczone łóżko i ławka. Nawet Ray'owi zabrano ubranie i nosił teraz czarną, skórzaną zbroję, nabijaną metalowymi ćwiekami, taką jaką nosili atlancy podoficerowie. Nie zamknęli go przynajmniej, jak się tego spodziewał. Włożywszy czarny hełm, Ray wyszedł na cichy korytarz. Hali sprawiał wrażenie tak opustoszałego, że Ray podejrzewał, że nie była to najczęściej odwiedzana część pałacu, a to mu odpowiadało.

Zszedł teraz na dół do lepiej oświetlonego i bardziej zaludnionego korytarza. Żołnierze i oficerowie siedzieli na ławkach w drugim końcu pomieszczenia. Słyszał brzęczenie ich głosów przerywane gdzieniegdzie śmiechem. Nie miał ochoty jednak przyłączać się do towarzystwa. Nagle kilka głosów przyciągnęło jego uwagę.

- ...Murianie. Tak, tej nocy. Nie wolno wchodzić do sali audiencyjnej przez godzinę.

Muriańscy więźniowie! Musi ich zobaczyć. Oto znów pojawiła się wola, ta sama, która nim zawładnęła podczas spotkania z Chronosem. Nie walczył z nią.

Rozległ się głuchy gong, w odpowiedzi nań Atlanci siedzący przy drzwiach stanęli na baczność, po czym wymaszerowali. Nie zastanawiając się długo. Ray pospiesznie dołączył do ogona oddziału.

Znalazł się w czerwonej sali, którą widział raz w sennej podróży; i tym razem Chronos zajmował złoty tron. Ray schował się za jedną z kolumn mając nadzieję, że zostanie niezauważony. Posejdon wzniosł berło w kształcie brązowego trójzęba, symbol władzy, który Mu podarowało pierwszemu władcy Atlantów władającemu tu na wschodzie. Szmer rozmów umilkł.

- Niech Dwunastu Dających Prawo wystąpi! - Głos Chronos'a brzmiał słabo i piskliwie w sali o tak ogromnych rozmiarach, tracąc dostojność, o które tak zabiegał.

Dwunastu ludzi wystąpiło, aby zająć swoje miejsca - po sześciu z każdej strony tronu.

- Słuchajcie, mężowie Atlantydy. Oto wola Posejdona, umiłowanego przez Ba-Al'a. Trzeciego dnia miesiąca śmiertelnych deszczów, w dwadzieścia dni od dziś, flota Atlantydy wyruszy w stronę kraju niesłusznie zwanego Ojczyzną. Państwo ciemnościela Mu będzie stało otworem dla naszych mieczy i ognia. Tak rzekłem i jeśli się zgadzacie, niech me słowa zostaną zapisane...

Dwunastu podniosło ręce.

- Czy zgadzacie się ze mną namiestnicy prowincji? - spytał Chronos.

- Tak, O Straszliwy - odpowiedzieli zgodnie.

- Tak więc się stanie. Słowo prawa nie zostanie zmienione.

Cała sala wyrecytowała monotonię: - Takie jest prawo. Słowo prawa nie zostanie zmienione.

Chronos wychylił się lekko w przód. Błędym językiem dotknął swoje wydatne wargi, jakby chciał spróbować jakiegoś nowego smakowitego specjału.

- Wprowadźcie te muriańskie szczury, które złapaliśmy w naszą sieć!

Ray zobaczył rząd żołnierzy wchodzących do sali, z przeciwnej strony dziesięciu ludzi skutych ze sobą łańcuchami. Więźniowie ledwie stali na nogach. Byli brudni i pomazani zielonym szlamem. Chwiali się, pomagając sobie nawzajem iść. Kiedy zostali przeprowadzeni przed oblicze Chronosa, nie okazali mu skruchy, trzymając głowy tak dumnie wysoko, jak tylko mogli.

- Wygląda na to, że duch w was nie zgasł. Może ugościliśmy was zbyt szczerze! - zachichotał Chronos.

Jeden z więźniów wyszeptał cicho, jakby przebyte trudy wysały zeń siłę głosu. - Czego chcesz od nas, fałszywy królu?

- Może wreszcie jesteście gotowi powiedzieć, że fałszywy stał się prawdziwym i zmienić stanowisko?

Ray wiedział, że nie jest to prawdziwa propozycja, a tylko bezlitosne naigrywanie się. Muriański mówca zdążył już potrząsnąć przecząco głową.

- Oferujemy wolność i zaszczyty tym, którzy przechodzą na naszą stronę. - Chronos wciąż się uśmiechał.

- Zaszczyty! - odpowiedź Murianina zaświszczała jak uderzenie batem.

Policzki Posejdona zbladły. - A więc... - zło brzmiące w jego głosie było wyraźne. Zamilkł na długą chwilę. Magos podniósł się i chwycił go za rękaw. Chronos skinął głową do Czerwonej Sukni.

- Ach tak, Magos'sie, pamiętam. Potrzeba ci więcej ludzi do twych laboratoriów, prawda?

Ray usłyszał stłumione sapnięcie, które musiało się wyrwać jednemu z więźniów. Pozostali jednak przyjęli słowa z milczeniem.

- Magos i Ba-Al potrzebują mężczyzn, silnych mężczyzn. Możesz ich sobie wziąć, Magos'sie. Wydają się być silni, skoro decydują się na takie zachowanie w naszej obecności. Być może przyjdę zobaczyć jak ich użyjesz. Mówiono mi, że to niezwykle zabawne.

Ray wiedział już teraz, że przysłała go tu ta sama, władająca nim siła. Co mógł jednak zrobić działając w pojedynkę? Na razie - tylko obserwować i czekać, być gotowym na chwycenie się każdej szansy, jaką ześle los. Czy była to jego własna myśl, czy zesłała ją moc? Zdać się na przypadek było zbyt ryzykownym.

Teraz! Wychodzą tędy. Stał wyprostowany jak posąg w cieniu kolumny i obserwował strażników i więźniów opuszczających salę.

Skorzystał z tej szansy i wymknął się w ślad za nimi. Ostatecznie, czy ktoś mógłby go o cokolwiek podejrzewać? Prędzej już oczekiwano by próby ucieczki samych Murian, niż pomocy udzielonej im z zewnątrz, w samym sercu pałacu Chronosa.

Schodami w górę. Tak, ta droga wiodła do skrzydła pałacu, gdzie znajdował się jego własny pokój. Wspinał się szybko, dotarł do pokoju i przykucnął za uchylonymi drzwiami, które stanowiły punkt obserwacyjny. Stąd mógł widzieć grupę ludzi na drugim końcu korytarza. To tam, tam umieścili więźniów pozostawiwszy wartownika.

Ray zerwał kapę z łóżka i czekał na odgłos stóp wracających żołnierzy. Wtedy wymknął się spod swych drzwi do wnęki przy następnych. Z kieszeni przy pasku wyjął dwie kwadratowe metalowe monety, którymi go wynagrodzono i rzucił je na podłogę. Uderzyły w kamienną posadzkę z głośnym brzękiem. Strażnik ruszył na ich poszukiwanie.

Amerikanin wyskoczył z ukrycia, uderzył kantem dłoni w miejsce, gdzie ani hełm, ani zbroja nie chroniły gardła żołnierza. Schwycił Atlantę, zanim ten upadł i położył go na podłodze najciszej, jak umiał. Następnie okrył bezwładne ciało, pociągnął je do swojego pokoju, gdzie porzucił nieprzytomnego człowieka.

Pomknął z powrotem do drzwi, przed którymi stał przedtem wartownik i rozerwał zewnętrzną zasuwę. Murianin pełniący rolę mówcy w sali audiencyjnej patrzył nań wytrzeszczonymi oczyma.

- Co ty, tu....? Kim ty...?

- Chodźcie! - Ray zajął się ich łańcuchami używając klucza wyciągniętego zza paska strażnika. Jednak mówca wyszarpnął mu się.

- Płonna nadzieja, to tylko nowa tortura. Nie oddawajcie się w jego ręce towarzysze...

- Ja was uwalniam...! - Ray był rozdrażniony. Musieli się spieszyć, nie był to najlepszy moment na dyskusje.

- Kim jesteś?

- Człowiekiem z Mu!

- Łatwo tak powiedzieć, ale trudniej to udowodnić...

- Czy zaryzykujecie zaufanie mi? Czy może wolicie poczekać na przyjemności laboratoriów Magosa? - spytał Ray. - Nie czas na długie rozważania.

- On ma rację - wtrącił inny. - Będziemy mieć przynajmniej wolne ręce i wydostaniemy się z celi; możemy być pewni że nie dostaną nas żywych z powrotem. Dla mnie ta nadzieja jest wystarczająca!

- Lecz również jedyna. Nawet jeśli dotrzemy do portu, to nie mamy statku. Przedzieranie się lądem jest czystym szaleństwem.

Ray pomyślał o kapitanie Taucie. Nadzieja jest niewielka, ale to wszystko co mają. - Może nawet będzie dla nas statek. Lecz chodźmy.

Wyszli na korytarz. Muriański przywódca pochylił się i podniósł miecz upuszczony przez strażnika.

- Czy któryś z was wie, jak poruszać się po budynku? - spytał Ray -ja przybyłem tu dziś zaledwie...

Jeden z nich wystąpił o krok do przodu. Przysłano mnie tu kiedyś, lecz Magos mnie nie dostał. - Nie mógł opanować dreszczy, jakie wstrząsnęły jego wychudzonym ciałem. - Mogę was doprowadzić do zewnętrznej bramy.

- Chodźmy więc!

Szli powoli, nasłuchując. Ich przewodnik nie użył schodów, którymi Ray wspinał się wcześniej, ale wprowadził ich do bocznej sali, a dopiero potem w dół, do niższej kondygnacji, zatrzymując się nagle przed jakimiś drzwiami.

- To pokój wartowników służących Magosowi - szepnął. - Wewnątrz może być broń...

Ray przedostał się przez grupę Murian stając na ich czele. Wyglądem przypominał jednego z pałacowych strażników, mógł więc przejść niezauważony. Otworzył drzwi. Trzech mężczyzn siedzących w pokoju spojrzało nań z zaskoczeniem.

- Hej, wy! - Ray próbował nadać swemu głosowi ton komendy. - Wstawać! Muriańscy więźniowie uciekli!

Dwóch strażników wytrzeszczyło oczy ze zdziwienia. Trzeci był już na nogach. -

Jak?!

Ray zniecierpliwiał się. - Skąd mam wiedzieć? Mamy rozkaz wyjść i pojmać ich.

Gotów do wymarszu strażnik przypatrywał mu się bacznie. - Nie było gongu na alarm...

- Nie czas teraz na gong. Chcecie dać im sygnał do szybszej ucieczki? Chodźmy!

Dwóch podniosło się, nie zadając żadnych pytań i posłusznie ruszyło w stronę drzwi, trzeci odwrócił się i sięgnął po pałeczkę leżącą obok gongu. Ray uderzył pierwszy, szybko i mocno, tak, jak to zrobił w sali powyżej. Nie patrzył jak jego ofiara upada, lecz odwrócił się i wykonał kopnięcie trafiając drugiego ze strażników i powalając go na podłogę. Jednocześnie kątem oka zobaczył jednego z Murian z mieczem, którego ten używał, by sięgnąć żołnierza dobiegającego do drzwi. Kilka sekund później Murianie byli w sali, zaczynając zdejmować ze strażników ich zbroje i broń. Była tam jeszcze jedna kompletna zbroja, należąca być może do innego członka straży, wkrótce więc przeszło połowa byłych więźniów miała na sobie atlanckie mundury.

Kiedy byli już gotowi, Ray powiedział. - Teraz musimy odegrać małe przedstawienie. Ja jestem dowódcą tego oddziału. Mamy dostarczyć niewolników na statek alianckiej floty w porcie. Tam jednak mamy do wykonania jeszcze jedną misję - musimy aresztować kapitana Tauta - korsarza z Morza Północnego podejrzanego o zdradę. Kiedy będziemy szli, wy...! - wskazał na tych, którzy nie mieli na sobie zbroi - ...będziecie więźniami. Czy jesteście gotowi spróbować?

- O tak, panie! - w odpowiedzi zabrzmiała niepohamowana determinacja, która nie obiecywała wiele dobrego tym, którzy ośmieliliby się indagować ich tej nocy. Ray chwycił gong alarmowy z miejsca, na którym stał i wziął go ze sobą. Dwaj nieprzytomni strażnicy zostali związani, wepchnięci pod stół, a trup umieszczony w kącie za drzwiami, skąd nie było go łatwo zobaczyć.

Uformowali się w kolumnę w korytarzu. Ray był zdumiony. Ci ludzie nie tylko przypominali wojowników Chronosa; nagle się nimi stali! Swe długie włosy schowali pod hełmami, łachmany zamienili na mundury, a w półmroku rysy ich twarzy były trudne do rozpoznania. Poruszali się jak wyszkolony oddział.

Z odzyskaną na nowo pewnością wydał rozkaz do wymarszu. Pomiędzy strażnikami, chwiejnym krokiem szło czterech więźniów ze związanymi z tyłu rękami. Drużyna weszła na dziedziniec i tu natknęła się na pierwszą wartę.

- Bądź śmiały, lub przynajmniej takie sprawiaj wrażenie. - Ray sam udzielał sobie rad.

- Kto idzie? - zapytał strażnik przy bramie, kiedy Ray przywiódł doń oddział. Nie było

to główne wejście do pałacu, lecz jedno z mniejszych, które zasugerował ich muriański przewodnik.

- Dator Sydyk z polecenia Posejdona - odrzekł Ray. Jego usta były tak suche, że z trudem wydobył z nich słowa. Zabrzmiały one nisko i chrapliwie, a więc zapewne naturalnie dla Atlantów, choć Ray był prawie pewien, że słychać też bicie jego serca.

- Dokąd?

- Mamy sprawę do załatwienia w porcie. Czy mówię o mych rozkazach do ściany?! - Pozwolił sobie na mały błysk gniewu prawie pewien, że jeśli los im sprzyjał to i dalej będzie, gdyż inaczej mogłoby to skończyć się walką. Mężczyzna jednakże przepuścił ich.

Przeszli zwawo. Ray chciał nawet zacząć biec. W każdej chwili spodziewał się usłyszeć krzyk lub gong za sobą. Ten, który zabrał pod płaszczem z pokoju strażników, wrzucił w krzaki zaraz za bramą.

Oto wydostali się już na ulice miasta. Noc była późna i ulice były puste. Wciąż jednakże znajdowało się przed nimi pięć murów i trzy kanały do pokonania. Pewność, że to zdumiewające szczęście będzie im nadal sprzyjać, była czystym szaleństwem.

- Rzeczy mają się tak - wypowiedział się przywódca.

- Spodziewają się nieszczęścia z zewnątrz, nie z wewnątrz, i o ile alarm w pałacu nie zostanie wszczęty, ale, cóż...

- wzruszył ramionami - ...możemy tylko zrobić wszystko, co w naszej mocy.

Pomaszerowali dalej, mijając zniszczoną świątynię Płomienia, w stronę niżej położonych ulic wiodących do bramy w pierwszym murze. Ray wysunął się w stronę strażników.

- Kto idzie?

Ze wszechmiar czujny Ray pewien był jednak, że byli zaskoczeni widokiem ich oddziału.

- Dator Sydyk z rozkazu Posejdona.

- Jaki jest twój cel, Datorze? Wciąż nie było wskazówki na to, że działanie strażników nie było rutynowe.

- Dostarczyć niewolników wioślarzy do portu, a także aresztować kapitana korsarzy...

- Znów posłużył się błagą, która teraz wydała mu się kiepska.

- Czy masz pozwolenie na wymarsz?

O to chodziło! - Ray podszedł bliżej - Tak jest. Zechciałbyś rzucić na to okiem? Tu... Postąpił w przód, jakby szukał światła pod bramą i wyciągnął rękę. Oficer podszedł do niego. Ray walnął go drugą dłonią i złapał osuwające się ciało, odwracając je.

Wyjął zza pasa długi sztylet i przyłożył do nagiej szyi Atlanty.

- Hej, wy - zaczął zwracając się do innych strażników.

- Teraz! - usłyszał cichy głos Murianina. Ludzie Ray'a ruszyli do pozostałych żołnierzy i schwytali ich. Rozległ się tylko jeden stłumiony krzyk. Murianin wydał polecenie, aby ukryto ciała strażników, a następnie powrócił do Ray'a.

- Czy ten będzie dla ciebie użyteczny?

- Może być kluczem do naszej ucieczki. Murianin odepchnął bezwładną głowę jeńca. - Jest nieprzytomny.

- Można jednak ożywić go z powrotem - odrzekł Ray. - Idźmy dalej.

Przeszli przez bramę, zamykając ją i wbijając klin między drzwi. Ray uderzył więźnia w twarz, a jeden z Murian przyniósł z pokoju wartowników wiadro wody; wlał je na Atlantę. Ten ciężko odetchnął, jego oczy otworzyły się i rozszerzyły szybko. Ray zatkał mu dłonią usta, które też zaczynały się otwierać. Ponownie przyłożył sztylet do szyi więźnia.

- Pójdiesz z nami... - powiedział wolno, uważając, aby strażnik zrozumiał każde jego słowo - ...i zrobisz, co ci każę. Wtedy przeżyjesz. Uczynisz inaczej - a nie będzie miało dla ciebie znaczenia, co się z nami stanie, bo już tego nie zobaczysz. Rozumiesz?

Głowa mężczyzny kiwnęła nagle twierdząco.

- A teraz... - Ray opuścił dłoń kneblującą usta Atlanty i obrócił go. Stali teraz ramie w ramie, lecz za więźniem stał jeszcze przywódca Murian ze sztyletem przystawionym Atlantcie do pleców - ...naprzód - rozkazał Ray.

Dotarli do drugiej bramy; po drodze Ray wydawał półgłosem polecenia jeńcowi. Czy będzie im posłuszny? By się tego dowiedzieć, musieli poczekać. Atlanta wiedział, że ma do czynienia z ludźmi, którzy zamierzają dotrzymać słowa, tego Ray był pewien.

- Kto idzie? - strażnicy drugiej bramy wezwali ich do zatrzymania się.

Więzień odchrząknął i odpowiedział.

- Dator Vu-Han. Rozkaz mówi, aby przepuścić nasz oddział do portu.

Nastąpiła chwila milczenia. Ray usłyszał, jak Vu-Han cicho westchnął. Poczł też lekkie poruszenie, jakby sztylet trzymany przez Murianina ukłł mocniej Atlantę.

Nawet jeśli strażnik miał jakieś wątpliwości, to nie powiedział ich głośno. Może więc Vu-Han będzie ich kluczem do wolności, tak jak myśleli. Kiedy jednak mijali drugą bramę, Ray wiedział, że nie odetchnie spokojnie do czasu, kiedy znajdą się w dokach.

Trzecia brama i trzeci most, Murianie idący w szyku i Vu-Han grający rolę, jaką mu powierzono. Czwarta brama i następny most. Zbyt dobrze, szło zbyt dobrze. Coś odezwało się w duszy Ray'a, ostrzegając go szeptem? Czy można liczyć na to, że wydostaną się w ten

sposób?

Ostatni most, a za nim ostatnia brama. Znów nikt nie wszczął alarmu. Przeszli spokojnie wiedzeni przez Vu–Hana. Dobrze jednak, że nie zdali się całkowicie na ślepy los, gdyż nagle, pośrodku wąskiego mostka wiodącego przez kanał, Atlanta naparł na Ray’a, jednocześnie wydając krzyk. Amerykanin został ostrzeżony, tylko dlatego, że idąc blisko niego poczuł napięcie jego ciała. Ray rzucił się naprzód i Atlanta zamiast wepchnąć go do kanału, przeleciał obok niego i wpadł do wody wydając jeszcze jeden krzyk. Ray był świadomy skoku, jaki wykonał oficer muriański waląc głową w bramę, krzyku rozlegającego się z tyłu, i drżenia mostu pod nimi. Strażnicy przy bramie chcieli podnieść most i zmiażdżyć zbiegów pomiędzy ciężką bramą a opuszczoną kratą.

Ray posunął się naprzód na czworakach, nie tracąc czasu na stanie. Ktoś złapał go za ramię i pociągnął w górę przyłączając do grupy Murian, którzy biegli w stronę unoszącego się przęsła mostu.

Co najmniej połowa z nich dotarła już do następnego punktu wolności, walcząc teraz przy bramie. Utorowali oni drogę reszcie, która pokonywała drżącą kładkę mostu niepewnymi skokami zbliżając się do bezpiecznego miejsca poza nim.

Jako że mosty zostały zaprojektowane, by bronić przed atakującymi, a nie zatrzymywać potencjalnych uciekinierów były szersze przy bramach, a węższe na środku.

Przedostali się przez bramę i w końcu usłyszeli bicie gongu alarmowego. Wyszędłszy na drogę wiodącą do doków, zaczęli biec.

- Dokąd teraz? - zawołał przywódca Murian.

- Czy wszyscy umiecie pływać?

Z ciemności rozległ się śmiech. - Czyż nie służyliśmy w marynarce?

- Wskakujemy więc do wody.

Biegli wciąż ścieżką wijącą się między belami i skrzyniami na nabrzeże, trzymając się własnych cieni. Ray zatrzymał się raz, by ocenić ich położenie i odszukać znak, który tu wcześniej zostawił, aby ułatwić sobie odnalezienie statku Tauta.

- Straże!

Nie potrzebował dawać tego ostrzeżenia, gdyż słyszał tupot zbiegających stóp i krzyki.

- Do wody!

Zrzucili broje, a ci, którzy udawali galerników zdążyli już skoczyć do wody i przebierali rękami w miejscu w oczekiwaniu na innych. Morze było tu zimne. Ray gwałtownie nabrał powietrza, gdy poczuł dookoła siebie chłód. Zaczai płynąć wiedząc, że Murianie podążają za nim. Kiedy dotarł do sznurowanej drabinki zwisającej z burty statku był

już zeszywniały i przemarznięty. Zatrzymał się na moment, gdyż był tak skostniały, że każdy wysiłek był dlań zbyt trudny i dlatego, że miał nadzieję na jakiś sygnał od trzymającego wachtę. Zbyt długo jednak musiał by czekać, co było niebezpieczne. Musiał stawić temu czoła tak, jak stawiał wszystkim innym rzeczom tej nocy. Wspiął się więc, prześlizgując się ostrożnie przez burtę na pokład.

- Nie ruszaj się, przyjacielu! - Światło latarni błysnęło na nagim ostrzu miecza oraz korpucie czarnego cienia trzymającego go.

Ray znał ten głos. - Kapitan Taut!

- Wężu głębokich wód! Sydyku mówiący, że pochodzisz z Uighur... - zabrzmiały słowa, lecz ostrze nie cofnęło się, ciągle gotowe, by zadać cios.

- Przychodzę w odpowiedzi na twoje zaproszenie, kapitanie...

- Z niemałą gromadką - zakpił Taut. - I z czym jeszcze?

Słyszeli wrzawę w dokach, mimo że byli daleko na otwartym morzu.

- Jakie diabelskie nasienie przynosisz mi, człowieku z Uighur, i dlaczego ma mieć ono dla mnie znaczenie?

- Dlaczego ma mieć dla ciebie znaczenie, nie wiem

- odparł Ray szorstko. - Poza tym, że zaproponowałeś mi schronienie. Możesz wysłać nas lub tylko część z nas

- z powrotem w ręce strażników Chronosa. Lecz ostrzegam cię, że to nie będzie proste. Lub... - przerwał zanim uczynił docinek - ...możesz żyć dłużej by poprowadzić swych ludzi do pałacu Posejdona, z bronią w ręku.

Tak więc masz do zrealizowania plan. Chcesz, aby piraci wykonali za ciebie brudną robotę! Hej wy - kim jesteście, że wchodzicie na mój pokład, nie czekając na pozwolenie? - ryknął, gdy Murianie wdrapywali się na pokład przez burtę i gromadzili się za Ray'em. Każdy trzymał w ręku miecz, którego nie zostawił wraz z resztą rzeczy w dokach.

- Brudna robota, jak to nazywasz, kapitanie, została już prawie zrobiona. Współdziałaj ze mną, a zyskasz silnego sojusznika.

- A co w zamian zaoferuje mi Mu?

- Mu. - Było to stwierdzenie, nie pytanie. - A co w zamian zaoferuje mi Mu, że nie wspomnę o tym, że muszę przebyć pół świata, by to odebrać?

- Służbę w jej szeregach, wybaczenie przestępstw z przeszłości i możliwość grabieży w Atlantydzie...

- Gwarantujesz mi to wszystko? - przerwał Taut. Ray wyciągnął ozdobną opaskę spod koszuli. - Zabierz to i tych ludzi do Mayax'u.

- Jesteś bardzo pewny siebie.

- I ciebie - odparł śmiało Ray. Nastal czas, kiedy nawet najbardziej zwariowane szansę należało wykorzystać, bo nie można było nic więcej zrobić.

Ponownie ujrzał błysk na ostrzu miecza, lecz tym razem kapitan chował go do pochwy. I wtedy Amerykanin usłyszał śmiech Tauta.

- Na żelazne pazury Ba-Al'a! Jeżeli tobie udało się wydostać z miasta, dziesięciu Murian dzisiejszej nocy, to ja mogę spróbować wywieźć ich z portu. I z pomocą boga morza twoi ludzie wstawią się za mną w Mu, zanim zostanę wyrzucony ze służby przez mych nieprzyjaciół.

- Wstawią się za tobą.

- A co z tobą?

Ray położył dłoń na czole pocierając je palcami. To, co czuł pod czaszką, nie było bólem, lecz wiedzą, zimną i stałą, wiedzą, że nie mógł być częścią wyprawy Tauta ku wolności. Siła, która postawiła go na ścieżce do Atlantydy, jeszcze z nim nie skończyła.

- Jeszcze nie wykonałem swojego zadania - rzekł powoli, wiedząc, że mówi prawdę.

- Ale wrócić tam, to napotkać pewną śmierć - zaprotestował muriański oficer.

- Nie mam wyboru - głos Ray'a był słaby. - Kiedy dotrzecie, o ile w ogóle dotrzecie do Ojczyzny, przekazcie im, że ci tutaj naprawdę stworzyli narzędzie pozostające na ich usługach.

- Jeśli musisz zostać - wtrącił Taut - idź do wytwórcy żagli, do sklepu przy pijackiej tawernie na końcu trzeciego nabrzeża. Powiedz, że przychodzisz ode mnie - to zapewni tobie bezpieczeństwo.

- Wrócimy z tobą... - zaczął jeden Murianin.

Ray potrząsnął głową. - Mu potrzebuje dziesięciu mieczy i ludzi, którzy by nimi władali, a także wiedzy, jaką tu zdobyliście o mieście i jego zabezpieczeniach.

- To prawda, choć przyznaję to z żalem - zgodził się oficer. - Lecz pamiętaj, że kiedy tylko wrócisz do Słońca, masz tam dziesięciu oddanych żołnierzy gotowych stanąć za tobą, mój panie. Niechaj jasność Płomienia oświetli wszystkie twoje ścieżki!

Ray wrócił do drabinki. Pragnął być już daleko, choć tym razem istniała możliwość, że wchodzi prosto w ręce Ba-Al'a.

ROZDZIAŁ 13

Ray przylgnął do jednego ze słupów pod nabrzeżem. Słyszał głosy, lecz były one zbyt przytłumione, by rozróżnić słowa. Wiedział, że ścigający go byli już w mieście. Ze swej kryjówki nie widział statku. Czy Taut będzie w stanie wypłynąć w morze, nawet jeśli wyrzucą go za to z floty? Czy chociaż spróbuje? Nawrócenie kapitana Tauta przebiegło tak łatwo, że w Ray'u obudziła się podejrzliwość. Może on tylko czekał, aż Amerykanin opuści statek i da sygnał ludziom Posejdona, aby zabrali zbiegłych Murian. Lecz jeśli nawet taki był jego plan, dlaczego wypuścił Ray'a? Dostałby za niego więcej.

Chyba, że Alianci uważaliby, że Ray może ich doprowadzić do muriańskich łączników w mieście i wytropić ich. To jednak Taut podał mu nazwisko człowieka, z którym ma się skontaktować. Jakkolwiek mogła już tam czekać straż.

Wcisnął się głębiej w swoją szczelinę, ale nie mógł opanować drżenia, spowodowanego nie tylko chłodem przesiąkniętej wodą koszuli. Dlaczego tu wrócił, czy może został przysłany? Podczas zmieniania go w Sydyka w jakiś sposób wprowadzono mu do mózgu polecenia, a on ich nie rozumiał.

Poruszenie nad nim ustało. Musieli odejść i zacząć poszukiwania w innym miejscu. Wcześniej starał się nie płynąć do nabrzeża, przy którym zostawili ubrania, lecz bardziej na zachód od tego miejsca. Dokąd udać się teraz? Powrót do miasta był równie dobry, jak podejście do najbliższego strażnika z rękami w górze. Poza tym był tak zmęczony, że pragnął tylko ciemnego kąta, do którego mógłby się wczłgać i przespać chwilę.

Ray zbyt mocno wciśnięty w szczelinę, zaczął wątpić, czy mógłby uciec, gdyby ktoś nadszedł niespodziewanie. Lepiej już wyjść na otwarty teren, gdzie miałby chociaż cień szansy. Niezdarnie powłókł się wzdłuż jednej z podpór, gdzie przesunął się do innej, kierując w stronę ładu. Woda przepływała pod nim leniwie. Często zatrzymywał się, by nasłuchiwać dźwięków płynących z góry, czy wydawanych przez wiosła w porcie.

Wahał się przez dłuższą chwilę, zanim się podciągnął i zdołał dosięgnąć górnej powierzchni nabrzeża. Leżały tam bele ułożone w stertę. Pospieszył do nich tak, jak biegnie się do schronienia i wczłgał się w szczelinę między dwiema z nich, tworzącą rodzaj jaskini. Mimo że osłaniały go od wiatru, Ray'em wstrząsały dreszcze. Musiał się zdrzemnąć. Nie wiedział jednak o tym, że już szarzało. Między belami było bowiem ciemno jak przedtem. Usłyszał tupot stóp. Ranek? Pracownicy portowi nadchodzą?

Ray wymknął się ze swej kryjówki w stronę morza, gotów wskoczyć do pokrytej

tlustymi plamami wody, gdyby zaszła taka potrzeba. Po raz pierwszy spojrzął w dół, na siebie, próbując ocenić jak przedstawiłby się jego wygląd na otwartej przestrzeni.

Kiedy wskakiwali do wody, zostawił na brzegu spódniczkę, hełm i napierśnik strażnika. Miał na sobie teraz tylko koszulę tak poplamioną przez kontakt z niezbyt czystą wodą w porcie, że przypominała ona odzienie robotnika. Jego buty... zmarszczył brwi na ich widok, lecz nie mógł ich wyrzucić. Być może nie wyglądały tak, jakby były częścią munduru.

Za broń służyły mu tylko sztylet i własne ręce. Wyciągnął je przed siebie, oglądając. W kraju, który nie wiedział nic na temat trenowania sztuk walki używanych w jego świecie, okazywały się one być lepszą obroną niż stal. Potarł nimi przód swojej zimnej i mokrej koszuli.

Był głodny i ścisnęło go w dołku. Ray obliznął słoną powierzchnię warg i starał się nie myśleć o jedzeniu.

- Przyłóżcie się do tego, meduzy! Myślicie, że możecie to ruszyć samą chęcią i patrzeniem?

Krzyk podkreślony był trzaśnięciem. Ray poruszył się, gotów wskoczyć do spienionej wody. Zamiast tego jednak wślizgnął się za ostatnią belkę, by się rozejrzeć. Po nabrzeżu szła grupa pracowników smagana batami nadzorców. Pewnie niewolnicy, pomyślał Ray. Wyjąwszy, że nosili oni skórzane sandały, a on buty, różnica między nim, a tymi zgarbionymi, posępnymi robotnikami była niewielka.

Załóżmy, że przyłączyłby się do nich, czy mógłby zostać niezauważony? Jednakowoż nadzorcy mogli uważnie obserwować niewolników i równie szybko jak brak jednego z nich, zauważyliby przybycie nowego. Lepiej nie próbować.

Przeniósł się na koniec nabrzeża i znalazł następne miejsce, z którego mógł wspiąć się na powierzchnię mola. Były tam skrzynie wyładowane właśnie z wozu i sznur ludzi czekających, by je przenieść. Ray czekał w ukryciu na szansę przejścia dalej. Wtedy zobaczył innego, szczupłego człowieka o twarzy więcej niż w połowie zakrytej krzaczastą, postrzępioną brodą. Miał on na sobie podartą koszulę i tak jak Ray, trzymał się w cieniu, niewidoczny dla nadzorujących. Rozglądał się on, obserwując skrzynię i człowieka pilnującego rozładunku. Błyskawicznie przyłączył się do kolejki właśnie w momencie, kiedy miał otrzymać następny pakunek. Zamiast iść za poprzedzającym go człowiekiem, uskoczył w bok i zaczął uciekać ze skrzynką w dłoniach.

Ray wykorzystał okazję, jaką dał mu zuchwały czyn tego człowieka.

- Złodziej, zatrzymać złodzieja! - Czy był to typowy w tych okolicznościach okrzyk - Ray nie mógł wiedzieć.

Spowodował on jednak okrzyk nadzorców w odpowiedzi. Kilkunastu mężczyzn rzuciło ładunki i wyłamało się z szeregu, by pobic za uciekającym. Ray przyłączył się do nich, grając rolę goniącego charta przemykającego się między wozami i pracownikami portowymi. Nagle Amerykanin ujrzał zapraszające go drzwi i ukrył się w ich cieniu. Brama ustąpiła łatwo pod ręką, którą wyciągnął, by się oprzeć. Wszedł odważnie, pozwalając się im zamknąć za nim.

W powietrzu unosiły się w większości nieprzyjemne zapachy, ale niektóre przyprawiły Ray'a o skurcz żołądka. Szedł cicho, przystając przez chwilę przy każdych zasłoniętych drzwiach. Zza niektórych dochodziły słabe odgłosy. Chrząkanie, zgrzytanie, wystarczające jednak, by wiedzieć, że budynek miał lokatorów. Dotarł do końca korytarza nie widząc żadnego z nich. Były tam następne drzwi z klamką po wewnętrznej stronie. Wyjął ją z drzwi bez trudu.

Za nimi znajdowała się zaśmiecona odpadkami aleja. Powiódł wzrokiem dookoła. Rodzaj ludzki nie zmienił się od stuleci. Ta ulica mogła wieść równie dobrze przez slumsy. Niektóre tylko zapachy były bardziej egzotyczne niż jemu współczesne, lecz była to jedyna różnica.

Ogromna liczba okien spoglądała w dół, na drogę. Czy jednak ktoś patrzący przez nie mógł zainteresować się obcymi? W takiej dzielnicy ludzie zwykle pilnują własnych interesów, nie widzą i nie słyszą tego, co ich nie dotyczy.

Torował sobie drogę przez góry śmieci i nieczystości, kierując się w stronę jednego z wylotów ulicy, gdy nagle zamarł. Jęk? To z całą pewnością był jęk. Pochodził zza wypełnionego po brzegi kosza na śmieci. Ray przysunął się bliżej do ściany i kopnął w stertę rozkładającej się materii, z której pochodził głos.

Wystarczyła sekunda, by pożałował swej głupoty. Zza pojemnika wyskoczyła nań dzika postać, w dłoni której zabłysnął nóż, niby słońce. Przeciwnik był dobrze wyszkolony taktycznie. Ray odparował cios. Zacisnął dłoń na przegubie napastnika i rzucił nim o ścianę, jakkolwiek zrobił to odrobinę za późno.

Ray przycisnął dłoń do boku. Nie w serce, na szczęście. Czuł ciepło krwi sączącej się przez materiał koszuli. Nie miał odwagi sprawdzić, jak poważna jest rana. Nie czuł jednak bólu, jeszcze nie.

Pochylił się i podniósł nóż upuszczony przez mężczyznę. Trzymał go w dłoni gotów do obrony, popychając butem sflaczałe ciało. Jego przeciwnik musiał uderzyć głową w mur.

Ciało zakołysało się, a głowa dziwnie się poruszyła, jakby zbyt luźno osadzono ją na barkach. Ray wziął głęboki wdech. Nie żyje, pomyślał, skręcił sobie kark. Atlanta był młody,

szczupły, prawie jeszcze dziecko; przez skórę pokrytą czerwonawą wysypką znać było kości. Jego koszula była lepsza od tych, jakie Ray widział u pracowników portowych, miał ponadto pas ze srebrnymi ćwiekami i wiszącą u niego sakiewkę.

Na jego palcach wskazujących znajdowały się dwa pierścienie, a w uchu okrągły kolczyk. Złodziej, i to taki, któremu nieźle się powodziło. Być może ta sztuczka udawała się wcześniej. Jęczał, jakby był ofiarą ataku, by przyciągnąć uwagę kogoś, kto nie zajmował się tylko własnymi sprawami, a potem odchodził z tym, co zyskał na ciekawości lub głupocie przechodnia.

Przycisnął mocniej dłoń do boku. Rana zaczynała boleć. Nie śmiał jej zostawić bez opieki, nawet jeśli była mała. Opierając się o ścianę, obejrzał ją. Była, jak mu się wydawało płytka i bardziej dokuczliwa niż groźna. Nie wolno mu jednak stracić ani odrobiny krwi, bo to by go osłabiło, a ciemne plamy widoczne już na koszuli, przyciągnęłyby uwagę.

Nie miał wyboru. Zabrał się więc do pracy.

Krótko potem szedł już z odległego końca alei, kroczył pewniej, niż wtedy, gdy znalazł się tu po raz pierwszy. Buty i skórzaną kamizelkę, które mogłyby go zdradzić, wyrzucił.

Miał teraz na sobie brązowy garmler nieboszczyka, a pod nim strzęp koszuli owiązany dookoła rany. Mokasyny złodziejaska były zbyt duże dla Ray'a, ale lepsze takie, niż zbyt małe. Miał poza tym sakiewkę pełną srebra. Nic już nie łączyło Amerykanina z Sydykiem z Uighur.

Usłyszał kroki za sobą. Zauważył ludzi, którzy albo spoglądali w górę, albo nawet wślizgiwali się w drzwi. Uważał, że roztropnie byłoby pójść w ich ślady, choć nie spojrzął za siebie, żeby sprawdzić, co ich tu przywiodło na poszukiwania. Nie zrobił tego błędu.

Los i przecucie przywiodły go do czegoś w rodzaju tawerny. Unosił się tam zapach rozlanego wina i gotowanych potraw. W innej sytuacji mieszanka ta przyprawiłaby Ray'a o mdłości, lecz teraz jednak chciał coś zjeść. Frontowe drzwi otwierały się na ulicę. Po niej maszerował oddział żołnierzy Posejdona. Zatrzymał się on przy wejściu do oberży i Ray wiedział, że tym razem szczęście opuściło go i że będzie musiał stawić czoła wrogowi. Rozejrzał się po pokoju.

W pomieszczeniu tym były trzy stoły z ławkami po każdej stronie i drzwi wiodące do innego pokoju, czy pokoi, z których pochodził zapach jedzenia. Oprócz niego siedziało tam dwóch innych klientów.

Jeden z nich wyglądał, jakby spędził tu całą noc. Leżał rozwalony na końcu jednego ze stołów z głową spoczywającą na ramionach. Dochodziło od niego miarowe gulgotanie i

pociąganie nosem, które sugerowały, że spał głęboko. Mogło to być spowodowane wypróżnieniem zbyt dużej ilości kufli takich jak ten, który stał wciąż przed nim. Palce mężczyzny luźno go otaczały.

Drugi mężczyzna siedział przy innym stole naprzeciwko Ray'a. Nosił on prawie taką samą poplamioną kamizelkę jak Ray, kiedy grał rolę Sydyka, jadł łączywie, na przemian łyżkę sosu zaczerpniętego z miski i kęs chleba z kawałka, jaki trzymał w lewej ręce. Ray jednak zobaczył szybkie spojrzenie, jakie tamten rzucił na żołnierzy i pomyślał, że ten gość jest mniej zainteresowany jedzeniem, niż na to wygląda.

Z drzwi wiodących do innego pomieszczenia wyszła szurając nogami kobieta. Jej włosy zostały najpierw splecione skórzanymi rzemieniami, a potem uformowane w wysoki kok na czubku głowy. Wyglądało to jak komiczna kopia wypracowanego stylu, jaki Ray widział u dam na dworze Posejdon. Miała na sobie sznurowaną do pasa suknię bez rękawów, wiszącą na jej kościstej sylwetce, a sięgającą jej do połowy łydki. Kiedyś miała ona jaskrawo pomarańczową barwę, ale teraz była wypłowiała smugami i gdzieś tam poplamiona.

Jej twarz gruba i nadęta stanowiła kontrast dla jej szczupłej sylwetki. Kobieta więc prezentowała dziwny widok, jakby źle dobranej głowy i ciała. Dokoła rąk poniżej łokci nosiła miedziane bransolety, a pozłacany kolczyk ozdabiał nozdrza jej zbyt dużego nosa.

Położyła obie pięści na stole przed Ray'em i pochyliła się nieco w jego stronę, by spytać: - Co będzie? Jej głos brzmiał jak jęk i Ray musiał prawie zgadywać jej słowa, tak były niewyraźne.

- Jedzenie... wino... - był w gorszej sytuacji, nie wiedząc, jakie posiłki można zamówić w takim miejscu. Zaryzykował i wskazał na drugiego gościa. - Coś takiego -jeśli jest gotowe.

Jej chrząknięcie mogło oznaczać zarówno zgodę jak i odmowę. Jakkolwiek zawróciła do pomieszczenia, z którego przyszła. Zanim wyszła, rozległ się ostry dźwięk i wszyscy zwrócili oczy w stronę wejścia.

Stał tam dowódca straży z dwoma żołnierzami z tyłu. Miał on w sobie jakąś brutalną arogancję człowieka, który nie znosi sprzeciwu. Rzucił swój miecz na najbliższy stół, by zwrócić na siebie uwagę.

Zaczyna się, pomyślał Ray. Oceniał odległość między sobą a drzwiami do wewnętrznego pomieszczenia, lecz na drodze stała kobieta. Skąd mógł jednak wiedzieć, że stamtąd jest jakieś wyjście. Mógłby rzucić się tam tylko po to, by znaleźć się w pułapce.

Kobieta otarła sobie usta wierzchem dłoni. Uśmiechnęła się, a może tylko skrzywiła.

- Wino dla panów?

- Nie twoją zgniłą lure - odparł dator. - Ty, tam...

- wskazał na marynarza. - Kim jesteś i skąd przybywasz? Mężczyzna połknął to, co miał w ustach. - Rissak, mat na „Koniu Morskim”. Bywam w tym porcie więcej lat, niż ty hodujesz swoją brodę.

- Na niewyparzone języki najlepsze lekarstwo to ostrze noża - odparł żołnierz, lecz nie kontynuował tematu.

- A ty? - zwrócił się do Ray'a.

- Ran-Sin - zaimprovizował Ray - Z północy.

- Wstań - nakazał dowódca.

Ray podniósł się. Załóżmy, że okrążyłby stół lub przewrócił go, czy mógłby wydostać się na ulicę? Prawie niemożliwe, jako, że reszta oddziału znajdowała się tam, gotowa bez wątpienia do zatrzymania wszystkich podejrzanych postaci, jakie ich dowódca mógłby wskazać.

Ku jego zdziwieniu nie nakazał jednak swoim ludziom wejść i pojmać go. Przypatrywał mu się raczej lustrując go długimi spojrzeniami od stóp do głów. Być może znano tylko niektóre szczegóły stroju zbiega, a zmiana ubrania na to zabrane złodziejowi działała na korzyść Ray'a.

- Ten? - Jeden z żołnierzy wskazał na śpiącego, chrapiącego mężczyznę.

Dowódca niecierpliwie potrząsnął głową. - Nie taki...

Tak więc pomyślał Ray, miałem rację. Mieli coś w rodzaju opisu, a dowódca zdawał się być człowiekiem, który zwracał uwagę tylko na szczegóły podane przez źródła oficjalne. Skąd jednak wiedzieli, zastanawiał się Ray, gdy opuszczali tawernę, że kogoś jeszcze trzeba szukać? Skoro kapitan Taut wywiózł Murian, dlaczego mieliby nie wierzyć, że wszyscy uciekli lub byli w drodze na Morze Północne. Z drugiej strony kapitan mógł go szukać, co było wielce prawdopodobne. Mógł też zawieść, zostać zatrzymany, a przesłuchanie więźniów ujawnić fakt, że Ray był wciąż wolny w dzielnicy portowej. Lepiej już podejrzewać, że nastąpiło najgorsze.

Co jednak mógł zrobić? Jak na razie wola nie podsuwała mu nowych poleceń. Dlaczegoż to niewidzialne, niesłyszalne urządzenie tak głęboko w nim umieszczone, że nie mógł z nim walczyć, przywiodło go tu z powrotem? To coś więcej niż tylko zabawa w chowanego z ludźmi Posejdona w dokach, tego był pewien.

Kobieta poszła do kuchni i wróciła z tacą. Były tam: miska gulaszu, pajda chleba i kufel podejrzenie cuchnącego napoju, który był prawdopodobnie podawany w tym lokalu jako wino.

Ray wyjął kawałek srebra z sakiewki złodzieja. Zobaczył, jak oczy kobiety rozszerzają się odrobine, gdy go obserwowała. To zbyt dużo pomyślał. Nie rzucił monety na stół, jak pierwotnie zamierzał, lecz trzymał pomiędzy dwoma palcami tak, by widać było tylko jej brzeg.

Kobieta uśmiechnęła się z tą samą przymilnością, jaka była w jej spojrzeniu, którym obdarzyła dowódcę straży.

- Czy chcesz czegoś jeszcze, panie?

- Pokoju, w którym człowiek może spokojnie odpocząć - powiedział.

- Odpocząć - powtórzyła. - Och, może moglibyśmy panu taki znaleźć. - Jej oczy błysnęły i spoczęły na widocznym brzegu monety, by następnie wrócić do twarzy. Wskazała coś brodą.

- Tędy... - rzekła pokazując wejście do następnego pomieszczenia - i w górę schodami. Proszę wziąć pokój z niebieską zasłoną.

Ray zakręcił monetą. Zatrzymała ją na stole, przykrywając dłonią i wsunęła do kryjówki, gdzieś w ubraniu. Ray podniósł tacę i zabrał ją ze sobą, starając się nie spieszyć, by nie wzbudzać już w niej podejrzeń.

Pokój z niebieską kotarą na drzwiach był drugi w kolejności od stromych schodów. Z kuchni, dwie osoby patrzyły, jak przechodzi korytarzem. Była to następna kobieta, starsza i nawet mniej sympatyczna niż jędzowata kelnerka i mężczyzna o wygiętych palcach krojący warzywa, tak pochylony nad stołem, że jego brodzie groziło niebezpieczeństwo od posuwającego się noża.

Za zasłoną znajdowało się zacisze podobnego do celi pokoju. Nie było tam ani stołu, ani krzesła, tylko łóżko, które nie było niczym więcej, jak tylko siennikiem wznoszącym się z brudnej podłogi na ramie o czterech nogach i półka na ścianie, na której stał dzbanek. Było jeszcze okno z zamkniętymi teraz okiennicami. Ray położył tacę na półce i podszedł, by je otworzyć. Opierało się jego wysiłkom, lecz podważone czubkiem sztyletu w końcu ustąpiło. Popchnął listewki okiennic, otwierając okno.

Kilka stóp dalej znajdował się kamienny mur, należący prawdopodobnie do sąsiedniego budynku. Ray spojrzał w dół. Wąskie przejście między ścianami, było więcej niż w połowie zapchane śmieciami, pełne pułapek dla stóp tych, którzy próbowali użyć go jako drogi szybkiej ucieczki. Czuł się jednak odrobine spokojniej, mając otwarte okno pod ręką.

Usiadł na brzegu niezdrowo wyglądającego i cuchnącego siennika i zaczął jeść. Smakowało to dziwnie, było gorące i pikantne, prawdopodobnie zbyt mocno doprawione, by nakłonić klientów do kupowania większej ilości napojów. Zaspokoił jednak głód: zjadł

dokładnie wszystko, wycierając miskę skórką chleba.

Oparł się o ścianę i zaczął rozmyślać. Podczas rozmowy z Chronos'em ta wszczepiona mu wola zawładnęła nim i dyktowała to, co ma mówić. Był wtedy zupełnie świadom tego procesu. Co więcej, był pewien, że uratowanie Murian zostało mu także nakazane, nawet jeśli szczegóły akcji wymyślił on sam. W takim razie oba te wydarzenia były częścią przyczyny, dla jakiej się tu znalazł. Co jednak zostało jeszcze do zrobienia?

Jak długo ma jeszcze denerwować się czekając na dokonanie tego, co było jego obowiązkiem. Jego oburzenie takim zarządzaniem jego duszą nie było już tak porywcze, lecz przytłumione i pozostawiające rozgoryczenie. Jednak do momentu, kiedy stanie twarzą w twarz z ludźmi, którzy go tu przysłali, musi to w sobie stłumić. Człowiek oślepiiony gniewem może łatwo zrobić błąd.

Ray patrzył z otepieniem przez okno na ścianę. W porządku. Wargi ułożyły się na kształt słowa, którego nie wymówił głośno.

- Czekam tu. Jeśli będę czekał zbyt długo, mogę być skończony i to, czego chcecie ode mnie, nie zostanie wykonane. Przyjdźcie gdziekolwiek jesteście i dajcie mi wskazówkę. Czego ode mnie chcecie?

Próbował wydać z siebie niemy krzyk, jakby mógł sięgnąć przez trzy oceany do umysłu Naacal, Re Mu, czy kogokolwiek, kto nałożył nań ten przymus.

Wydawało mu się, że kamienie w murze pociemniały - drzewa! Ray zamknął oczy, otworzył je znów powoli. To było jak patrzenie przez niewłaściwy koniec lornetki. Drzewa, rząd za rzędem, wszystkie maleńkie. Jego umysł powiedział mu, że są wielkie, wyniosłe.

Nie! To nie była ta odpowiedź, nie drzewa! Zacisnął powieki czyniąc intensywny wysiłek myślowy. Drzewa nie są częścią tego. Nie patrzył na nie, nie myślał o nich... Przyjdź, pomyślał teraz o tej sile, jakby to była wiadomość przesłana na częstotliwościach, które można złapać tylko czasami. Pochylił głowę z zamkniętymi oczami by oprzeć ją na pięści. Przyjdź, błagał, powiedz, co mam zrobić, zanim będzie za późno, powiedz mi!

Fordham trzymał pasek perforowanego papieru w dłoni. - Burton, więc uważasz, że to jest odpowiedź, prawda?

- Nie zwijać, nie zginać, nie drzeć - zacytował Hargreaves. - Myślę, że powinniśmy się przyzwyczaić do każdego rodzaju czarnej, białej, czerwonej, zielonej czy niebieskiej magii, ale odmawiam przyznania, że człowiek może być zredukowany do czegoś takiego! Szczerze mówiąc, nie chcę w to wierzyć. To jest... to jest nieprzyzwoite!

- Nie człowiek, nie... - poprawił Burton. - Pytaliśmy o równanie, które odpowiadałoby pewnemu wzorowi mózgu, aby znaleźć środek, który naprowadzi nas na cel. Twój komputer

dał nam to tak, jak wcześniej dostarczył nam równanie Atlantydy.

- Które wcale nie musi być poprawne - wybuchnął Hargreaves. - Jedyne co zobaczyliśmy na filmie to las, pamiętasz? Uwierzę w Atlantyde, kiedy zobaczę bardziej konkretny dowód na jej istnienie.

- W porządku, nikt nie upiera się, że to naprawdę jest Atlantyda - odparł Fordham. - Jednak Dr Burton ma rację. Wprowadziliśmy dane, uzyskaliśmy równanie, użyliśmy tego równania i otrzymaliśmy... sam widziałeś - to, co sfilmowaliśmy.

- I zgubiliśmy tam człowieka. Rozsądek nakazuje twierdzić, że nie stoi przez cały czas w tym samym miejscu, do którego poszedł. I jeżeli to będzie działać...

- Jeżeli będzie działać - podkreślił Hargreaves.

Fordham przeciągnął dłonią po twarzy. Był zmęczony, tak zmęczony, że najmniejszy ruch przychodził mu z wysiłkiem. Kiedy ostatnio naprawdę się wyspał? Nie mógł sobie przypomnieć.

- To nie jest wszystko, co powinniśmy mieć - wtrącił Burton. - Musicie to zrozumieć. Mamy wyciąg z jego akt wojskowych, relację ludzi, którzy go znali, dane z ostatniego sprawdzianu fizycznego i tym podobne. Idę o zakład, że to nie zadziała, ale to wszystko, co możemy zrobić. Żeby mieć większe szansę, powinniśmy mieć wykreślony jego wzorzec zachowania, inne dane sięgające co najmniej dwa lata wstecz...

- Ponieważ ich nie mamy - słowa Fordhama zlewały się ze sobą, tak był zmęczony - spróbujmy tego. Cuda się zdarzają...

Hargreaves wzruszył ramionami. - Zaczynam wierzyć, że generał Colfax ma rację. Wyślijcie tam oddział poszukiwaczy...

- Pewnie, żeby stracić także ich? - zapytał Fordham.

- Nie! Przynajmniej nie do czasu, kiedy będziemy zmuszeni.

- Spojrzał znowu na pasek papieru, który według tego co mówił komputer, rzekomo był równy człowiekowi: żyjącemu, oddychającemu, chodzącemu, mówiącemu, myślącemu, nienawidzącemu, kochającemu człowiekowi... A może nie był? Tego nigdy nie będą pewni, dopóki ich trudne przedsięwzięcie nie zakończy się sukcesem i dopóki w odpowiedzi na te eksperymentalne transmisje Ray Osborne nie wyjdzie z lasu gigantycznych drzew, by stanąć twarzą w twarz z nimi i swoim własnym światem.

ROZDZIAŁ 14

Niebezpieczeństwo? Ray uniósł głowę, nasłuchując uważnie. Z korytarza na zewnątrz nie dochodził jednak żaden dźwięk. Wstał i podszedł ostrożnie do okna, aby przez wąską szczelinę spojrzeć w dół. Nikogo tam nie było. Jednak poczucie, iż jest pod uważną obserwacją tkwiło w nim wciąż tak silnie, że miał niemal wrażenie, że gdy odwróci głowę, ujrzy postać stojącą w rogu pokoju.

Uczuciu, iż jest śledzony towarzyszyło naglące pragnienie znalezienia się na otwartej przestrzeni, któremu nie sposób się było oprzeć. Zdawało mu się, że ściany wokół niego przysuną się, odcinając powietrze potrzebną trudzącym się płucem. Wokół unosiła się aura takiego zagrożenia, jakie znał przedtem tylko z sennych koszmarów. Chociaż zachował resztki ostrożności, Ray wiedział, że nie może zostać w tym prowizorycznym schronieniu, że zostanie z niego wypłoszony, tak jak on sam mógłby wywrócić kosz, zmuszając do ucieczki jakieś małe, przerażone zwierzątko.

Nie miało to nic wspólnego z przymusem, jakiemu podlegał w atlanckim porcie - ten, był tego pewny, pochodził od wroga. Nie mógł z nim też zbyt łatwo walczyć.

W porządku - wyjdzie stąd. W przeciwnym razie - Ray oblizał wargi - jeżeli presja będzie nadal narastać, będzie po prostu stał, krzycząc głośno do czterech ścian, kim jest, dopóki nie pojawią się jego wrogowie, aby go stąd zabrać.

Działając w zgodzie z tym zamiarem i ustępując do tego stopnia, mógł zachować nieco własnej woli. A tak długo, jak miał jej choć odrobinę, mógł nadal walczyć, wymykać się, uciekać! Gdyby tylko wiedział, czemu go tu zostawiono, mógłby wtedy znaleźć i cel i powód, aby nie ustępować.

Czy powinien skierować się do sklepu z żaglami, o którym wspominał kapitan Taut? Nie miał wcale powodu, aby wierzyć w dobrą wolę kapitana piratów, jednak to było wszystko co miał - cień nadziei.

Odwrócił się gwałtownie dotykając ręką swego boku. Rana była jeszcze na tyle świeża, że się skrzywił. Zbadał ją znowu w zaciszu pomieszczenia. Zbliżyła się już i ponieważ była czysta, zaczęła się goić.

Ray podszedł znowu do okna i dokonywał analizy dziedzińca, kiedy wychylił się tak daleko, jak tylko mógł się odważyć nie tracąc równowagi, zobaczył, że po jego lewej stronie, od frontu tawerny, nie było wyjścia na zewnętrzną ulicę, jedynie wysokie ogrodzenie kończące się ślepą uliczką. Inna droga - tak, tam mogło być wyjście. Szybko zerwał

wierzchnie nakrycie - jedyne, jak stwierdził - z łożka, przymocowując jego koniec do podpórki podtrzymującej ramę. Nie otrzymał zbyt długiej liny, ale wystarczała, aby zapewnić mu bezpieczne lądowanie. Następnie wyszedł przez okno, kołysząc się ponad rumowiskiem. Puścił linę i upadł tak jak go uczono, przewracając się, aby uniknąć zranienia tyle, że nigdy nie przerabiał takich ćwiczeń z myślą o lądowaniu na śmietniku.

Przebijając się przez górną warstwę odpadków, Amerykanin uderzył z miażdżącą siłą w mniej delikatne podłoże. Przez chwilę lub dwie leżał w śmieciach, czując rwący ból w boku, obawiając się niemal ruszyć, aby nie okazało się, że złamał sobie jakąś kość.

W końcu, ponieważ uczucie, iż jest ścigany było niezwykle silne, Ray wdrapał się na górę i wydostał z wysypiska. Zjedną ręką przy ścianie, aby dopomóc błądzącym stopom, rozpoczął ostrożną wędrówkę na tyły tawerny. Jeżeli łomot towarzyszący jego lądowaniu zaalarmował któregoś z mieszkańców pozostałych pokoi na górze, wyraźnie nie skłoniło ich to do poszukiwań.

Wąska szczelina prowadziła na koniec budynku, lecz z prawej strony wciąż odgradzał ją wysoki płot z gnijących desek. Na lewo ciągnęła się ślepa ściana drugiej budowli. Drewno ogrodzenia było suche i zmurszałe i Ray'owi przyszło do głowy, że mógłby kopniakami utorować sobie drogę na drugą stronę, ale na razie nie było potrzeby uciekać się do tak drastycznych metod ucieczki.

Przedzierał się przez cuchnące zwaly odpadków, aż wreszcie doszedł do prawego rogu ogrodzenia, które miało zamykać szczelinę. W miarę, jak szedł, potrzeba biegu do wolności, przestrzeni tak w nim rosła, że kiedy stanął przed barierą, ostrożność zniknęła, zaczął kopać i szarpać rozpadające się drewno, wdzierając się w aleję zupełnie taką samą jak ta, na której napotkał złodzieja.

Otrząsnąwszy się jak mógł z brudu, który pozostawiła na nim wędrówka dołem szczeliny, Ray rozejrzał się na prawo i lewo, zastanawiając się, który z kierunków zapewnia choć niewielkie bezpieczeństwo, jeżeli można było spodziewać się bezpieczeństwa w tym labiryncie mrowiących się doków.

Jeżeli nie zatracił całkowicie poczucia kierunku, to sklep znajdował się na lewo. Dobry kawałek przed nim jakaś postać zajmowała się grzebaniem w odpadkach, przewracając odrażające sterty śmieci długim kijem, od czasu do czasu rzucając się na jakiś kasek i przenosząc go do torby wleczonej z tyłu. Ray widział tylko chude jak patyki, gołe ramiona wystające z kupy szmat, tak starych i brudnych, że straciły kolor. Im bardziej Ray zbliżał się do śmieciarza, tym mniej wyglądał on na ludzką istotę. Lecz kiedy już zbliżył się na długość jego penetrującego kija, tamten poruszył się z szybkością, o którą nie można by podejrzewać

tęgo chodzącego szkieletu, wymachując dookoła tym samym kijem, aby zagrozić mu drogę, a zza pozawijanych szmat zasłaniających mu głowę, wydobył się przeraźliwy chichot.

Szybki refleks znowu uratował Ray'a, pozwalając mu uniknąć mierzonego w niego kija. Śmieciarz, straciwszy równowagę, kiedy jego broń nie zetknęła się - jak planował z goleniami Ray'a, odszedł chwiejąc się na krok czy dwa, popchnięty siłą zamierzonego ciosu.

„Jaahhh!” Pierwsze niepowodzenie nie odstraszyło napastnika od kolejnej próby. Ray jednak nie mógł zmusić się, aby podejść do tego stwora. To nie był człowiek, raczej coś, co stoczyło się tak nisko, że nie należało już do rodzaju ludzkiego i stało się odrażające.

Ray kopnął torbę, której stwór używał do trzymania swych zbiorów i uchylił się znowu przed przelatującym kijem. Wymachując drągiem stwór zachwiał się, potknął o swoją torbę i upadł zawodząc przeraźliwie. Ray odbiegł.

Kiedy dotarł do końca alei, jego oddech przeszedł w krótkie dyszenie. Droga była wąska, niewiele szersza od jego rozłożonych ramion i wychodziła na ulicę, na której panował duży ruch: przesuwały się tędy ciężkie wozy jadące z ładunkiem do doków, i powracały puste. Wozy prowadzili jednakowo ubrani mężczyźni, a na niektórych jechały także straże. Ray przylgnął do ściany w miejscu, jak miał nadzieję, nie rzucającym się w oczy i ocienionym, obserwując z początku obojętnie, potem zaś, gdy nabrał tchu, z pewną uwagą.

Odgadł, iż były to dostawy wojenne załadowywane na okręty. Przygotowania do totalnego ataku przeciwko Mayaxowi lub Mu. Z pewnością będą musieli uporać się z Mayaxem, zanim zaatakują - lub spróbują zaatakować - Mu. Lecz jak Chronos zamierzał zaangażować całą resztę świata w otwartą wojnę, dopóki nie było drogi morskiej do Mu prowadzącej przez wschód zamiast przez zachód? Nigdy nie widział kompletnej mapy tego świata. Co z Afryką? Czy ten kontynent istnieje w tej epoce, a jeśli tak, to kto nim włada? Źle, że wiedział tak mało o tym, co mogło być mu pomocne.

Lecz możliwe zmiany geograficzne zniknęły z jego umysłu. Mógł opuścić pokój w tawernie, ująć przed atakiem śmieciarza, ale nie stracił poczucia, że znajduje się pod nadzorem. Teraz działało ono jako impuls naglący do działania.

Jakiegokolwiek nietypowe zachowanie mogłoby rzecz jasna zaalarmować strażę na wozach. Ray zaczął iść naprzód, trzymając się ścian budynków po lewej stronie, zmierzając z powrotem do portu. Jeżeli... jeżeli jakakolwiek wola panująca nad nim chciała, aby wrócił do miasta, być może te wozy były sposobem na powrót. Próbował obejrzeć je, nie zdradzając zbytniego zainteresowania, szukając sposobu ukrycia się na jednym z tych, które powracały.

Z jego pobieżnych oględzin wynikało, że nie ma na to żadnych szans - w każdym razie nie w biały dzień. Ray doszedł do końca przecznicy i stanął przed szeroką arterią tworzącą

kregosłup, którego asymetryczne żebra stanowiły doki. Przeciął linię furmanek ustawionych w kolejce, zmuszając się do maszerowania równym krokiem, walcząc z chęcią garbienia się pod wzrokiem woźniców i straży, oczekując w każdej chwili, że podniesie się krzyk, że poczuje na sobie ukaszenie stali.

Droga poprzez aleję prowadziła go wzdłuż nabrzeża. Był teraz blisko zachodniego krańca i zaczął rozglądać się w poszukiwaniu sklepu z żaglami, lub straganu z winem, który mógłby rozpoznać.

- Stój! Minęła chwila lub dwie, zanim Ray zorientował się, że rozkaz nie zabrzmiał w jego uszach, lecz zadźwięczał mu w głowie, a razem z nim pojawił się nakaz posłuszeństwa.

- Chodź! Tak, zatrzymał się. Całkowite zaskoczenie sprawiło, że stanął tak nagle, że mężczyzna, który wpadł na niego, odwrócił się z pytaniem, co sobie myśli i co robi, wymamrotanym w żargonie, który Ray z ledwością mógł zrozumieć.

- Chodź! znowu to spokojne stwierdzenie, którego słuchał, na wołanie od którego nie było innej ucieczki, jak tylko na nie odpowiedzieć.

Odwrócił się do rozgniewanego Atlanty. Nie było rady - musiał odpowiedzieć na to władcze wezwanie. Ale to, co go tu trzymało, nie pochodziło od tej woli. I podczas, kiedy był jej posłuszny wbrew wszystkim swoim chęciom, wiedział, że ta druga cofa się, osłabiona, jak gdyby te dwie siły nie mogły istnieć razem wewnątrz niego.

- Chodź!

Iść - dokąd? Jego świadomy umysł mógł tego nie wiedzieć, ale cokolwiek teraz miało kontrolę nad jego ciałem zdawało się mieć pewność. Szedł na wschód, ani trochę nie przyspieszając kroku, ale równo, jak czynił przedtem.

Doki były zatłoczone i Ray przepychał się między ludźmi, wozami i jucznymi zwierzętami. Minał tawernę, z której umknął ledwie chwilę temu, szedł dalej i dalej...

Wokół lśnił potok kolorów - tuniki mężczyzn, jasne derki i juki zwierząt - lecz Ray rozpoznał plamę czerwieni, która zdawała się jarzyć wewnętrznym ogniem. I czekała - na niego. Był uwięziony w klatce z ciała i kości, która poruszała się na rozkaz tego, co ożywiało również tamten czerwony filar... Nie, nie filar, lecz suknię - suknię w głębokim odcieniu krwi; i odzianego w nią kogoś, kto był czymś więcej niż zwykłym człowiekiem.

Strach mieszka w każdym człowieku od narodzin do chwili śmierci. Jest wiele małych lęków, a czasem takich, wcale niemałych, strachów, w których człowiek może czołgać się w prochu lub zrywać się z krzykiem do ucieczki. Strach może być podniętą do działania, wrogiem do walki, lub zasłoną, która zagłusza zdrowy rozsądek. Ray sądził, że poznał wiele razy co to strach, zanim szedł w jego stronę drogą na nabrzeżu Atlantydy. Ale takiego strachu

jak ten - nigdy!

- Chodź!

Szedł. Nie zostawiono mu żadnego wyboru, żadnej sztuczki wyuczonej w swoim własnym świecie, którą mógłby przywołać na pomoc. Był zahipnotyzowany przez tę aurę lęku, przyciągany do niej...

Byli teraz oddaleni tylko o kilka stóp, on i Czerwona Suknia, z nieprzeniknioną twarzą, na której nie było triumfu ani żądy walki. Cała wola kapłana była skoncentrowana na jednym celu: zatrzymać go i przyciągnąć, właśnie tak jak to teraz robił.

Ray wpatrywał się w szczupłą twarz z haczykowatym nosem i spiczastą brodą, która wydawała mu się znajoma. Wtedy kapłan podniósł rękę i wzrok Ray'a przyciągnęła przez chwilę świecąca wokół przegubu obręcz. Pasek od zegarka... Zegarek tutaj... Jego! Jego zegarek - który mu odebrano na statku alianckim na początku całej tej dziwnej przygody. A to - to była Czerwona Suknia z tamtego statku.

Posiadacz zegarka skinął ręką. Ból wybuchł w głowie Ray'a; i upadł pod ciosem wymierzonym przez wojownika, który zaszedł go od tyłu.

Ray leżał w ciemności, pod sobą miał twardą powierzchnię, tak mroźną, że kości go bolały od jej chłodu i wilgoci. Poruszył ręką w stronę pulsującego bólu w głowie; usłyszał chrobot metalu i poczuł szarpnięcie w przegubie powstrzymujące go przed dokończeniem ruchu.

- Budzisz się wreszcie, towarzyszu? Słowa dochodziły z ciemności. Wydawało się, że zabiera mu dużo czasu, aby ułożyć je w umyśle w jakiegokolwiek znaczenie.

- Zacząłem myśleć, że nie spoczywa tu nic prócz twej pustej łupiny, ty zaś z niej uciekłeś...

- Kto... Ktoś ty? Ray spojrzał w kierunku głosu, lecz ciemność była zbyt głęboka, aby mógł ujrzeć cokolwiek.

- Tak jak ty, więzień czekający na kaprys Chronosa. Oby jego kości zgniły, zanim jeszcze rozpadnie się jego ciało, a dusza będzie jęczeć na wietrze, na zawsze bezdomna!

- Jesteś Murianinem? Ray próbował podciągnąć się trochę do góry, po czym upadł z powrotem, gdyż ból w głowie przybrał na sile.

Jego współtowarzysz wydał dźwięk, który mógłby uchodzić za śmiech, gdyby nie to, że w tym miejscu nie można było się śmiać.

- Nie, jestem z urodzenia Atlantą, chociaż nieprzyjacielem Chronosa i jego wasali. A ty?

Ray zawahał się. Kim był? Mógłby powiedzieć, że szpiegiem.

- Przybyłem z Mu. Tyle mógł powiedzieć, nie wyjawiając więcej, niż już wiadano.

- Cóż to oznacza? - dopytywał się żywo współwięzień. Czy to... wojna?

- Jeszcze nie.

- Ale zapewne wkrótce? To dobra nowina dla kogoś, kto siedzi tu od pięciu lat...

- Tutaj? Prawie nie mógł w to uwierzyć. Ta nora - jak ktokolwiek mógłby tu mierzyć czas, czy nawet utrzymać się przy zdrowych zmysłach?

- Nie. W tej celi tylko krótki czas. Nie liczy się dni w ciemności, kiedy wokół jest tylko czerń nocy. Ale jedzenie przynieśli osiem razy. Jednak, zanim mnie tu przywlekli, byłem trzymany tam, gdzie w celach jest dzień, a czasem nawet słońce. Lecz nie wiem nic o tym, co dzieje się poza tymi ścianami.

- Atlantyda występuje przeciwko Mu.

- Zabrało im dostatecznie dużo czasu, żeby się na to odważyć. Od stu lat kapłani Ba-Ala chwyтали się wszelkich możliwych rodzajów magii, aby doprowadzić do takiego zakończenia. Pięć lat temu, kiedy próbowałem stąd odpłynąć, zbliżali się właśnie do szczytu zła. Ludzie szeptali o tym...

- Jak to się stało, że jeszcze żyjesz?

Znowu ten dźwięk, który był niemal śmiechem.

- Mimo, że Chronos chciałby uważać się za mężnego, nie ośmiela się postępować wbrew prastarym przepowiedniom. Jest krew, której nie może rozlać, zanim nie zostanie prawdziwym panem świata - do czego mu jeszcze daleko. I nie zabije prawego władcy Trydentu, jako że oświadczone dawno temu, że ściągnęłoby to na kraj gniew morza.

- Co przez to rozumiesz?

- Sądono, że linia prawowitych Posejdonów wygasła sto lat temu, ale po prawdzie tak się nie stało, gdyż ostatnia córka Posejdona, która wolała to niż przyjąć za małżonka człowieka wybranego przez kapłanów Ba-Ala, zbiegła w góry, pozwalając uważać się za zmarłą. Tam wymieniła bransolety z kapitanem swej gwardii, urodzonym w Słońcu, tak samo jak ona. A ja jestem w prostej linii potomkiem tego związku, o czym Chronos wie. Uwięził wszystkich Urodzonych w Słońcu na których mógł położyć łapska, zniszczył świątynię Płomienia, ale nie ośmiela się jeszcze dobyć na mnie noża - bo napisane jest w gwiazdach, co odczytać mogą nawet kapłani Cienia, że Atlantyda będzie istnieć tylko tak długo, jak prawowita krew. Trzyma mnie bezpiecznie w ręku, ale nie zabija.

- Ale trzymasz stronę Mu?

- Jak mogłoby być inaczej? - spytał wprost rozmówca. - Jestem z domu Słońca w Atlantydzie; syn nie może obrócić się przeciwko matce. Chronos nie pochodzi od

Urodzonych w Słońcu: to jeden z powodów, dla których darzy ich tak czarną i gorzką nienawiścią. Ale teraz powiem ci, druhu, niech słońce przyspieszy pęd statków Mu, bo nie mogę uwierzyć, że czekają, aż synowie Cienia zaatakują pierwi...

- Mam nadzieję, że nadpłyną - odpowiedział Ray. Ale pomyślał, co robi w środku tego sporu, który go nie dotyczy. Mógł mieć nadzieję na cud, który uratuje go od losu, jaki zgotowali mu Atlaneci, ale szaleństwem byłoby liczyć zbyt na tę nadzieję.

- A teraz, towarzyszu, porozmawiajmy o tobie. Przynieśli cię tutaj całkiem niedawno. Mówisz, że jesteś z Mu, lecz w świetle ich pochodni nie wyglądałeś na mego współziomka.

- Nazywam się Ray i jestem z Jałowych Ziemi.

- Jałowe Ziemie? Więc założono tam kolonię?

- Nie pochodzę z Mu, to jedynie Re Mu obdarzył mnie tym zaszczytem - mówił powoli Ray. Obdarzył go? Nie, uspił jego podejrzenia co do tego, że mógłby być bronią - lub czymkolwiek innym dla woli, która nim tu kierowała. Wola - Ray uświadomił sobie nagle, że odeszła. Albo została wypędzona siłą, której użyła Czerwona Suknia wciągając go ulegle w niewolę, lub też została wycofana ponieważ nie była dłużej użyteczna.

- Jałowe Ziemie - powtórzył więzień. - Czekaj - idą!

Ostry trzask - i w ścianie ukazał się prostokąt światła. Ray starał się zasłonić oczy, podczas, gdy do środka wkroczyło dwóch żołnierzy dzierżących szczapy dające żółte światło.

- Witajcie, psy Chronosa! krzyknął więzień. - Co u was słychać? Czy ci z Mu już na was spadli, czy też wciąż coś knujecie z pomocą nikczemnej magii Cienia w nadziei, że wzniesiecie nowe mury przeciwko muriańskiej stali?

Ray obrócił głowę. Do ściany obok niego przykuty był młody mężczyzna, wychudzony, którego wesołości w głosie kłamały głębokie linie wokół szlachetnie wykrojonych ust. Srebro oszraniało jego długie, czarne włosy.

Jeden z wojowników zamruczał coś, ustawiając na posadzce naczynie z wodą i kilka kęsów ciemnego chleba. Jego kompani włożyli jedną z palących się szczap w żelazny pierścień w ścianie, po czym wyszli razem.

- Ciekawym, co to oznacza? - Atlancki więzień wskazał na światło. - Planują jakąś sztuczkę. W tym więzieniu zaczyna się z czasem podejrzewać kamienie w ścianach. Chronos niczego nie czyni bez przyczyny, nauczył się wiele od Magosa.

Sięgnął po najbliższy kawałek chleba i podał go Ray'owi

- Lepiej jedz, póki możesz druhu. Chronos lubuje się w eksperymentach i może życzyć sobie, aby sprawdzić, jak długo możemy żyć bez jednej okruszyny. Przedstawiłeś się - pozwól mi uczynić to samo: Jestem Uranos.

- Zjedz choć połowę - radził Uranos Ray'owi przeżuwającemu niesmaczne jadlo. - Lepiej jest mieć mniej dziś, niż nic nie mieć jutro. Chronos knuje w swej bezkształtnej czaszce jakiś plan, który nie wróży nam nic dobrego. Mnie on się lęka, nie ze względu na to co ja, więzień, mogę uczynić, ale ponieważ jestem tym, kim jestem. I ty musisz także w jakiś sposób mu zagrażać, inaczej nie trzymałby nas razem. Obietnica dana przez gwiazdy może mnie ocalić...

- Spotkałem pewnego człowieka, kapitana piratów, który przysięgał, że może zdobyć to miasto, jeśli poprowadzi odpowiednich ludzi. Pomimo wszystkich tych murów i kanałów. - Ray mówił wolno, nie wiedząc, dlaczego przyszło mu to teraz do głowy.

Uranos zmarszczył brwi. - Łatwo można by tego dokonać. Wewnątrz murów Chronosa kryją się tajemnice, których strzeże tak solidnie, że są sekretne nawet dla niego.

- Co masz na myśli?

- Komnaty i podziemne przejścia, z których przez setki lat stopa ludzka nie starła kurzu. Słyszałem o nich opowieści, pewnie słyszał też i twój kapitan, lub też wie nawet więcej niż opowieści. Gdyby znalazł taką drogę, serce miasta leżałoby przed nim otworem. Ale ten kapitan służy Cieniowi, czyż nie tak?

- Już nie, przynajmniej taką mam nadzieję. Żeglował ze zbiegłymi więźniami muriańskimi na pokładzie...

- W takim razie - uśmiechnął się Uranos - Być może w przyszłości Chronos mieć będzie nieproszonych gości. Gdybym tylko mógł spoglądać na jego twarz, w dniu kiedy to się stanie! Myślę, że tej nocy nie zaśnie spokojnie...

- Dlaczego?

- Podejrzewam, że nas podsłuchują, a sprawozdanie z naszych słów zostanie szybko zanesione Chronosowi!

- Ktoś nas słucha? - Ray przyjrzał się ścianom.

- Lata podobnej gościnności wyostrzyły mi słuch. Nie pierwszy raz się to zdarza. Teraz nastąpi potężna bieganina, polowanie na podziemne drogi. Szepnij słówko w ucho tchórza, a z miejsca poczuje nóż kłujący go w gardło. Ale tam są setki przejść, przeważnie od dawna zamkniętych, i nigdy nie znajdzie ich wszystkich. Tak więc będzie się pocił i lękał...

- A co, jeśli znajdzie właściwe przejście i ustawi tam czaty? - Ray'owi zdało się, że jego towarzysz niedoli jest zbyt wielkim optymistą.

- Może tak być, jeżeli fortuna nie dopisze, ale myślę jednak, że tak się nie stanie. Jaki mąż może zmienić linie wypisane na jego czole w dniu narodzin, lub przyszłość, jaką przepowiadają gwiazdy? Wierzę, że będę żył, aby tu panować...

Na przekór samemu sobie Ray był poruszony pewnością siebie Atlanty. Czy ci ludzie naprawdę mogli widzieć przyszłość, lub jej wycinek? Co powiedziała kiedyś Lady Ayna - że oni widzą przyszłość możliwą, ale przez pewne własne decyzje mogą ją zmieniać.

- Jak możesz być tak pewien?

Uranos spojrział na niego i teraz jego wzrok zastygł w twarde, taksujące spojrzenie.

- Jeśli przeszedłeś Pierwsze Wtajemniczenia, co w twoim wieku musiałeś uczynić, jak możesz o to pytać? Co z ciebie za człowiek? Z Jałowych Ziem, powiadasz, Murianin z łaski Re Mu - lecz nie kolonista. Kim jesteś?

- Człowiekiem nie z tego czasu...

- To znaczy?

- Urodziłem się w świecie dalekiej przyszłości. Przybyłem tutaj poprzez czas, jak i dlaczego - nie wiem.

Uranos milczał przez długą chwilę. Jeśli opowiedziano by mu taką samą historię, zastanawiał się Ray, ciekawe czy by w nią uwierzył?

Tak więc - czy wtedy Naacal'owie także wysłali wezwania? I na jedno z nich odpowiedziałeś swoim przybyciem?

- Nie, znalazłem się tutaj przez przypadek. W kilku zdaniach opowiedział całą historię.

- A jeśli nie będziesz mógł nigdy powrócić?

- Tego nie wiem. Nie wiem nawet, czy mam jakąś przyszłość dłuższą, niż ta godzina lub ten dzień. Sądząc po naszym obecnym położeniu, zapewne nie.

Uranos potrząsnął głową. - Dobrze jest być gotowym na wypadek złego, ale jeszcze nie odrzucaj przyszłości, mój przyjacielu. Zapomnijmy się trochę i dajmy tym, którzy słuchają coś, co warto usłyszeć. Opowiedz mi o swoim świecie - nie, pozwól mi najpierw pokazać tobie mój...

I opowiedział o swych chłopięcych latach w górskich dolinach i o tym, jak na równinach polował na dzikie konie.

- Przyjacielu, nigdzie na świecie nie znajdziesz nic równego pięknnością koniowi kończącemu wyścig, z długą grzywą na wietrze, z kopytami stukającymi jak wojenne werble. Żeglarze rozprawiają o okrętach, myśliwi o osaczonych łosiach - lecz moje serce wypełniają konie. I czyż nie dosiadałem Płomienistego pięć razy, aby zwyciężyć? - przez jego głos przebijała żarliwa tęsknota.

- Powiedz mi... - zaczął po chwili, po czym wykonał gwałtowny gest w kierunku drzwi. - Znowu nadchodzą - powiedział półszepem.

I wydawało się Ray'owi, że coś na kształt diabelskiego cienia przyszło najpierw,

tłumiąc światło pochodni wiszącej obok nich.

ROZDZIAŁ 15

Tym razem strażnikom towarzyszył jeden z Czerwonych Sukni.

- Witaj, bracie Cienia - powiedział do niego Uranos, gdy strażnicy odłączyli ich łańcuchy od pierścieni w ścianie. - Dlaczego sługa Ba-Al'a przychodzi nas niepokoić?

Kapłan spoglądał to na Ray'a, to na Uranosa, a potem zatrzymał swój wzrok na Urodzonym w Słońcu. Amerykanin pomyślał, że nigdy nie widział tak zimnego i taksującego spojrzenia. Tamten nie odpowiedział Uranosowi, ale zwrócił się do strażnika.

- Niech idą przodem.

Stanie na nogach sprawiało im trudność, krótkie łańcuchy spinały ich tak ciasno, że teraz mięśnie były sztywne i skurczone. Ale pchnięcia strażników pomogły wygramolić się im na wąski korytarz.

- Uważają nas za potężnych herosów - spostrzegł Uranos. - Przysłali ośmiu żołnierzy i kapłana, by nas stąd zabrać!

Próbował sprowokować Atlantów, lecz nikt z ich eskorty nie zareagował na te uszczypliwe uwagi. Zamiast tego żołnierze otoczyli ich szczelniej, popędzając by nadażali za idącym szybko kapłanem. Szli w górę i dół ciemnymi korytarzami, a Ray pomyślał, że były one podobne do gigantycznej pajęczej sieci, z Chronosem pośrodku, niczym opasłym insektem. Weszli do szerszej, lepiej oświetlonej sali i zatrzymali się przed drzwiami z zasłoną nie z materiału, lecz z metalu. Ich strażnicy stąpali niespokojnie, skupiając uwagę na zasłonie. Ray'owi wydało się, że nie byli szczęśliwi, iż przysłano ich tutaj. Kapłan umieścił swą prawą dłoń na zasłonie, a ta otworzyła się niczym mechanizm z fotokomórką. Z nieukrywaną ulgą żołnierz najbliższy Ray'owi popchnął go za Czerwoną Suknię a obok to samo uczyniono z Uranos'em. Dwaj inni w Czerwonych Sukniach już czekali i chwycili za łańcuchy w sposób wskazujący na długą praktykę. Ray nie miał żadnych szans na sprzeciw. Jego ramiona zostały spętane z tyłu.

- Naprzód - rozkazał trzeci z nich - ten za którym tutaj przyszli.

Przeszli przez pusty pokój, a kolejnymi drzwiami dostali się do komnaty o ścianach w rdzawobrazowym kolorze przypominającym zaschłą krew. Znajdowało się tam jedno krzesło wyrzeźbione w jednolitym bloku czarnego kamienia, które nie wyglądało na zbyt wygodne. Jednak siedzący na nim osobnik wydawał się być tak zadowolony jak Chronos wylegujący się na poduszkach. Magos był zamyślony. W spojrzeniu jego widać było zadowolenie i wyczekiwanie, jak u sępa siedzącego na dziedzińcu rzeźni.

Uśmiechnął się, jeśli tak można nazwać grymas jego chudych warg, pochylając się lekko, by lepiej usłyszeć jakąś opowieść, którą szeptał mu do ucha jeden z kapłanów. Gdy jego oczy spoczęły na więźniach, jego usta przybrały zły wyraz.

- Tak, mój panie Urodzony w Słońcu, Posejdonie, który nie masz nadziei na przeżycie, przyszedłeś tutaj w końcu - powiedział do Uranos'a. - Czy masz jeszcze w pamięci nasze spotkanie, gdy mówiłem ci o woli Mrocznego Władcy, a ty nie zechciałeś słuchać? Pozbawiłeś się wtedy przyszłości Uranosie, czy żałujesz?

Uranos podniósł głowę wyżej. - Magosie, nazywasz się synem Ba-Al'a na ziemi. Ciekawym, czy Cień się na to zgadza? Mogę jednak uwierzyć, że starasz się grać rolę tak dobrze, jak coś urodzonego z krwi i kości, choć takie zło nie przyszłoby do głowy nikomu o zdrowych zmysłach. Jeśli zamierzasz mnie prosić znowu...

- Prosić ciebie. - Ciebie! - najwyższy kapłan roześmiał się wydobywając chłodny, słaby dźwięk, jedyny jaki mógł wyartykułować z kościstych szczęk swojej czaszki.

- Magos nigdy nie prosi po raz drugi. Ty zresztą jesteś teraz niczym. Tym razem posłużysz do czegoś innego.

- Będzie tak, jak zdecyduje Słońce. Przyszłość leży w świątyni...

- W świątyni Ba-Al'a.

- O nie. W tym mieście ciągle stoi jeszcze inna świątynia. Uśmiech Magos'a zniknął. Jego oczy rozpały się z mocą, jakiej Ray nigdy wcześniej nie spotkał.

- Płomień niedługo zgaśnie, a ty spłacisz długi.

- A ja ci powiadam Magosie, że w końcu ty będziesz musiał zapłacić i będzie to cena, jakiej świat nigdy nie widział.

W głosie Uranos'a brzmiała taka pewność, że można było uwierzyć, że zna przyszłość na tyle dobrze, by nie grozić, a prowokować.

- Ośmielasz się tak mówić, ty, który jesteś pluskwą, na której może postawić swój sandał sługa Ba-Al'a i nawet nie zauważy, że coś zgniótł. Ty odważasz się tak mówić do mnie

- do mnie, władcy świata pod Cieniem?

- Czy Chronos słyszał te słowa, Magosie? On uważa samego siebie za władcę świata.

Uśmiech powrócił na sępią twarz kapłana. - Chronos? Kim-czym jest Chronos? Człowiek używa narzędzi do pewnych celów. Raz użyte takie narzędzie może być wyrzucone, nawet zniszczone. Gdy się zdecyduję, rozbiję Chronosa w drobny pył. Nie myśl o powoływaniu się na niego.

Teraz roześmiał się Uranos. - Powtarzam ci raz jeszcze Magosie, Chronos może nie

zaakceptować tych słów. Myślę, że jeśli on je usłyszy, to ktoś może cię odwiedzić nocą w sypialni, ktoś dzierzący miecz i wiedzący jak go bezgłośnie użyć.

Ale Magos uśmiechał się dalej. - To nie ma znaczenia, a z pewnością to nie twój problem.

- Dlaczego więc posłałeś po nas, synu otchłani?

- Jak wszyscy ludzie potrzebuję czasami rozrywki Uranosie. Bawią mnie gry losowe. Mój przyjaciel Conth - wskazał na kapłana, który szeptał do niego - założył się ze mną o interesujący pierścień pochodzący spoza Uighur, pierścień, o którym mówi się, że daje jego posiadaczowi pewne przedziwne moce. Założył się, że nie mogę utrzymać przez siedem dni przy życiu człowieka, który zostanie poddany próbom w naszych pracowniach. A ja jestem dumny z umiejętności moich ludzi i pragnę posiadać pierścień, o tak intrygującej historii. Zastanawiałem się, który z więzionych w tych murach ludzi mógłby być oszczędzony i wezwałem ciebie.

Uranos być może nie był załamany, ale na pewno wstrząśnięty na tyle by krzyknąć: - Diabeł!

- Tak samo nazywało mnie wielu z tych, którzy przeszli te drzwi - najwyższy kapłan wskazał na otwór w odległym końcu sali. - A później błogosławili mnie, gdy darowałem im śmierć - dużo, dużo później. Jesteś silny Uranosie, ten drugi wygląda podobnie. Myślę więc, że powinienem wygrać zakład.

Podniósł się, a zimne pazury kapłana stojącego za Ray'em zacisnęły się na jego ramionach popychając go naprzód. Magos zszedł dwa stopnie i zawrócił.

- Jestem prawdziwym synem Cienia. Przyszło mi do głowy, że Ba-Al powinien mieć coś do powiedzenia w tej sprawie. Tak więc będziecie ciągnąć losy. Ten, któremu mój władca przeznaczy czarny kamień, weźmie udział w zakładzie, ten, który otrzyma biały - poczeka. Tak będzie dobrze.

Pozostali kapłani zawtórowali jego śmiechowi. Ray zobaczył, że Conth przyniósł puchar i ostentacyjnie wrzucił do niego dwa kamienie, biały i czarny. Wtedy Magos podniósł dłoń raz jeszcze.

- Wrzuć dwa białe. Jeśli wyciągną je obydwaj, będę wiedział że Ba-Al życzy sobie ich dla siebie. Wola Cienia jest naszym największym pragnieniem. Conth będzie ciągnął za Uranosa, a Path-tan za tego obcego. Ciągnij, Conth.

Magos wziął puchar i wzniosł go powyżej poziomu oczu niższego kapłana. Ręka Contha ruszyła, a w otwartej dłoni pokazał się biały kamień.

Path-tan podszedł i zanurzył palce w pucharze. Potem rzucił kamień, który potoczył

się i zatrzymał u stóp Ray'a. Był biały.

- Nasz władca przemówił - przerwał ciszę Magos. - Niech się stanie jego wola.

Pozostali kapłani powtórzyli jego słowa. A Ray zastanawiał się, czy była to tylko sztuczka. Dlaczego Magos chciał straszyć, a potem odkładać decyzję? A może rzeczywiście los wybrał kamienie, a Magos był wystarczająco przesądny, by zaryzykować zmianę decyzji wierząc, że Ba-Al kierował palcami kapłanów?

- Uranosie! - Najwyższy kapłan podszedł krok bliżej.

- Czego oczekujesz - ołtarza i noża czy... - przerwał

- uścisku Miłującego?

- Jakie znaczenie ma sposób, w który wojownik Urodzony w Słońcu staje przed śmiercią, jeśli podlega on ciągle Płomieniowi? Ciało umiera ale nie to co jest istotą człowieka. A przez śmierć, jak dobrze wiecie, rzeczywiście pokonam tego, który podążał w dół ścieżką Cienia. Ołtarz diabła, o którym mówisz - „Miłujący”.

- Diabła o którym mówię...? - Magos odrzekł. - Nie powinieneś mówić o rzeczach, które nie do końca rozumiesz, Uranosie. Będzie to więc Miłujący i będziesz wzywał Płomień w tę godzinę, a on nie przybędzie na twoje wezwanie.

Wtedy będziesz błagał o śmierć - ale ona nadejdzie z własnej woli i o właściwym czasie. A dla ciebie to samo! Po raz pierwszy odkąd weszli, wysoki kapłan spojrzał wprost na Ray'a. - Zabierzcie ich do świątyni i niech będą gotowi, gdy wybije godzina.

Ponownie przemierzali mroczne korytarze, niektóre tak ciemne jak bezgwiezdna noc. Ray zauważył w pewnym momencie małe strugi oleistej substancji na ścianach i muliste ślady zostawione przez bezimiennych mieszkańców tych podziemnych dróg.

Ruszyli schodami w górę, minęli dwa kolejne piętra i wyszli na korytarz o czerwonych ścianach z umieszczonymi wzdłuż niego w regularnych odstępach pochodniami, by ostatecznie znaleźć się w sali ściennych malowideł, którą Ray widział w czasie tamtej podróży we śnie.

- Jesteśmy w świątyni Ba-Al'a. - Uranos przemówił po raz pierwszy, odkąd rozstali się z Magos'em. - Widzisz, bracie, jak Władca Cienia ukrywa swe odrażające rozrywki przed oczami swych wyznawców?

Ray spojrzał na obrzydliwe malowidła i odwrócił wzrok.

- Cisza! - Jeden z eskortujących wymierzył Uranosowi tęgi policzek. - Czas na gadanie, zawodzenie i wzywanie od dawna gasnącego Płomienia nadejdzie. Mówią, że Urodzony w Słońcu nie wie, co to błagać o miłosierdzie. Ale Urodzony w Słońcu nie spotkał jeszcze Miłującego. Zapewniam, że będziecie skowyczeć przynajmniej tak głośno jak ten

ostatni Murianin, który dostał się w objęcia Tego, Który Pełza!

Umieszczono ich w małej, bocznej komnacie, a gdy ich łańcuchy zostały przymocowane do pierścieni w ścianach, kapłani odeszli.

- Jaki cel miał Magos? - zapytał Ray, gdy zostali sami. - Czy bawił się tymi kamieniami? Czy też rzeczywiście wierzy, że to Ba-Al dokonał wyboru?

- Kto wie? - odrzekł jego towarzysz. - Jeżeli się bawił, to nie było to wymierzone w nas, tak myślę. Ten Miłujący..., żałuję, że nie wiem o nim nic więcej.

Ray nie mógł się z tym pogodzić. Oparł głowę o ścianę, gdy jego dawne problemy wróciły z całą mocą. Dlaczego ta siła zatrzymała go tutaj, w sercu wrogiego kraju? Co było tym zadaniem, którego nie zrealizował? Pustka, która go wypełniała, odkąd Czerwona Suknia wezwał go na nabrzeżu, gdzieś zniknęła. Odeszła sama, czy też usunął ją swą mocą atlancki kapłan?

Dlaczego był tutaj?

Kamienie za jego plecami były zimne; był zagubiony. Tym razem nie w lesie z gigantycznymi drzewami, lecz w miejscu, którego nie mógł opisać, w którym nie jego ciało, ale inna część osoby błąkała się bez przyczyny poza jego kontrolą. Zagubiony; nigdy przedtem nie przyszło mu to do głowy, że ktoś lub coś może być tak zagubione!

Nagle... to czym się stał... ten stan bliski nicości został pochwycony i skierowany w inną stronę - i to przez tamtą siłę!

Ray był znowu w swoim ciele, czuł mrowienie i ciepło pod skórą, ciepło podobne temu, którego już raz doświadczył od tamtej iskrzącej się wody w muriańskiej twierdzy. Poczul, że tamta wola była znowu silna i stanowcza, oczekująca, choć nie wiedział na co.

- Bracie!

Ray odwrócił głowę i spojrzał na współtowarzysza. Uranos zbliżył się na tyle, na ile pozwalały łańcuchy i wyciągniętą ręką próbował go dotknąć. Na jego twarzy widać było zdziwienie i zaniepokojenie.

- Jak się czujesz? - zapytał Ray'a, gdy ich spojrzenia się spotkały.

- Teraz dobrze - odpowiedział Amerykanin i wiedział, że tak właśnie było. Z siłą woli przysła pewność siebie. Nie ufać temu, zalecała jednak ostrożność.

- To... to było tak, jakbyś opuścił własne ciało - wyszeptał Uranos.

- Ale wróciłem - powiedział Ray. - A także... zawahał się.

- Tak...? - zapytał Uranos.

- Myślę... lecz posłuchaj! - Jego głowa ciągle spoczywała na ścianie i wydało mu się, że przez te kamienie doszedł go jakiś dźwięk, bardzo słaby i odległy. Atlanta obrócił głowę i

również przyłożył ucho do ściany.

- Jak morskie fale - powiedział po długiej chwili.

- Co to jest?

Nie mieli jednak zbyt dużo czasu na zastanowienie się. Kapłani powrócili i odczepili łańcuchy. Gdy weszli do wielkiej sali świątyni, ten dźwięk był czystszy i ostrzejszy, jakby jakaś akustyczna właściwość budowli wychwytywała go i wzmacniała. Teraz był to już łoskot. Uranos obracał głowę nasłuchując.

To... to jest bitwa! - wykrzyknął nagle.

- Mu! - Ale jak? - Ray poddał w wątpliwość swą własną odpowiedź.

Z pewnością Ojczyzna nie miała wystarczająco dużo czasu, by zgromadzić armię i uderzyć w samo serce wroga. Ale czy mógł być tego pewien?

- To całkiem możliwe - Uranos spojrział teraz na kapłana trzymającego ich kajdany. - Patrz dobrze na skrzydła Cienia, bracie otchłani. Kiedy Płomień tańczy, ciemności przegrywają. I kiedy Ojczyzna nadejdzie oczyścić ziemię, nic nie zostanie, by chronić twego boga Mrocznego.

Kapłan uderzył go. - Ba-Al'a nie zmiecie się jak pióra na wietrze. Miłujący sprawi, że zapomnisz o wszystkim - tylko nie o sobie. I to już wkrótce!

Uranos plunął krwią z przeciętej wargi. - Martw się o siebie. Teraz gromadzą się duchy pomordowanych. Czy myślisz, że nie poprowadzą tych, którzy ich pomszczą, domagając się na waszych ulicach końca wladania Ba-Al'a? Zapewniam cię, że Miasto Pięciu Murów zniknie z powierzchni ziemi i nawet jego imię zostanie zapomniane przez ludzkość. Ba-Al musi wrócić do otchłani, z której wypełznął, a ci którzy mu służą, staną przed światłem, którego lękają się bardziej niż ostrza miecza. To co przywołaliście z otchłani, by było waszym sługą, stanie się waszym panem, zanim dacie radę odesłać to z powrotem tam, gdzie jego miejsce.

To co mówił było wypowiedane nie z groźbą, ale z taką pewnością, że mógłby być prorokiem, który bezwarunkowo wierzy, że jego wizja przyszłości wkrótce się spełni.

Kapłan ponownie podniósł rękę, by go uderzyć, jednak tego nie uczynił. Zgiełk trochę ucichł, a oni usłyszeli łomot, jakby ktoś biegł przez komnaty. Zza rzędu kolumn wyszedł w pośpiechu kapłan w szyszaku z brązu narzuconym na swą suknię i z hełmem w ręce.

- Murianie - wysapał. - Skierowali na naszą flotę dwie płonące galery i pozatapiali nam statki wzdłuż wejścia do portu. Inne oddziały wylądowały na północy, a pasterze z równin zbuntowali się i przyłączyli do nich. Magos rozkazuje, byś zaprowadził tę padlinę do piramidy nad murami, by mógł pokazać im, jakie siły my możemy wysłać, by ich pokonać!

To... - to było właśnie to, po co został wysłany, podpowiedziała mu tamta wola. To była ta część bitwy, w której miał być bronią.

Ten pierwszy błysk świadomości zniknął, gdy kapłani przynaglili go z Uranosem do marszu. Mężczyźni ubrani po części jak kapłani, a po części jak wojskowi gońcy okrążyli ich i wyprowadzili ze świątyni.

Teraz słyszeli bitewny dźwięk lepiej, widzieli blask ognia nad murami i kanałami, dochodzący od strony doków. W mieście wyczuwało się napięcie, ulice były zatłoczone żołnierzami do tego stopnia, że musieli zwolnić. Widać było ogólne zaskoczenie. Nie spodziewali się tego uderzenia, nie teraz i nie tutaj. Jak udało się muriańskim żołnierzom przybyć tak szybko i dyskretnie, że zastali swych wrogów w stanie zupełnej nieświadomości - zamykając Aliantów w ich mieście?

Musiał być już poranek, ale niebo było szare od ciemniejących chmur. To one właśnie zwróciły uwagę jednego ze strażników.

- Popatrzcie sobie. Wasze Słońce jest zasłonięte, więc Ba-Al rozciągnął nad nami swe ochronne zasłony!

Popchnięto Uranosa do Ray'a i Amerykanin zauważył, że tamten oddycha głęboko, wciągając łapczywie powietrze, mimo że było mocno zanieczyszczone. Przypomniał sobie wtedy, że jego więzienny przyjaciel był jeńcem od bardzo dawna i dla niego to powietrze było świeże i smakowało wolnością.

- Prowadzą nas do zachodniego muru, spójrz, tam właśnie jest piramida - zauważył Uranos.

Budowla wzniesiona była z czerwonych i czarnych bloków, ułożonych na przemian; była bardzo ciemna pod posępny, zachmurzonym niebem. Jej zwieńczenie stanowiła kwadratowa platforma znajdująca się jakieś dziesięć stóp wyżej, niż sąsiadujący z nią mur. Tam właśnie stała, oczekując ich, mała grupa ludzi.

Schody wiodące w górę miały małe stopnie i były bardzo strome. Ray potknął się dwa razy, ostatecznie jednak dotarł na górę, zaciągnięty przez strażników.

Był tam Magos. A obok niego, ciągle w złotej, dworskiej szacie bez hełmu i zbroi stał Chronos. Ten ostatni nawet nie spojrzał, gdy zameldowano przyprowadzenie więźniów. Obgryzał paznokcie swych obrośniętych palców, spoglądając w dal, nie na dym i ogień nad portem, ale na odległe, tak nisko leżące chmury. Jakiś oficer wbiegł po schodach z ogromną prędkością.

- O, Straszliwy - zameldował - ci, którzy wdarli się do miasta ze zniszczonej świątyni, zostali wreszcie wyparci. - Chronos obrócił głowę. W kącikach jego mięsistych warg

pojawiły się białe plamy. Jego dzikie oczy wydały się nie patrzeć na zewnątrz, ale raczej do wewnątrz. Ray zrozumiał, że ten rzekomy władca świata był przerażony.

- Zabijajcie! Zabijajcie! - wykrzyknął. - Niech poleje się krew. Niech nawet jeden nie ujdzie cało! I nie wracaj bez ich głów - wszystkich głów!

Wychodząc, oficer przeszedł obok Ray'a. Amerykanin dostrzegł, że jego twarz była wyczerpana i wynędzniała, jakby wiadomość, którą przyniósł była zła, a nie dobra i jakby informował o porażce, a nie o częściowym zwycięstwie.

Następne polecenie wydał Magos. Chronos zaś raz jeszcze spojrzął na chmury, z których dobiegał dźwięk podobny do odległego, nieprzyjemnego szmeru fal, jaki słyszał ze świątyni, który jednak nie był głosem szalejącego morza, lecz wrzawą dużej bitwy.

- Przywiążcie ich do kolumn i wychłostajcie szybko

- rozkazał swoim żołnierzom Magos.

Platforma, na której stali, otoczona była kolumnami. Były mocne, dobrze osadzone i kilka stóp wyższe niż Ray i Uranos, którzy zostali do nich przywiązani. Uranos pochylił się ku Ray'owi, gdy Magos podszedł, by dokładnie sprawdzić więzy. Potem najwyższy kapłan zwrócił się do Chronosa.

- Wszystko gotowe, Straszliwy. Mamy zaczynać?

Jego ton był na pozór unizony, ale złośliwość kryła się w jego ustach, gdy zwracał się do Posejdon. Z widoczną niechęcią Chronos oderwał wzrok od pola bitwy.

Jego palce - krwawiące w miejscach, gdzie wygryzł skórki przy paznokciach - przyciśnięte były do drżącego brzucha, jakby przeszywał go jakiś wewnętrzny ból. Lecz tak naprawdę zbierał energię, by zaśmiać się Uranosowi w twarz.

- Ha, ha - prawdziwa krew ginie - Atlantyda upada

- czyż nie to, właśnie powtarzali przez te wszystkie lata? Ci, którzy tak twierdzili, nie znali Miłującego - spojrzął nagle na Ray'a.

- Sydyk z Uighur... tylko, czy aż? - na to pytanie znajdzie odpowiedź Magos. Jeśli jesteś tym, którego Naacal'owie wezwali z innego świata, to nadszedł czas, byśmy zobaczyli czyje wołanie może sprowadzić potężniejsze moce. A myślę, że jesteś słabszy - skoro Phedor zdołał cię pojmać za pomocą magii, używając do tego celu przedmiotu, który kiedyś dotykał twego ciała. Takie sztuczki mają moc nad słabszymi i skoro im uległeś, dowiodłeś, że nie jesteś jednym z Tych-Spoza, jednym z tych okropnych, z którymi my mamy do czynienia. Będziesz więc pokarmem dla potężniejszego, co pomoże nam sprowadzić więcej takich jak on.

Część tego, co mówił, miało sens, ale nie wszystko. Było oczywiste, że Atlanci

wiedzieli lub domyślali się, skąd przybył, myśleli, że może być ośrodkiem jakiejś nieznannej siły - ale czy to była prawda? Ray sprawdził, czyjego wola w nim jest. Ciągłe tam była, ale nie odpowiadała na jego wezwanie.

- Czy tamci będą widzieć? - Chronos wskazał ręką.

- Czy dokładnie zobaczą?

- Tak, mają daleko widzące szkła, które będą mogli za chwilę na nas przetestować.

- Więc zaczynaj! Na co czekasz? A może coś nam grozi?

- Posejdon cofnął się o dwa kroki, stając na krawędzi schodów.

- Nigdy O, Straszliwy. Miłujący nie zwróci się przeciwko swym panom. Przygotujcie ich.

Strażnicy byli już przy Ray'u, rozerwali jego zniszczoną tunikę i zsunęli ją w dół, obnażając go do pasa. Jeden z nich wydobyl sztylet i naciął skórę na piersi Ray'a dwa razy, pozostawiając ranę w kształcie krzyża, z której popłynęła krew. Nacięcia nie były groźne i Ray nie mógł zrozumieć, w jakim celu zostały wykonane. Zauważył, że Uranosa naznaczono w podobny sposób.

- Możecie odejść. - Gdy tylko Magos wydał to pozwolenie, kapłańskie straże zniknęły z prędkością, z jaką ludzie opuszczają przeklęte miejsca. Również Chronos wycofał się na krawędź platformy. Było jasne, że mimo wszystkich zapewnień Magosa chciał zbliżyć się bardziej do tej ostatecznej broni.

Magos trzymał brązową kulę o tak nierównych kształtach, że sprawiała wrażenie ulepionej przed chwilą z mułu rzecznego. Do niej wrzucił kawałki żarzącego się węgla drzewnego, wyjęte z metalowego kosza. Całość umieścił w równej odległości od kolumn, do których przywiązani byli więźniowie. Dmuchając rozniecił ogień i cisnął weń garść czarnego proszku. Buchnął brązowy, kłębiący się dym, a w powietrzu uniósł się taki odór, że Ray zaczął kasłać. Dym podrażnił mu oczy i po policzkach popłynęły łzy. Wydawało się, że wszystkie nieczystości z całego miasta zostały zredukowane do tej garści pyłu i wrzucone w ogień.

Dym zniknął, ale ten przyprawiający o mdłości smród ciągle wisiał w powietrzu. Chronos zszedł jeszcze stopień niżej po schodach. Magos jednak uśmiechał się, a Ray pomyślał, że przez resztę swego życia -jeśli ma jeszcze jakieś życie przed sobą - będzie pamiętał ten uśmiech.

- Czyżby twój zły duch nie odpowiedział na twoje wezwanie? - zapytał Uranos. - Narobiłeś dymu i smrodu, a co jeszcze nastąpi, Magosie?

- Popatrz przed siebie, Uranosie. Nawet teraz Ten Który Pełza nadchodzi, by zażądać

naszych ofiar, a może stać się wystarczająco silny, by otworzyć szeroko wrota dla wszystkich z jego rodu! - odpowiedział kapłan.

Ray spojrział na kamień, który wskazywał kapłan. Znajdował się tam jakiś dziwnie wyglądający cień. I rósł! Na jego oczach nabierał kształtu, jakby wyciągając substancje z materii, na której spoczywał. Zwiększał swoje rozmiary, a jednocześnie zyskiwał też cielesność. I nie był już cieniem.

ROZDZIAŁ 16

Dla Ray'a cały świat zamknął się w tym cieniu, który nie był już cieniem. Jego opasłe boki nadeły się jeszcze bardziej i z tego ciała wyłoniła się głowa, ślepa i bez śladu oczu. Zaczęła się poruszać do przodu i do tyłu jakby prowadzona przez jakiś znak lub dźwięk. Nagle wyrosły na niej, przełamując jej robakowaty kształt, zielono-czarne rogi.

Stworzenie nie miało nóg, a na dole znajdowała się otwarta paszcza, która kurczyła się i rozwierała rytmicznie, falując i grubiejac ciągle zwiększała swe rozmiary; to coś miało też dwie macki z rzędami otworów i ssawek. Była czarna choć tu i ówdzie znajdowały się wstrętne plamy o kolorze matowej zieleni i to z nich właśnie roznosił się ten przyprawiający człowieka o mdłości odór. Gigantyczny ślimak bez muszli; nagi ślimak - nasuwały się Ray'owi porównania, lecz żadne z nich nie oddawało rzeczywistości.

Magos podszedł bliżej, a odgłos lub wibracja jego kroków sprawiły, że głowa potwora nagle się odwróciła. Wyprostował długą szyję a rogi żywo się poruszały.

- Szukaj swej ofiary mieszkańcu Zewnętrznych Ciemności - rozkazał kapłan. - Krew płynie, by cię prowadzić - szukaj swej ofiary!

To coś podniosło wysoko głowę. Ray próbował zamknąć oczy, nie mógł jednak tego uczynić. Jeszcze chwila i rany na jego lub Uranosa ciele zwrócą uwagę tego monstrum.

To zaś cały czas poruszało nierównomiernie rogami jakby sprawdzając przestrzeń dookoła. Potem nagle zniżyło głowę i zgarbiło grzbiet niczym ślimak w ruchu i łagodnie jak strumień wody sunęło ku więzniom.

Ray zorientował się, że wybór został już dokonany. Ogromny strach sparaliżował go na moment, ponieważ to on miał być ofiarą. Po przebyciu niewielkiej odległości potwór skulił się. Jego głowa poruszająca ciągle rogami wzniosła się, by poczuć ten zapach raz jeszcze. Wydobywający się z niego smród był jakimś gazem. Ray pragnął, by potwór wstał i skończył to natychmiast. Ten zaś zwlekał jakby rozkoszując się - niczym na wytwornej uczcie - obrzydzeniem i strachem swych ofiar, z rozmysłem przedłużając posuwanie się i cmokając w swym okrucieństwie.

Potem się przybliżył. I teraz nie było już odwrotu. Nie było - a może jednak? Co nim teraz kierowało - Ray Osborne czy też wola, która go tutaj przywiodła? Załóżmy... - nie wiedział, co zakładać poza tym, że nagle gwałtownie uchwycił się w sobie czegoś, co sprawiało, że mógł podjąć walkę. A uchwycił się tego, niczym człowiek zapadający się w ruchomym piasku chwyta się każdego zwisającego nad nim korzenia.

Czerń - czerń - pełzający stwór Ciemności - mrok. Co zwycięża ciemność? Biel - światło! Biel murów świątyni Mu; biel szat Naacal'ów; biel... - biel Płomienia! Ale ogień jest czerwony, żółty - ależ to nie tak! Płomień był biały - bielą o oślepiającej czystości. Biały! Wola w nim i wszystko zresztą co lękało się śmierci - jak ludzkość zagłady - zbierało się do obrony. Biały Płomień...

A to coś z Otchłani obawiało się Płomienia. Ray czuł, że zawahało się, czuł ten błysk niepokoju, który się za tym krył. Głowa Miłującego szybciej kiwała się z boku na bok. Wydobył też wreszcie jakiś dźwięk. Był on niskim jękiem i zranił uszy Ray'a. Czy to był w ogóle dźwięk?

Płomień - strzelający Płomień - poruszył się i stworzył mur pomiędzy nimi. Był tam - mógł go teraz widzieć - biały płomień o takiej sile, która normalnie oślepiłaby mu oczy. W nim samym wola wzmagala się - ale tylko w nim. To więc była przyczyna jego pojawienia się tutaj - r był narzędziem przez które.../- nagle wola urwała jego myśli; musiał cały być jej podporządkowany w tym pojedynku. To coś znowu ustąpiło odrobinę, a jego przenikliwy jęk przeszedł w pisk. Strach - jego strach wzrósł. Musi użyć tego strachu jak treser dzikiej zwierzyny używa bata, by odparować atak. I jak batem uderzył swymi myślami:

Wracaj, o bezimienne zło, wracaj do świata, który przeznaczono ci na mieszkanie! Nie przekraczaj granicy tego świata! Wracaj do zgnilizny, która jest ci przeznaczona!

Ale stwór nie wycofywał się dalej, leżał tam, rzucając głową z boku na bok, jakby waląc w ścianę. Ray zorientował się, że Magos ma nad tym stworzeniem władzę, że używa swych wrogich mocy, by poprowadzić je naprzód. On również wykorzystywał jakąś wewnętrzną wolę lub siłę. Ray zawahał się. Miłujący ruszył do przodu. Płomień - tam był Płomień.

I znowu przemieszczanie się potwora zostało powstrzymane. Poganiany przez Magosa pochylał się w przód i w tył, a jego jęki były coraz głośniejsze. Tym razem Ray poradził sobie, lecz jak długo jeszcze wytrzyma?

Byli pogrążeni w bezgłośnej bitwie. Magos i jego Mroczny stwór starali się znaleźć jakąś słabość, Ray zaś jakiś kanał dla woli, która czerpała z jego sił. On jednak słabł. Stwór przesunął się - zatrzymał i przesunął znowu.

Bracie oddaj mu moje ciało! - Słabe i odległe było to wołanie. - Poświęć mnie i oszczędź czasu...

- Nie! - ożywił się Ray. Jego ciało drżało, czuł się tak, jakby tylko krępujące go łańcuchy podtrzymywały go na nogach. Miłujący pełzał dalej...

- Naprzód! - rozkazał Magos.

- Wracaj! - padł rozkaz Ray'a. Hałas krzyki...

Skupienie Ray'a zostało przerwane. Miłujący skoczył. Amerykanin zbyt późno starał się stworzyć ponownie osłonę. Macka sięgnęła jego ciała. Ssawki zachłannie dopadły krwawiących nacięć. Skulił się, lecz nie mógł już wydostać się z tego okropnego uścisku.

Płomień - Płomień - ale nie było Płomienia, który mógłby ruszyć to wściekłe, żądne krwi stworzenie. Ale on nie był jeszcze pokonany! Było to tak, jakby spotkał teraz gdzieś głęboko w sobie tę wolę i wymagał od niej, jak ona wcześniej wymagała od niego.

Głowa Ray'a podniosła się. - Przyjdź, powiedział do tej woli - bądź teraz ze mną! I tak jak przedtem, to czyniło go jednocześnie i sługą i bronią, tak teraz on w ekstremalnej sytuacji to odwrócił. Wytrysnął w nim, po chwili zdumionego oporu, rodzaj mocy, jakiej nigdy przedtem nie czuł.

Obrzydliwe ciało przyłgnęło do niego drżąc. Wolno, z dodatkową torturą fizycznego bólu macki niechętnie rozluźniły uścisk i potwór z oporem wycofał się. Magos zmniejszył swoje oddziaływanie. Zbyt późno zorientował się, co się stało.

- Płomieniu! - Ray myślał, że wykrzyknął to głośno. Był to rozkaz do jego własnej siły, do woli którą posiadał.

- Płomieniu!

Znowu tam był, oślepiający, skaczący Płomień.

- Wytrzymaj - ludzie z Mu wdrapują się właśnie po schodach! Jakies słowa bez znaczenia. Wszystkim, co w świecie istniało, był ten Płomień, stworzony poza myślami, Płomień, który musi być podtrzymany, podtrzymany, podtrzymany...

Miłujący wił się i obracał, sycząc ale odsuwał się od Płomienia. Ze schodów dobiegł jakiś wrzask.

- Wytrzymaj - krzyknął Uranos ponownie. - Wytrzymaj jeszcze choć chwilę, bracie!

Magos był zrozpaczony. Ray wyczuwał, że Czerwony kapłan traci moc. Był silny - być może nawet zbyt silny.

Ale, by wygrać, musiał najpierw stanąć do walki, do prawdziwej walki.

Najwyższy kapłan przemierzał platformę długimi krokami tam i z powrotem, jego myśli, stanowcze i szybkie jak pioruny, popędzały potwora. Miłujący podnosił się, wił i kołysał, ale teraz pęłzał naprzód.

A Płomień zmalął. Lecz przyczyną tego była nie słabość ducha, lecz ciało Ray'a. I kolejny raz zacisnęły się na nim macki.

- Ray! Ray! - wołanie. Próbował zebrać wolę raz jeszcze, lecz nic nie pozostało.

Biały ogień - znowu Płomień? Ray podniósł głowę. Nie, to tylko promień dotykający

rogów Miłującego. Macki jednak opadły targając ranę. Czuł łomot w głowie, wszystko było niewyraźne, jakby patrzył przez mgłę.

Brzęk stali uderzającej o stal. Nagle opadł uwolniony z więzów, a ktoś go chwycił i delikatnie ułożył na kamieniach. Zobaczył pojawiającą się czasami w polu widzenia twarz Cho - z bardzo daleka i bardzo dawna.

- Miłujący - próbował ostrzec i pomyślał, że jego słowa nie były nawet szeptem. Ale te lodowato niebieskie oczy zrozumiały i usta wygięły się w chłodnym jak zimowa burza uśmiechu.

- Popatrz bracie.

Murianin podniósł rękę. Kryształowa kula w jego dłoni migotała tęczowym światłem. Z jej środka błysnęła smuga białego światła. Cho przesunął ją nad rogami stwora i zmusił pełzające zwierzę do cofnięcia się. Nie mogło uciec przed skierowanym na nie promieniem.

Magos stał z boku z twarzą wykrzywioną w grymasie, który miał w sobie niewiele z człowieczeństwa. Tylko jego moc - Ray czuł ją wymierzoną w nich i w Miłującego. Potwór jednak był już poza jego kontrolą.

- Diabeł! - wrzasnął Magos.

- Krwiopijca - odpowiedział Cho. - Słuchaj teraz swojej bestii. Myślę, że jest głodna. I nie jest prawdą, że gdy pojawia się na twoje wezwanie, musi być nakarmiona. Poza... - płaceniem rachunków!

Miłujący, rozochocony nie do wytrzymania ruszył... ale nie na Murian, lecz na kapłana. Jego macki zacisnęły się na Magosie w mocnym jak potrzask uchwycie. Kapłan uwolnił jedną rękę i uderzył nią w obsceniczną krągłość ciała potwora. Jego sztylet zanurzył się w czarnej skórze, lecz gdy został wyciągnięty, na oślizłej powierzchni nie było widać śladu rany. Miłujący zaś przez cały czas pożywiał się.

Głowa Ray'a opadła na ramię Cho. Nie mógł przyglądać się czemuś co o mały włos nie przytrafiło się jemu samemu. Ale Murianin czuwał i gdy potwór odwrócił się w końcu, Cho powstrzymał go promieniem.

To był jeden krzyk. Ramię Cho zacisnęło się na Amerykaninie. Potem Murianin podniósł kryształ po raz ostatni.

- Dokonało się - powiedział - zniszczyliśmy teraz sprawcę.

Ray spojrział raz jeszcze. Poszarpany kłębek leżał na kamieniach. Nad nim stał ociekający i pomrukujący do siebie potwór. Wcześniej sięgnęła go wściekłość Magosa, teraz on kończył te okropne porachunki.

Światło przemieniło się w ostry miecz z promieniami. Na jego dotyk stworzenie

przestało mruć z zadowolenia i poruszyło się niechętnie. Potem z żalem jęknęło piskliwie, raniąc ich uszy.

Płomień zmienił kolor z białego na lekko różowy i z różowego na czerwony. Następnie zafalował jakby wzmacniając się w zawsze potężnych falach z ukrytego źródła. Ray poczuł rytm tego falowania na swym ciele.

Gdy Miłujący kołysał się i wił, jego skomlenie przeszło w wibrację zbyt wysoką, by być słyszana przez ludzkie uszy. Potem zaczął się rozpląwać. Jego rysy zacierały się. Pod nim tworzyła się powoli czarna kałuża. A smród wypełnił powietrze.

Cho cały czas trzymał światło skierowane na wijącą się masę. W pewnym momencie wydawało się, że wykonała ostatni desperacki wysiłek, by przetrwać. Głowa Miłującego podniosła się, ciało dźwignęło, jakby chciał się rzucić na Murianina, ale światło powstrzymało go skutecznie.

Taki był jego koniec, ciało stało się zepsutą cieczą, która z kolei została wchłonięta przez Płomień. Krzyk, który rozniósł się z platformy, odbił się echem po ulicach w dole.

- Miasto upada - zauważył Cho. - Rzucili miecze i proszą o miłosierdzie. A teraz - musimy obejrzeć twoje rany, bracie.

Kolejny Murianin przykląkł przy Amerykaninie. Pod tym hełmem - Ray zmarszczył czoło - z pewnością była twarz, którą już widział. Tak - to był ten, który prowadził więźniów.

- Ty... więc Taut uczynił to, co obiecał.

- Oczywiście panie, nawet więcej - zaczął przybyły, ale Cho potrząsnął głową.

- Czas na rozmowy będzie później. Teraz to... - rozsmarował maść na piersi Ray'a. - Ten płaszcz nich cię chroni na razie. Musimy oddać cię w ręce Naacal'ów tak szybko, jak tylko będziemy mogli.

- Lordzie! - przemówił jeden z Murian. Jego ręka spoczęła na ramieniu Uranosa. - A co z tym Atlantą?

- Cho - Ray zebrał wszystkie siły, jakie jeszcze miał - to jest prawdziwy Posejdon, Uranos - również ich więzień. Wysłuchaj go...

- Zrobię to.

Ray opadł z powrotem na płaszcz. Grupa, która wdarła się tutaj, była mała. Ośmiu Murian i czterech dziko wyglądających łobuzów mogących pochodzić ze statku Tauta. Uranos klęknął przed nim.

- Najwyższe żołnierskie pozdrowienia dla ciebie, towarzyszu. A tobie za to, żeś w swej dobroci o mnie pamiętał

- dziękuję. - Wzięty od Atlantów więc nie przypuszczam, że ktoś upomni się o niego.

Ray spojrział we wskazanym przez Uranosa kierunku. Dwóch Murian wiązało ręce Chronosa z tyłu jego opasłego ciała.

- Był uwięziony.

- Tak. To jego nienawiść i tchórzostwo trzymały go tutaj. Chciał być świadkiem naszego końca, a jednocześnie lękał się bitwy w dole. Dla niego nie jest skończona, a nie myślę, by znalazł przyjemność w tym, co nastąpi.

Ray słuchał sennie nieobecny. Maść, której użył Cho, usunęła ból z jego ran. Czuł się dziwnie jasny i pusty. Wola odeszła raz jeszcze, teraz jednak na dobre - tak mu się przynajmniej wydawało. Wszystko dookoła było zamglone, jakby to miejsce, ludzie, wszystko, co sam ocalił, nie było realne. Był żywy. Miłujący - czymkolwiek ten potwór był - odszedł zabierając ze sobą Magosa. A Chronos był więźniem.

- Zdaje się - Cho powrócił z wierzchołka schodów - że musimy tutaj jeszcze chwilę zostać. Poruszanie się po ulicach równałoby się walce - są tam oddziały, które jeszcze się nie poddały. - Usiadł na piętach przy Ray'u i zsunął z ramienia opaskę, przykładając jej chłodną powierzchnię do słabego ramienia Amerykanina. - Tak przy okazji - to był nasz klucz do miasta.

- W jaki sposób? - Dotyk opaski miał dziwny wpływ na Ray'a. Świat dookoła uspokoił się i przybrał normalne kształty.

- Kapitan Taut przybył w towarzystwie Murian, którzy za niego mówili. Taut znał wewnętrzną drogę umożliwiającą naszym oddziałom przejście do miasta.

- Tak jak mówiłem - skomentował Uranos. - Były sekrety, o których Chronos nic nie wiedział, takie, których nawet Czerwone Suknie nie odkryły.

- Ale... Ray drugą ręką dotknął opaski, przesuwając palcami wzdłuż - ...jak mógł się tutaj dostać - tak szybko?

- Zapytaj Re Mu, zapytaj Naacal'ów - zapytaj tych, którzy wydawali się nie zauważać niebezpieczeństwa i nie przygotowywać się na nie. Legiony Uighur nadeszły ze wschodu, a nasza flota przyплыnęła z Mayaxu. Ja żeglowałem z Tautem jako straż przednia, domagając się mego prawa...

- Twego prawa?

Cho spojrział zdziwiony. - Czyż nie jesteśmy braćmi krwi? Re Mu powiedział, że jesteś już na służbie w Czerwonym kraju - dlatego chciałem przybyć. Myślę, że zostały nam pamiętki, spójrz - Cho wyciągnął dłoń i pokazał czerwone pęcherze na skórze. - Nawet oficerowie zajmowali miejsca przy wiosłach, gdy była taka potrzeba. Taut dowodził a ja przy jego doświadczeniu w takich pościgach jestem tylko amatorem. Żaden strażnik nie zna tego

wybrzeża lepiej niż on. Pewnego razu, gdy był tropiony przez statek wartowniczy, którego dowódca nie mógł być przekupiony, przypadkowo odkrył tajemnicę. Był to wąski wyłom w urwiskach, tak mały, że nikt nie uwierzyłby, że może tam być coś interesującego. Jest tam jednak skrawek plaży i jaskinia oraz tunel, który musiał być wykuty przez ludzi, zanim jeszcze powstały pierwsze kroniki. Tunel ten wiedzie pod miastem do niższych komnat świątyni Płomienia.

- Wyładowaliśmy tam w nocy. Jeden oddział został, by później poprowadzić resztę wojsk floty. Taut zapewniał, że synowie Cienia tak polegają na pierścieniach murów i otaczającej je wodzie, że będą kompletnie zaszokowani, gdy tylko pojawimy się pomiędzy nimi. I muszę przyznać, że miał rację.

- Na dole schwytałismy Czerwoną Suknię i myślę, że on wziął nas za duchy zamordowanego Urodzonego w Słońcu, bo powiedział nam otwarcie, że Magos planuje wezwać Miłującego i dobrze go nakarmić. Natura tego potwora jest taka, że mógłby przywieść ze swej otchłani inne mu podobne, uwalniając w ten sposób broń, której nie moglibyśmy się przeciwstawić.

Myśleliśmy, że to czym się tak rozkoszował stanie się w świątyni Ba-Al'a i podjęliśmy walkę, by się tam dostać. Chwilę później zobaczyliśmy, na co zanosilo się tutaj i zrozumieliśmy naszą pomyłkę. Poza murami, legiony Uighur walczą razem z tymi spośród Atlantów, którzy nigdy nie pogodzili się z rządami kapłanów Wielkiej Ciemności. Opór, który jeszcze trwa, jest przełamywany oddział po oddziale, a coraz więcej naszych przedostaje się przejściem przez świątynię.

- A to? - Ray wskazał na kryształ.

- Wykonane przez Naacal'ów, ale mają ich tylko kilka. Przesłano im to na chwilę przed wejściem do tunelu z ostrzeżeniem, że zanim tego użyjemy, musimy podejść bardzo blisko potwora. Ale Ray'u - dwa razy widzieliśmy jak zło cofa się. Byłeś blisko zwycięstwa i nie miałeś w ogóle broni!

- On dokonał czegoś, czego - mógłbym przysiąc nikt nie mógł dokonać! - wyrwał się Uranos. - On pokonał ten strach swą własną wolą, utrzymywał Mrocznego w jękach.

- Nie - powiedział Ray. Jego palce ciągle poruszały się po opasce, dotyk ten przywracał go rzeczywistości. - Zrobiłem to, co było mi przeznaczone, wezwałem Płomień.

- Płomień? - zapytał Cho.

- Biały Płomień - powtórzył Ray, kolejny raz przechodząc w stan odurzenia.

- Nieśmiertelny Płomień - powiedział Cho. - Ale człowiek nie mógł się na to odważyć! Doprawdy tarcza Ojczyzny była tego dnia nad tobą!

- Raz już Płomień zapłonął w sanktuarium ołtarza w tym mieście - zauważył Uranos.

- Ale nigdy więcej już nie zapłonie odpowiedział Cho.

- Co masz na myśli? - zapytał atlancki książę.

- Re Mu zdecydował, że po zdobyciu miasto to zostanie doszczętnie zniszczone, tak by jego imię nie przetrwało w pamięci przyszłych pokoleń. To, co się tutaj dokonało, było otwarciem bram pomiędzy dwoma światami, których przeznaczeniem było nigdy się nie zetknąć, tak by Miłujący i jemu podobni pozostali wolni w przestrzeni.

Dwa światy, których przeznaczeniem było nigdy się nie zetknąć. Słowa te długo brzmiały w głowie Ray'a.

- A ludzie? - nalegał Uranos. - Co z mieszkańcami tego miasta?

- Ci, którzy są źli, muszą spożyć owoce swego zła i dokonać rozrachunku. Pozostali zostaną wysłani na łąd. A atlancka flota zniknie na zawsze z mórz świata.

- Rozległe równiny są bogate, a ich mieszkańcy dotrzymują pokoju - zauważył Uranos. - Może więc doświadczymy łaskowości raz jeszcze.

- Mówi się, że tak podają pisma - odrzekł rzeczowo Cho. - Z biegiem lat Ojczyzna upadnie. Potem Atlantyda przejmie władanie ziemią i morzem, jak chciał to teraz uczynić Chronos - to zaś dopiero nadejdzie w przyszłości.

- I ten czas także przeminie - pokiwał głową Cho - Tak, ten czas także przeminie.

- A potem - co nadejdzie potem?

- Powstaną nowe łądy - między innymi twoje, Ray.

- To odległy czas - powiedział Ray. - Bardzo odległy czas - wiele łądów, wiele władców... Babilon i Kreta, Egipt, Grecja, Rzym i wiele innych. Nawet w moich czasach świat nie będzie rządzony jedną ręką i ciągle jest podzielony na wiele narodów, a one czasami prowadzą wojny.

- Wojna przeciwko Ba-Al'owi i Cieniowi nigdy nie ustanie. - Cho wstał i podszedł do schodów, by spojrzeć w dół. - Myślę, że możemy iść - powiedział gdy wrócił - ...do świątyni.

Ray próbował usiąść, okazało się to jednak niemożliwe. Zaciskał oczy, gdy znosili go po schodach w dół. Dwukrotnie musieli odeprzeć drobne ataki nim dotarli do zrujnowanej świątyni. Ból powrócił i każdy krok dźwigających Ray'a mężczyzn przynosił pulsowanie w piersiach. W końcu znaleźli się pod zniszczonym dachem i jeden z Naacal'ów podbiegł do nich natychmiast. Położono go na posłaniu z ułożonych mat i leżał tam badany przez muriańskiego kapłana.

- Co z nim? - zapytał Cho.

- Wszystko będzie dobrze. Odejdź teraz do swych zajęć, mój synu. Twój brat krwi jest

bezpieczny. Ray sapał ciężko.

- Tak, to jest bolesne - pokiwał głową kapłan. - Ale takie rany, o takim pochodzeniu muszą być dobrze oczyszczone.

- Znam cię - powiedział wolno Cho. - Ty... ty czekałeś w sali - ze światłem - zanim... zanim...

- Zanim wyruszyłeś na tę wyprawę - dokończył za niego kapłan. - Tak, to prawda.

- Wola...

- Nie była moja - odpowiedział mu. - Teraz odpoczywaj w spokoju. Zrozumiesz wszystko we właściwym czasie. Teraz - śpij! To był rozkaz, ale palec dotykający czoła Ray'a zdawał się go przypieczętować. On już spał.

- Wszystko gotowe. - Burton spoglądał w dół zbocza na pokrytą śniegiem ziemię ku garbowi usypanego kopca.

- To tylko część roboty. Nie możemy wam niczego obiecać

- mam nadzieję, że to rozumiecie?

- Powtarzałeś to wystarczająco często, więc musieliśmy to zrozumieć - burknął Hargreaves. - Jakie będzie nasze następne posunięcie?

- Jesteśmy w stanie podnieść napięcie do wyjściowej mocy i utrzymywać przez pięć okresów - odpowiedział Fordham - rozpoczynając od okresu jednej godziny, a potem zmniejszając czas. Ostatnia próba będzie trwała tylko około pięciu minut. Zaplanowaliśmy próby na tydzień. Jeśli pamięć poszukując uchwyci Osborne'a, wtedy będzie on miał drzwi otwarte raz na siedem dni - przez pięć okresów. Potem będziemy potrzebowali następną przerwę na doładowanie - być może miesiąc - przy odrobinie szczęścia.

- To jest czysty hazard, najzwyczajniejszy hazard skomentował Hargreaves.

- Hazard, tak, ale nie taki najzwyczajniejszy. Jest to jeden z najbardziej skomplikowanych eksperymentów, jakie podejmowaliśmy. Twój zwykły hazard to nic przy tym. Jak można dziecinną zabawę porównywać do czegoś tak poważnego - odciął się Burton.

- Kiedy podejmiecie pierwszą próbę? - generał Colfax przemówił po raz pierwszy.

- Dokładnie za czternaście godzin i pięć minut. Wtedy otworzymy wrota i będziemy czekać przez godzinę. Doktor Burton uaktywnia poszukiwacz zgodnie z równaniem.

- Tak więc - po prostu poczekajmy - generał powiedział jakby do siebie.

- Będziemy czekać - powtórzył Fordham.

- I być może będziemy tak czekać bez końca - dodał Hargreaves.

ROZDZIAŁ 17

Ray wstał z wysiłkiem, żeby zajrzeć do głównej komnaty zniszczonej świątyni. Przez brakującą część dachu widać było nocne niebo. W starych uchwytych umieszczone były pochodnie, oświetlające kamienne bloki służące teraz Muriańskim dowódcom wojskowym jako stoły i siedzenia.

- Jak się czujesz!

Amerikanin obejrzał się przez ramię na nadchodzącego Naacal'a.

- Lepiej...

Kapłan uśmiechnął się. - Więc masz już dosyć naszej opieki i chciałbyś wstać z łóżka? Dobrze... - Jego palce dotknęły nadgarstka Ray'a, szukając pulsu. - Zapewne nawet gdybym się nie zgodził na takie szaleństwo, wstałbyś tak czy inaczej. - Klasnął w dłonie i mężczyzna noszący krótką, białą tunikę służącego w świątyni przyniósł ubranie.

Z jego pomocą Ray wciągnął tunikę z miękkiej skóry na bandaż, którymi był owinięty niczym mumia, od pach do pasa. Następnie włożył kilt, wzmocniony metalowymi paskami, nie dostał jednak ochraniacza na pierś. Kapłan odłożył go na bok, mówiąc:

- Nie będziesz go potrzebować, a poza tym jest zbyt ciężki na twoje rany.

- Cho...? - zapytał Ray.

- W tej chwili jest na służbie przy zachodniej bramie.

- A miasto?

- Poddało się z wyjątkiem wewnętrznej wieży pałacu. Kiedy większość strażników odkryła, że Chronos został pojmany, rzucili broń. Ci, którzy nadal walczą, to Czerwone Suknie Ba-Al'a, oraz tacy którzy wierzą, że nie zasługują na litość w naszych rękach.

- Ray! - Cho przeszedł szybko przez hali. Zatrzymał się w pewnej odległości, by przyjrzeć się Amerikaninowi od stóp do głów. - Dobrze, wojownik gotowy. Lecz nie masz miecza. Może ten... Zabrałem go niedawno dowódcy bramy. - W rękach trzymał pas z umocowanym w pochwie mieczem, którego rękojeść błyszczała na czerwono dzięki wzorowi z rubinów.

- Teraz lepiej. Musisz być gotowy...

- Na co? Naacal'owie powiedzieli, że większość walk jest zakończona.

- Nie, nie do bitwy. Ale Re Mu wkracza do miasta o świcie. Wszystko oprócz wewnętrznej części pałacu jest teraz nasze.

- A Chronos?

- Trzymany jest pod mieczami straży osobistej Wielkiego. Re Mu chce cię zobaczyć.

- A ja - pomyślał Ray - chcę jego spotkać. Jest kilka pytań - lecz czy będzie miał kiedykolwiek szansę, żeby je zadać, tego nie wiedział. Poczucie nierealności zawładnęło nim ponownie. Oglądał i słuchał, lecz nie był częścią tego wszystkiego. Brak zbroi sprawiał, że nie czuł żadnego związku z tym czasem, w którym stał niczym obserwator jakiegoś widowiska żywego obrazu.

Był z Cho, gdy Re Mu wkraczał do Miasta Pięciu Murów. Ujrzał ciągnięty przez parskające ogiery biały, wojenny rydwan Słońca, który chrząścił na podbitewnych gruzach. Naśladując Cho, oddał Władcy wojskowy honor i wystąpił wraz z Murianinem do przodu, gdy tamten skinął na nich.

- Witajcie, moi panowie... - pozdrowił ich oficjalnie Re Mu, gdy ponownie za przykładem Cho, Ray przyklęknął na pokrytej kurzem drodze.

Cho skinął głową dając konwencjonalną odpowiedź:

- Jesteśmy do twojej dyspozycji, O Wielki, z całą lojalnością i siłą.

Ray spojrzał w te odległe, niebieskie oczy. Jeśli Re Mu czytał jego myśli tu i teraz, to wiedział, że Ray wcale tak nie myślał i że cały ten zewnętrzny pokaz hołdu był tylko tym - pokazem.

- Nigdy, jak sądzę, nikt nie służył Słońcu, moi panowie... - rzekł w odpowiedzi Władca. - Przyjdźcie do mnie nie dalej niż za godzinę...

- Wedle rozkazu - zgodził się Cho i gdy rydwan pojechał dalej, wstali.

Słuchać i być posłusznym, tak; postępował według rozkazów i zrobi to tym razem, choć nie z własnego wyboru. Ale pozna odpowiedź...

W ślad za Cho, Amerykanin ruszył za procesją monarchy w kierunku serca miasta. Oddziały muriańskie prowadziły ludność miasta, kierując ją również do centrum ich na wprost zniszczonej stolicy.

Mimo, że żołnierze próbowali utrzymać porządek i utorować uliczki pośród tłumu, droga była zatłoczona. Cho zwrócił się do zabieganego oficera.

- Zostaliśmy wezwani przez Re Mu. Jak moglibyśmy...?

Oficer uniósł ręce w geście zakłopotania. - Nie tędy, Urodzony w Słońcu. Pójdźcie bocznymi uliczkami. To dłuższa droga, lecz nie będziecie się musieli spieszyć.

Cho poszedł za jego radą, skręcając w boczną drogę, by ostatecznie pokonawszy wiele zakrętów, dotrzeć do świątyni.

- Gdzie jest Uranos? - zapytał Ray, gdy dotarli wreszcie do celu. Z trudem chwycił powietrze po tym wysiłku i musiał się oprzeć o ścianę.

- Nie wiem. Poszedł do Re Mu zeszłej nocy. Jeśli jest tym, kim twierdzi... - Cho przerwał, gdyż stali się teraz częścią tłumów oficerów i ludzi zgromadzonych przed ustawionym w pośpiechu tronem. Bloki ze świątyni zostały zestawione razem i udrapowane olśniewającymi płaszczami wojskowymi. Tam też Re Mu zajął miejsce, by wydać sąd nad miastem. Wokół niego pełno było błyszczących, wypolerowanych i ozdobionych klejnotami zbroi, a tu i ówdzie dla kontrastu proste, białe szaty Naacali. Po prawej stronie Władcy, na niższym bloku, siedział U-Cha, nieco pochylony do przodu, jakby był krótkowidzem i problem sprawiało mu widzenie tego, co się przed nim dzieje.

Gdy Cho i Ray wmieszali się już w tłum żołnierzy, rozległ się ostry dźwięk bębnow wojennych, czterech jednocześnie, ustawionych na stopniach na wysokości pasa doboszy. A gdy już ucichły, ucichł również podobny do dźwięku fali morskiej pomruk tłumy.

Twarz Re Mu pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu, choć w jakiś dziwny sposób wyglądała tak jak gdyby widział nie tylko tłum zgromadzonych tam ludzi, lecz każdego z mężczyzn i każdą z kobiet jako jednostkę, którą ma osądzić. Ray widział, jak ludzie w pobliskich rzędach spuszczały głowy, patrzą w lewo lub w prawo, ostatecznie jednak ponownie podnoszą oczy, jakby kierowani jakąś siłą, której nie mogli się oprzeć.

Wtedy ręka władcy uniosła się lekko, cał może dwa nad klamrę, którą przed chwilą trzymał, palce zamknęły się na rękojeści nagiego miecza, który stał pionowo pomiędzy jego kolanami i wskazał na rozłupany, poplamiony kamień pod swymi stopami. Na ten najmniejszy z gestów jeden z wojowników przesunął się o krok w lewo. Pod rantem hełmu tego człowieka Ray zobaczył twarz, którą znał. To był Uranos.

- Ludu Atlantydy... - głos Re Mu zadźwięczał równie zniewalająco jak bębny. - Mieszkańcy spod osłony Cienia... - przez zatłoczony plac przebiegł szmer. Padali na kolana wznosząc w górę ręce, jedni chętnie i z pokorą, pozostali mniej skwapliwie.

- Przebacz... - szmer przeszedł w pewien rodzaj płacznego lamentu, przybierającego na sile.

- Pewne rzeczy wychodzą poza granicę przebaczenia. Spójrzcie, wy którzy wybraliście Mrok, na plamy pokrywające te mury, pomyślcie jak doszło do tego, że noszą to czerwone świadectwo przeciwko wam. - Miecz Władcy wznosił się, a wschodzące słońce błysnęło na jego ostrzu, rozniecając płomień. Wskazywał na ściany, gdzie Urodzeni w Słońcu dokonali swego żywota.

- Postępowaliśmy tak, jak nam rozkazano, O, Wielki. Przebacz!

- Powiadam wam, że ludzie z sercem powstawaliby przeciwko temu, kto wydał takie rozkazy. W dniu sądu żaden człowiek nie może się zasłaniać rozkazem, który był zły,

mówiąc:

- Robiłem co mi kazano. W każdym człowieku, od momentu urodzenia, znajduje się wiedza o tym, co dobre i złe i każdego dnia, każdej godziny pozwala mu się dokonać wyboru. Jeśli nawet wybiera to co złe ze strachu, słabości, żądz, chciwości czy wściekłości, ciągle jednak ma wybór, i za ten właściwy wybór będzie osądzony, gdy nadejdzie ostatni dzień. Kiedy wasi praojcowie przybyli na ten ląd, dostali dwa skarby, dzięki którym mogli zapamiętać to, co słuszne. Ponownie jego miecz zapłonął, lecz tym razem wskazał na kolumny, na których ciągle jeszcze widać było zakurzone, postrzępione kawałki materiałów. - Spójrzcie, zakrywa się teraz ze wstydu, bo nie ośmielacie się patrzeć na to, co tak otwarcie zdradziliście. W ten sposób wymazaliście symbole dobra i sprawiedliwości, wybierając raczej osłonę Cienia, niektórzy z was podążając za nim aż w otchłań piekielną. Tak więc miasto to musi być wymazane z pamięci ludzi - krew za krew. Czyż nie jest to sprawiedliwość - i to taka, jaką wy rozumiecie najlepiej, ludu Atlantydy?

- Litości... litości... - rozległ się piskliwy lament - musiały to być kobiety i dzieci, pomyślał Ray. Nie widział, żeby któryś z mężczyzn otwierał usta.

- A jaką litość wy okazaliście za swego panowania, ludu Atlantydy? Pomyślcie nad tym! To miasto będzie wyglądać tak, jakby go tutaj nigdy nie było - i to do zmroku. A wy, którzy je uczyniliście siedliskiem plugastwa, co z wami uczynić?

Stali teraz cicho, tylko gdzieś tam płakało jakieś dziecko lub kobieta.

Tak, uczyniliście to miasto mieszkaniem dla rzeczy nieczystych. Spójrzcie: ta świątynia leży w gruzach, podczas gdy świątynia Ba-Al'a stoi dumnie. Podajcie mi jakiś powód, dla którego nie mielibyście podzielić losu waszego miasta!

- Litości, O wielki. Jeśli nie dla nas, to choć dla naszych dzieci - pojedynczy głos wzniosł o błaganie.

- Posłuchajcie mych słów. Różne są sprawiedliwości i różne wyroki. Jesteście słabi i głupi, lecz nauczono was zła - większość z was. Nie we wszystkich z was jest ono równe, tak więc powiadam wam, wynieście się z miasta, biorąc ze sobą tylko tyle żywności i przyodziewku, ile zdołacie unieść własnymi rękami. Macie być poza bramami miasta do zachodu słońca... w przeciwnym razie dosięgnie was większa kara.

Wtedy wystąpił Uranos i klęknął przez Władcą.

- O, Wielki, oni są mymi ludźmi. Niech i ja cierpię, idąc z nimi, by poprowadzić ich, dopóki będą mogli zacząć budować od nowa...

- Uranosie, w przeszłości ci ludzie odwrócili się od Ciebie, odebrali władzę twemu rodowi, by ustanowić sobie przywódcę z ich własnego wyboru -jeszcze jednego wyboru

dokonanego samowolnie. W Ojczyźnie zaszczyty i służba, stosowne dla ciebie oczekują twego przybycia. I mówisz to w tym miejscu, gdzie krew twojej rodziny ciągle jeszcze plamami pokrywa ściany przed tobą? Czy naprawdę pragniesz poprowadzić tych ludzi?

- O, Wielki, wiele powiedziałeś o wyborach w tym życiu i o ich dokonywaniu, a później o ponoszeniu konsekwencji tych decyzji. Choć jestem jednym z Urodzonych w Słońcu, to jednak pochodzę również z tej ziemi, dzieląc ją z tymi ludźmi. Tak więc wybieram pójść z nimi, i jest to wolny wybór. Poniosę wszystkie idące za tym konsekwencje.

Re Mu uniósł swój miecz wysoko w powietrze, po czym opuścił go, by lekko dotknąć najpierw prawego, potem lewego ramienia Uranosa. W końcu chwycił za ostrze i wystawił rękojeść, którą Uranos pocałował.

Słuchajcie uważnie ludzie Atlantyd! - zakomenderował Władca. - Stawiam przed wami przywódcę, jakiego nie mieliście od dawnych czasów, gdy był tu jeszcze czysty, lojalny kraj. Jest Urodzonym w Słońcu, choć pochodzi również z Atlantyty, Atlanta zrodzony z Atlantów, a nie obcy zdobywca. Tak więc powiadam wam, miłujcie go, bądźcie mu posłuszni i ponoscie konsekwencje tego wyboru.

Uranosie, Posejdonie Atlantyd, czy przyrzekasz ustanowić jeszcze jedną siedzibę Płomienia, krocząc ze swymi ludźmi w świetle, tocząc walkę z Cieniem i wszystkimi jego legionami, trzymać się prawa i sprawiedliwości pod Słońcem, służyć mieczem i tarczą Ojczyźnie w godzinie potrzeby?

- Przysięgam na Płomień, za mnie i moich ludzi, O, Wielki.

Po raz drugi pocałował rękojeść miecza Re Mu, po czym wstał i odwrócił się twarzą do tych, którzy stali poniżej, obserwując go. Nie pozdrawiali go, lecz kiedy szedł po stopniach świątyni w dół, zbliżyli się. Część padła na kolana, całując go po rękach i rąbku płaszcza. Tak otoczony obrócił się raz jeszcze, spoglądając na znajdujący się wyżej tron.

- Postąpimy zgodnie z twym rozkazem, o zachodzie słońca już nas tu nie będzie - rzekł.

Przez plac ponownie przeszła fala i Ray pomyślał, że ludzie chcą się rozejść. Jednak jeszcze raz rozległ się dźwięk bębnow i to ich zatrzymało. Pośród panującej ciszy, Re Mu przemówił ponownie.

- Ludu Atlantyd, przyszlście tutaj na sąd. Teraz wy również osądźcie, co zrobić z tym człowiekiem?

Murianie stojący obok tronu rozstąpili się i pomiędzy nimi pojawił się oddział straży, na wpół prowadząc, na wpół ciągnąc Chronosa, którego twarz była biała, targana drgawkami, a głowa kiwała się z boku na bok.

Wśród tłumu podniosła się taka wrzawa, że Ray cofnął się o krok. Słyszał, czytał o furii tłumu, lecz nigdy nie widział czegoś takiego. Było to tak przerażające, jak sam Miłujący.

- Do nas, O Wielki, do nas! - dobył się krzyk z setek, potem tysięcy gardeł.

- Co na to powiesz, Chronosie? Czy to jest sprawiedliwość? Chcesz tego?

Ku zdziwieniu Ray'a zdetronowany Posejdon uniósł głowę, uspakajając ten szalony tik.

- Tak - odpowiedział. Czy traktował śmierć jako rodzaj ucieczki, czy był szalony?

Re Mu skinął głową. - Wybór należy do ciebie, więc niech tak się stanie!

Gdy tylko muriańskie stráže cofnęły się, tłum ruszył falą i Chronos zniknął. Żadnego krzyku, żadnego dźwięku, tylko przerażający wir pośród tłumu... potem już nic. Cała gromada rozeszła się, opuszczając ławą plac. Re Mu wstał z zaimprovizowanego tronu i udał się z powrotem do świątyni, otoczony Naacal'ami. Jakiś oficer podszedł do Cho i Ray'a.

- Wielki pragnie was zobaczyć.

Weszli do części świątyni, w której znajdował się duży, lecz rozłupany i rozbity blok kamienny, kiedyś główny ołtarz, jak sądził Ray. Stali przy nim Re Mu i U-Cha. Władca zwrócił się najpierw do Cho.

- Poprosiłeś byśmy przydzielili to wielce niebezpieczne zadanie. Dzielnie się spisałeś. Z twojej ręki zginął również ten pomiot z piekła - to coś z innego świata. Czego żądasz w zamian?

- Niczego. To był mój obowiązek.

Re Mu uśmiechnął się. - Niczego... twoja odpowiedź wypływa z młodości, odwagi i tego, co leży u poranka życia. Lecz tak się nie godzi. Ofiarowuję tobie tego węża, niech później noszą go twoi synowie i synowie twoich synów. Podejdz tutaj...

Cho przyklęknął u stóp Władcy. Ze swego hełmu wojennego Re Mu odpiął imponujący diadem z węzem, umieszczając go na hełmie Cho, podczas gdy pozostali wzniesli w górę nagie miecze.

- Ty... - Re Mu spojrzał na Ray'a. - Tak, ty również musisz o coś poprosić. Nie według prawa - możesz żądać. Skoro nie potrafiłeś wyzbyć się własnej woli w działaniu, odebraliśmy ci możliwość wyboru.

- Tak - oświadczył krótko Ray.

- Nie byłeś z naszego rodu, to nie był twój konflikt. W momencie największego niebezpieczeństwa wykuliśmy z ciebie broń, jakiej potrzebowaliśmy. Jeśli tak właśnie sobie myślisz, to masz rację. Wiele powiedziałem o wyborach i rezultatach z tego płynących. My wybraliśmy użycie „obcego”, który nam zaufał i był to niecny czyn. Lecz na to mam tylko

jedną odpowiedź: mój wybór leży między dobrem jednego człowieka i ocaleniem wszystkich moich ludzi.

Nie mogliśmy dostać się na tę ziemię, była zbyt dobrze strzeżona przez bariery, którymi byli nie tylko widzialni ludzie i stal, mury i woda, lecz również te, wzniesione przez Magosa i jego adeptów do szybkiego wykrywania każdego z naszego rodu, który odważyłby się tutaj wtargnąć. Sądzę, że poczułeś przedsmak ich broni, gdy cię w końcu pojмали.

Z racji tego, że nie byłeś jednym z nas, posiadałeś pewne wrodzone cechy samoobronne, na których rozwój my nie mogliśmy mieć nadziei. Tak więc zaopatrzyliśmy cię dodatkowo w to, co my mieliśmy, a co było potrzebne do otworzenia drzwi. Ty byłeś kluczem, jedynym, jaki mieliśmy.

- Nawet do Miłującego? - zapytał jednostajnym głosem Ray. Nie uklęknął, jak to zrobił Cho. Patrzył prosto w oczy temu człowiekowi, który rządził większością świata. Nie było teraz między nimi żadnego dystansu czy strachu.

- Nawet do Miłującego - zgodził się Re Mu. - To był tylko pierwszy, zwiadowca, jeśli wolisz, z całej armii tego rodzaju, których Magos wypuściłby przeciwko nam. Był to również klucz, gdyż za każdym razem, gdy został wezwany i nakarmiony, stawał się coraz bardziej związany z tym światem. Ostatecznie sprowadziłby cały swój rodzaj - a być może coś jeszcze gorszego bo miejsce z którego Magos go wzywał jest obce, i dla nas będzie zawsze twierdzą wroga. A my nie wiemy, jakie inne okropieństwa może kryć w sobie ta otchłań. Więc ty miałeś być przynętą, by go sprowadzić, gdy ciągle jeszcze mogliśmy dać sobie z nim radę i zamknąć te wrota.

A pragnę powiedzieć, że w całej naszej historii, żaden człowiek nie służył Ojczyźnie tak, jak ty, cudzoziemcze. Nigdy też żaden człowiek nie stawiał czoła takiemu złu, czyniąc je bezsilnym. Nie w mojej mocy jest wynagrodzić cię stosownie, gdyż mówiąc o zapłacie, to jakby pomniejszać to, co uczyniłeś. Poproś jednak o cokolwiek, czego pragniesz...

- Powrotu do mojego własnego czasu i miejsca - poprosił Ray.

Re Mu wstał w ciszy. Po czym powiedział powoli - cała nasza wiedza, wszystko, czym dysponujemy, będzie do twojej dyspozycji. Czy można tego dokonać, tego nie wiem. Lecz jeśli nie...?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko... tym razem to Ray się wahał, miał trudności z przełożeniem swych myśli, odczuć na słowa - że nie jestem z tego czasu. Być może nie będę mógł wrócić, ale muszę spróbować...

- Niech tak będzie!

Gdy Ray wyszedł, Cho dostosował swój krok do jego tempa. Murianin miał

śmiertelnie poważną twarz.

- Czy... czy nienawidzisz nas, bracie? - zapytał. - Za to, do czego cię zmusili? Nie wiedziałem, że sprawy tak się mają. Lecz potrafię sobie wyobrazić, jaki mogło to wzbudzić gniew w człowieku...

- Nienawidzić... - powtórzył Ray. Nie czuł żadnych emocji, tylko męczącą pustkę, dziwny nieład, jakby nie był już częścią życia, lecz egzystował w miejscu nie przeznaczonym dla niego. Pływak w oceanie, przyglądający się wszystkim cudom i kolorom świata, który nie był jego własnym i nie mógł być, w którym był tylko obcym przybyszem. Tak właśnie czuł się Ray. Skoro pozbawiono go woli i widział, jak Miłujący umiera, był tylko widzem. A chciał stać się ponownie rzeczywistym...

- Nie, nie czuję nienawiści - powiedział bardziej do siebie niż do Cho. - Tylko zmęczenie... Jestem zmęczony.

- A jeśli nie będziesz mógł wrócić? - Murianin wyciągnął rękę, lecz nie dotknął Ray'a, jakby on również czuł, że coś ich dzieli i wiedział, że nawet jeśli ich palce spotkałyby się, nie mogło ich to w żaden sposób zjednoczyć.

- Nie wiem...

Ręka Cho opadła do boku, lecz ciągle szedł obok Ray'a, od czasu do czasu spoglądając na niego. Jestem naprawdę zmęczony, pomyślał Ray i zawrócił w kierunku miejsca w świątyni, gdzie przyniesiono go, by się nim zaopiekować. Rozciągnął się na łożu. Cho rzucił się na sąsiednią stertę płaszczy i szybko zasnął. Mimo że Amerykanin był tak zmęczony, nie mógł zasnąć. Zamknął oczy i próbował wyobrazić sobie obraz - tak, tym razem próbował ujrzeć te drzewa, ten cichy las.

Re Mu zaoferował mu wszystko, czego tylko pragnął. Statek mógłby być odpowiedzią, statek na północ, a później przez równiny, do ciemnego lasu - do miejsca, gdzie wkroczył do tego czasu. A co będzie, jeśli dotrze dokładnie do miejsca, stanie... i nic się nie wydarzy?

Usłyszał, że coś obok się poruszyło i otworzył oczy. U-Cha, wyglądający bardzo staro i zwiotczałe w swojej białej tunice, jakby to ona posiadała więcej życia niż ciało, które okrywała - stał przyglądając się Ray'owi z góry.

- Ty byłeś tą Wolą - rzekł Ray.

- Byłem nią... po części - zgodził się Naacal.

- Lecz - dodał - znaczyła mniej niż sądzisz, chociaż możesz w to nie wierzyć, to ponad połowa całej siły wspierającej Wolę pochodziła od ciebie.

- Aleja nie chciałem...

- ...wypełniać naszych rozkazów? Tak, to prawda. Tylko zastanów się nad tym - gdy Wola miała taką potrzebę, czerpała z takich głębin, jakich próżno szukać u nas. Jesteś inny, bardzo złożony według naszych kryteriów, jako że zostałeś ukształtowany w innym czasie przez życie, o którym nic nie wiemy. Sądzę jednak, że to, czym teraz jesteś, różnie jest od tego, kim byłeś, gdy wkroczyłeś w nasz czas ze swojego. Kowal wyciąga płynny metal z żaru, uderza wał, ochładza, ponownie nagrzewa, obrabia. A to, co ma w rękach pod koniec swej pracy, nie jest tym, co trzymał na początku.

Ray usiadł. Pod bandażami czuł lekki ból. W pewien sposób ten ból przywracał mu spokój, czyniąc go bardziej żywą istotą, niżli odległym obserwatorem.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że ta zmiana może mnie tutaj zatrzymać?

- Jest to myśl, którą być może powinieneś dobrze zapamiętać, mój synu, gdyż tego akurat jestem pewien - nie jesteś tym samym człowiekiem, który do nas przybył. Może ta przemiana rozpoczęła się właśnie w chwili, gdy wszedłeś tutaj ze swojego świata i jest to rodzaj procesu podobny do wzrostu. Więc...

- Więc powinienem być przygotowany na porażkę. Dobrze, ostrzegłeś mnie, lecz czy udzielisz mi również pomocy?

- Ze wszystkim co posiadamy i wiemy - tak.

- Jednak nie tutaj - rzekł Ray - nie w Mu, lecz na północy...

U-Cha spojrział na niego zaskoczony. - Na północy... w Jałowych Ziemiach? Nie mamy tam żadnej świątyni, żadnych środków kształcenia...

- Wiem tylko, że muszę wrócić. A także, że to musi nastąpić wkrótce, bądź wcale.

U-Cha skinął głową. - Niech tak będzie.

Po czym uniósł swą chudą rękę, na której grzbiecie stare żyły tworzyły grube, niebieskie pręgi. W powietrzu między nimi nakreślił znak, który dla Ray'a nie był widoczny.

- Niech twój duch odpoczywa, a umysł przyniesie ulgę twemu ciału, gdyż to nie dzisiaj, nie jutro i pewnie minie jeszcze wiele dni, nim będziemy mogli tobie pomóc w tej drodze. Do tego czasu pozostań w spokoju.

Ray położył się ponownie na łożu i odnalazł czekający nań sen, niezmacony niczym odpoczynek, w którym żadne cienie czy wspomnienia nie śmiały go niepokoić.

O zachodzie słońca stał poza miastem w towarzystwie Cho oraz nieustępliwych korsarzy, którzy wprowadzali wojska muriańskie do tej twierdzy. Ostatni z pozostałych przy życiu mieszkańców miasta wychodzili przez wewnętrzne bramy, formując najpierw małe - rodzinne, potem coraz większe grupy, idące z mozołem. Rebelianci z równin na koniach utworzyli straż, która pilnowała, by ludzie poruszali się płynnie, podczas gdy w mieście

przeszukiwano wszystkie domy, by mieć pewność, że nikt nie pozostał, ukrywając się gdzieś. Był już zmierzch, gdy ostatni z przeszukujących opuścili miasto. Gdy oni również dotarli do pobliskich wzgórz, wiązki światła wystrzeliły z muriańskich statków oraz paru miejsc na lądzie. Kiedy te promienie się spotkały nastąpił huk, głośniejszy od każdego grzmotu piorunów i wstrząsów, który zwałił z nóg wielu obserwujących. Wir powietrza u-niósł w górę chmurę piasku sprawiając, że niebo stało się jeszcze ciemniejsze.

- Świątynia Ba-Al'a... - Cho chwycił Amerykanina za ramię. - Spójrz na świątynię!

Pośród gruzów ciągle stała posępna budowla o czerwonych ścianach, w ogóle nie naruszona. Wiazki ponownie wystrzeliły, skupiając się dokładnie nad tym budynkiem, lecz kiedy zniknęły, ciągle tam stał.

Wówczas z samego nieba wystrzelił słup oślepiającego światła, jak gdyby te maszyny destrukcji ściągnęły siły natury. Rozległ się dźwięk, który ich ogłuszył - i gdy ponownie mogli widzieć, świątynia zniknęła.

W tym momencie Ray doznał dziwnego wrażenia, że nie może ani w to uwierzyć, ani wytłumaczyć. Zresztą nigdy potem o tym nie rozmawiał. Pomyślał, że ujrzał czarny cień, nie podobny jednak do tego skulonego ciała ludzkiego, zwieńczonego głową byka. Cień pierzchnął w noc, okrywając się niby płaszczem, właściwą substancją normalnej ciemności.

Gdy odwrócili się, by podążyć w kierunku swych statków, podjechał do nich mężczyzna na koniu, który wyłonił się z wolno poruszającego się węża alianckich uchodźców. Uranos wychylił się z siodła, by przemówić do Ray'a.

- Przyjacielu nie zapomniałem. Wszystko co moje jest twoje, wystarczy poprosić. Tak też będzie z naszymi synami i synami naszych synów. Jeśli mnie wezwiesz, przybędę, gdy zajdzie potrzeba nawet na koniec świata. Teraz muszę iść z moimi ludźmi. Lecz pamiętaj bracie...

Ray wyciągnął dłoń, by uścisnąć mu rękę. - Nie mamy wobec siebie żadnych długów. -Tamten musi to zrozumieć. - Jedź w pokoju i swobodnie...

Uścisnęli sobie dłonie i jeździec oddalił się. Teraz Cho stanął u boku Amerykanina.

- Statki czekają... i Ojczyzna... Razem ruszyli w kierunku wybrzeża.

ROZDZIAŁ 18

Czy to tu wylądowałeś? Jesteś pewien, że to jest to miejsce?

Ray skłonny był nawet podzielić wątpliwości kapitana Tauta. Nie było żadnego znaku na bezludnym i pustym wybrzeżu, a skrawki łądu były do siebie bardzo podobne. Ray był jednak pewien. - To właśnie tu - powtórzył z przekonaniem. Odwrócił głowę, ciężko mu było przerwać nić, która, jak czuł, przyciągała go do Jałowych Ziem tym mocniej, im bliżej brzegu się znajdowali.

Do domu, do Ojczyzny - powiedział kiedyś Cho. Jakkolwiek Ray wiedział wtedy, że nie jest to jego powrót i nie będzie. Jak powiedział U-Cha, można było obrać tylko jedną drogę, a ta leżała na północy. Taut wypełniający nowe rozkazy mające na celu dopaść resztki alianckiej floty wywiadowczej, zgodził się wysadzić go na brzegu tam, gdzie będzie sobie życzył.

Kapitan piratów naciągnął szczelniej marynarski płaszcz na swoje szerokie barki. Wiała lodowata bryza przypominająca oddech zim, jakie Ray znał z kraju, który tu powstanie. Mógł już teraz zobaczyć białe płaty na brzegu, ślady śniegu.

- Pozeglujemy na wschód. Daj mi znak zapalając światło, gdy zechcesz byśmy cię zabrali.

Ray kiwnął głową. To światło, pomyślał, najprawdopodobniej nigdy nie zostanie zapalone. Najlepiej uzmysłowić to Tautowi.

- Mogę w ogóle nie wrócić - powiedział. - Idę, by znaleźć ludzi mego czasu.

- Nie pytaj, a nie będą ci opowiadać zmyślonych bajek - odrzekł kapitan. O, tak, każdy człowiek ma prawo do własnych tajemnic. Nie ma tu kolonii, tylko dzicz, w której trudno kogoś spotkać. Żeglowały w tych okolicach alianckie statki, których część teraz zostanie pirackimi. Wyjęci spod prawa obozują tam - machnął ręką w stronę brzegu. Idź ostrożnie, wojowniku, i trzymaj zawsze dłoń na rękojeści miecza. Będziemy wypatrywać twego sygnału.

- Jeśli nie ujrzycie go przez pięć dni, zatroszczcie się o własne interesy i nie szukajcie mnie więcej - powtórzył Ray stanowczo.

- Zgoda. Ale co powiem, kiedy wrócę? Że wysadziłem cię na pustkowiu, że nikt z nas ci nie towarzyszył i że zostawiłem cię tu samego? Gdybym tak powiedział, to myślę, że musiałbym się pojedynkować. Zwłaszcza spotkawszy Urodzonego w Słońcu Cho, którego pewnie zawiodłeś, uciekając od niego po kryjomu, by wsiąść na statek z rozkazami dla mnie.

- Powiedz mu, by zadawał pytania U-Cha, Naacal'owi. To oni wiedzą, co muszę zrobić.

Ray był niecierpliwy. Gotów byłby nawet wyskoczyć za burtę statku i popłynąć wpław. Ostatecznie jednak Taut zdał się nie mieć ochoty na marnowanie czasu na dyskusje. Kapitan wydał stosowne rozkazy i Ray został przewieziony szalupą na brzeg. Wyskoczył z łodzi na obmyty falami piach i odwrócił się, by złapać rzuconą mu przez sternika torbę z prowiantem. Nie czekał już jednak na brzegu, by odprowadzić wzrokiem szalupę wracającą na statek.

Wiatr i fale zmieniły nieco wygląd wydm, ale niedaleko znajdowały się osmalone kamienie. Tak, jego wewnętrzna potrzeba dobrze go poprowadziła. To tu znajdował się obóz atlancki, w którym był jeńcem. A teraz...

Ray wrzucił torbę z jedzeniem na najbliższą skałę. To tylko zbędny ciężar, którego już prawdopodobnie nigdy nie ujrzy. Zaczai iść tak pewnie w głąb lądu, jakby jego stopy kroczyły po dobrze oznaczonej drodze, tak pewien kursu, jakby wiedząca go ścieżka była wybrukowana.

Za jakiś czas dotarł do wąwozu, gdzie leżały nagie kości łosia. Wspiął się na wzgórze, z którego sprowadzono go niegdyś jako więźnia. Przed nim na tle nieba czerniła się linia, lasu. Przez cały dzień nie było słońca. Niebo było zimne i posepne, zima wgrzyła się tu głębiej.

Ciemny był ten las, gdyż mimo panującej pory nie wszystkie liście opadły z drzew i ciemne sklepienie zwieszało się ponad głową. Ray odsunął suchą gałązkę dzikiego wina, która uderzyła o pióropusz jego muriańskiego hełmu i zatrzymał się, by wyplatać rąbek płaszcza z uchwytu kolczastego krzewu.

Pod podeszwami jego wysokich marynarskich butów rozpościerał się dywan mchu delikatnie tylko tkniętego brązem. Patrząc uporczywie w dół, kiedy szedł pomiędzy drzewami, widział tylko mrok. To był właśnie jego powracający sen o lesie i o tym, co może wyjść mu zeń na spotkanie. Jednak była to jego droga, i nie miał siły zejść z niej teraz. Nie istniała już moc przewyciężająca jego obawy i żądze, jak to się wydarzyło w Atlantydzie, lecz czuł wszechogarniającą potrzebę kroczenia dalej i dalej, by dotrzeć do miejsca, gdzie przedostał się do tego czasu. Potrzeba ta była zrazu tylko niepokojem ducha, potem jednak z każdym dniem stawała się coraz silniejsza, pociągając go w sposób, jakiemu nie mógł się oprzeć, nawet gdyby tego chciał.

Skórzana kurtka i dżinsy, jakie niegdyś nosił, zniknęły. Miał teraz na sobie tunikę z dobrze wygarbowanej, miękkiej jak tkanina skóry, wzmocniony metalem wojskowy kilt, a na

obandażowanej piersi także metalowy pancerz. Pas z mieczem ciążył mu u boku, a pochwa ocierała się o uda. Tyle tylko się zmienił. Zastanawiał się przez moment, co pomyśla, kiedy go zobaczą, ludzie z jego czasu. Jego fantastyczna opowieść... Może to ubranie przyda jej trochę wiarygodności.

Nie dbając o zadrapania Ray przedarł się przez ciąg zarośli, które otaczały właściwy las i puścił się biegiem między drzewami. Czy będzie w stanie odnaleźć teraz dokładne miejsce? Potrzeba sprawiła przynajmniej, że szedł dalej i zaczął jej ufać, jak czemuś w rodzaju doraźnego środka. Biegł znowu, tym razem w głąb lasu.

- Coś się zbliża - Burton odsunął na bok jedną słuchawkę. - Na ekranie widzieli obcy krajobraz, gigantyczne drzewa, skraj leśnej polany. Hargreaves powiódł wzrokiem wokoło po reszcie zgromadzonych. Oni nie wierzyli w to tak naprawdę - pomyślał. Aż do teraz - pomimo filmu, wszystkich innych prób - nie wierzyli. Nie sposób uwierzyć - dopóki w końcu samemu się tego nie zobaczy na własne oczy.

- Odczyt - podaj mi odczyt! - domagał się ostro Burton od jednego ze swych trzech asystentów. Każdy powtórzył serię współrzędnych i Burton marszcząc brwi wyregulował tarcze przyrządów przed sobą.

- Dalberg - powtórz!

Mężczyzna po lewej stronie ponownie odczytał swoje liczby. Burton gryzmołił pospiesznie, wbijając mocno ołówek w ochraniacz na łokciu. Zmarszczki na jego czole pogłębiły się. Dodał, przekreślił jednym pełnym złości pociągnięciem i zapisał nową linijkę cyfr.

- Co to? - spytał generał Colfax.

Burton zamachał w niecierpliwym żądaniu o ciszę - Campel - próbuj... Następna powódź równań została dostarczona do jego sąsiada z prawej strony. Palce migały po klawiszach; tarcze obracały się. Burton przygarbił ramiona, pochylając się coraz dalej do przodu, aż czubkiem nosa zbliżył się do mniejszego wizjera powtarzającego obraz widoczny na większym.

Fordham przemówił po raz pierwszy. - Trzymać go w ten sposób dziesięć minut.

Burton spojrział dookoła. - To może nie wystarczyć. Mamy go - lub kogoś innego w zasięgu wiązki. Musicie wytrzymać dłużej...

- Jeżeli to zrobimy, będziemy musieli czerpać z rezerwy. I możemy bardzo łatwo zaprzepaścić szansę ponownej próby.

- Ale mamy go, mówię ci!

- Powiedziałeś, jego, lub coś innego odezwał się znowu generał. Przed chwilą to nie

brzmiało tak pewnie.

- Robimy to wszystko na podstawie hipotez, na równaniu zbudowanym z niewystarczającej ilości danych - odparł Burton. - Naturalnie musimy oczekiwać pewnych odchyień. No więc teraz mamy zamiar na umysł, i on nadchodzi, odpowiadając na promień. Nie myślę, abyśmy mogli złapać cokolwiek oprócz waszego człowieka.

- Zbudowaliśmy nasze wezwanie na podstawie tego, co o nim wiemy - i tylko o nim.

- Ale wciąż nie jesteście pewni; generał podniósł ze stołu mały nadajnik, aby wydać swoje własne rozkazy.

- Smali, zaalarmuj swoich ludzi. Zbierz kogo się da, chcę mieć go tutaj piorunem, jak tylko się pojawi.

Fordham sprawdził wskazania na tarczach swoich przyrządów.

- Niech idzie sześć minut w tym ustawieniu. Jak daleko jest teraz? - spytał Burtona.

- O mniej niż milę. Będziesz musiał przełączyć na rezerwę czasową, mówię ci.

Palce Fordhama zabębniły po brzegu pulpitu. W końcu przyciągnął do siebie mikrofon.

- Niech idzie rezerwa. Tak, powiedziałem przełączyć na rezerwę, kiedy czas się skończy.

- Te drzewa na ekranie, taki niewinny obrazek - myślał Hargreaves. Stał tam mężczyzna zajmujący pozycję przy indiańskim kopcu, gotowy skoczyć na cokolwiek, co przemieści go z powrotem w ich czas: Ray Osborne lub ktoś czy coś innego. Jednak była to istota ludzka posiadająca mózg; inaczej promień Burtona nie mógłby usidlić go, wciągnąć. Ale czy był to ich człowiek, czy też ktoś, do czyjego świata należał ten budzący grozę las?

Ray zaczął czubem buta o na pół zgniłą, wkopaną w ziemię gałąź. Rozrzucił ramiona w mimowolnym wysiłku utrzymania równowagi i zdołał utrzymać się na nogach, idąc chwiejnie naprzód ku polanie. Uderzył ręką o pień drzewa i złapał za korę. Wtem... drzewo... ono zniknęło! Potknął się znowu i przykląkł na jedno kolano. Cienie wirowały w tę i z powrotem wokół i obok niego w zawrotnym tańcu. Zamajaczył jakiś większy cień... usypana ziemia... kopiec... indiański kopiec!

Z nieartykułowanym okrzykiem Ray zbliżył się do niego. Ale mimo, że go widział, jego ręce nie dotknęły ziemi. Podniósł się. Kopiec tam był, ale chociaż przycisnął pięść do jego masywnej powierzchni... masywnej powierzchni? Ręka weszła... przeszła przez coś, co jak zapewniały go oczy było zamarznąłą ziemią.

Cofnął się o krok lub dwa, z rękami wciąż wyciągniętymi w górę. Cienie biegnące w jego stronę zza kopca, mniej realne niż ziemia, której nie mógł dotknąć. Ludzie - widział

twarze, mundury, ale jak przez mgłę. Obserwował, jak wyrzucają ręce, próbując go zatrzymać. Jeden z nich wyskoczył, chcąc chwycić Ray'a za kolana - aby rozciągnąć się na ziemi, uchwyciwszy rękami tę samą nicość, z jaką Ray zetknął się w kopcu.

- Nie... Nie! - Ray słyszał swój własny dziki wrzask. To było zakończenie koszmaru, koniec, który nigdy nie nadszedł we śnie, ale któremu musiał stawić czoła na jawie. Cofnął się znowu. Ludzie-cienie... jeden podniósł broń... wystrzelił...

- Nie! Ray krzyczał znowu. Las, bezpieczny las! Chciej wrócić, chciej znowu drzew! Mężczyźni-cienie i kopiec, który był, a jednak go nie było - o, nie!

Wybuchł w nim dziki bunt. I ta nić, która ciągnęła go z powrotem w to szaleństwo, pękła. Drzewa... Drzewa... Ray zamknął oczy i myślał o drzewach. Nagle w jego umyśle stanęły, wysokie, mocne, znowu żywe. Chciej tego, ponaglało go coś wewnątrz niego. Pamiętaj, nie poddałeś się Miłującemu; musisz wytrwać teraz - inaczej będziesz zgubiony w świecie cieni, gdzie nie można żyć. Drzewa!

Coś materialnego pod ramieniem. Nie mając odwagi otworzyć oczu, Ray wyciągnął rękę i natrafił na szorstkość kory. Zakrzywił mocno palce, próbując wczepić się w nią. Drzewo!

Słony pot ściekał mu po policzkach. Drzewo - wokół niego drzewa, a nie świat niematerialnych cieni.

Teraz odważył się otworzyć oczy. Tak, dookoła niego były drzewa. Ale przed sobą, jakby wyglądał przez otwarte drzwi lub okno widział wzniesienie boków kopca, i pod nim mężczyzn - żołnierzy. Byli teraz bardziej realni niż cienie - ale było tak, ponieważ znajdowali się na swoim miejscu, a on na swoim, nie próbując przekroczyć zakazanej granicy. Nić, która przyciągnęła go tutaj, została zerwana. Zamiast tego spoglądał na obcych w obcym i zakazanym świecie.

Stali tak przez długą chwilę. Potem okno nie wiadomo czy w czasie czy w przestrzeni? - zniknęło. Był sam w lesie. Ray z westchnieniem oparł się o drzewo u swego boku.

Co się wydarzyło? Z pewnością był w połowie drogi do swego czasu. Kopiec, mundury mężczyzn, były tego naocznym dowodem. Nie był jednak w stanie przejść do niego całkowicie. Popatrzeć, ale nie dotykać - myślał - nigdy więcej. Musiał pogodzić się z tym, że nie było powrotu. Przez moment jednak czuł jedynie zwyczajną ulgę, iż wydostał się z tamtego półświata.

- Co się stało? - generał Colfax pierwszy przerwał ciszę.

Burton siedział nieruchomo wpatrując się w ekran, z palcami ściskającymi krawędź

pulpitu przed sobą, z wyrazem całkowitego niedowierzania na twarzy. Fordham odpowiedział pierwszy.

- Skończyliśmy - na razie. Instalacje spaliły się - całkowicie. Postukał w powierzchnie kilku tarcz, które miał przed sobą. Ich wskazówki pozostały nieruchome i spokojne.

Widzieliście go - Burton odwrócił głowę, spoglądając błagalnie na Hargreaves'a. - Widzieliście?

- Ciebie, ducha... - Hargreaves jąkał się w poszukiwaniu słów odpowiednich do opisu.

- Miał na sobie zbroję - dodał generał - i miecz. To nie wasz człowiek. Inaczej, jeśli nim był, co robił - tam? Ale dlaczego nie przeszedł?

- Nie mógł - odparł Fordham. Jeśli to był Osborne i my sprowadzaliśmy go z powrotem, on nie należy już do naszego świata. Studiowaliśmy wiele teorii, kiedy rozpoczynaliśmy „Operację Atlantyda”. Znaście stary, często cytowany paradoks podczas omawiania podróży w czasie - że człowiek może udać się w przeszłość i zmienić historię własnej rodziny, a skutek mógł być taki, że sam mógł wcale się nie narodzić. Nie planowaliśmy takiego rodzaju podróży w czasie. Ale przypuśćmy, iż Osborne w jakiś sposób zrobił coś ważnego dla historii na tym poziomie - został wciągnięty w działanie, które go tam zakorzeniło. Wtedy... cóż... mógłby zostać unieruchomiony w tamtym świecie.

Generał podniósł się. - Jeżeli ma pan rację - w takim razie to samo mogłoby się przytrafić każdemu, który spróbuje przejść na drugą stronę.

Fordham skinął głową. Generał pokręcił swoim małym nadajnikiem.

- Złożę raport.

- Że wstrzymuje pan projekt - Fordham raczej stwierdził, niż zapytał.

- Zapewne możemy zaglądać na drugą stronę. Ale nie doradzałbym przechodzenia tam - nie, dopóki nie dowiemy się więcej - o wiele więcej...

- A Osborne? - zapytał Burton.

Jeśli to był Osborne, zdawało się, że znalazł tam dla siebie miejsce. Dopóki nie nauczymy się więcej, zostanie... - odparł Fordham.

- Myślę - powiedział Hargreaves - że być może nie jest w zbyt fatalnym położeniu - zakładając cały czas, że to Osborne'a złapaliśmy tym promieniem umysłu. Zniknął na kilka tygodni, zagubiony w nieznanym świecie. Kiedy powraca, a przynajmniej częściowo powraca, ma na sobie zbroję, nosi broń. Najwyraźniej nawiązał dobre kontakty z tymi, którzy zamieszkują ten poziom i znalazł sobie między nimi miejsce na tyle, że zaopatrzyli go w odzienie i broń. Prócz tego - jeśli doktor Fordham ma rację - być może dokonał tam czegoś ważnego. Ciekawy jestem - spojrzął na pusty ekran. - Ciekawy jestem, co to było?

- Cóż - Burton wstał powoli. - Prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy. Jest gdzieś, gdzie nie możemy sięgnąć

- w bezpiecznym miejscu.

- Nie gdzieś - potrząsnął głową Fordham - lecz kiedyś, w niezbadanym „kiedyś”.

Nadajnik w ręku generała Colfaxesa zatrzeszczał. Podniósł go do ucha. - Tu Colfax, proszę mówić. - Słuchał przez chwilę, po czym odwrócił się twarzą do pozostałych. Na jego twarzy malowało się zdumienie graniczące ze wstrząsem.

- Raport z Pentagonu. Nowy masyw lądowy na Atlantyku, drugi na Pacyfiku - nie wynurzające się z dna morza

- po prostu nagle tam były! Właśnie tam, jak gdyby były tam zawsze...

- Atlantyda - powiedział półszepem Fordham. Ale jak... dlaczego?

- Poproście wasze komputery o nowe równanie. Przez nasz błąd umieściliśmy tam człowieka - i w zamian dostajemy dwa kontynenty. Zdaje się, że chyba mamy to „kiedyś” także po naszej stronie. Tylko, że jest ono tu i teraz, i musimy się nim zająć. Te ziemie - jeśli na nich są ludzie - jeżeli są otwarte - będziemy musieli zająć się nimi.

- Dostępne dla każdego, chyba że przybyły zapełnione mieszkańcami - skomentował Hargreaves. - Może powinniśmy zacząć się nad tym zastanawiać. Być może Osborne od tej chwili znajduje się na lepszym z dwóch możliwych światów.

Wysokie drzewa, ale teraz nie kryło się w nich już nic zatrważającego pomimo mroku poniżej ich przesywających niebo gałęzi Ray poruszał się z łatwością. Miał tylko nadzieję, że będzie mógł odnaleźć drogę powrotną na brzeg, teraz, gdy nie działał już przewodnik, który go przyprowadził. Poczucie bezpieczeństwa, które nadeszło wraz z powrotem drzew, wciąż się utrzymywało. Czuł się jak gdyby ucieczka z półświata cieni była ucieczką od niebezpieczeństwa zagrażającego nie tylko jego ciału.

Nie było powrotu. Teraz to przyznał. To, przed czym ostrzegali U-Cha, musiało być prawdą. Jego działania tutaj ustawiły barierę między nim a przeszłością. Teraz, kiedy to wiedział i pogodził się z tym, otoczyła go znów rzeczywistość, którą utracił w Mieście Pięciu Murów. To było jego tutaj i teraz, i było wszystkim co miał - i potrzebował. W końcu jego własny świat miał nie więcej do zaoferowania - raczej mniej, niż znalazł tutaj.

Wyszedł z lasu, i teraz przeszedł w lekki trucht. Jak długo był na brzegu? Nadal było daleko do wieczora. Być może pirat wciąż kręci się dostatecznie blisko, aby wkrótce ujrzeć jego sygnał.

Teraz Ray biegł, jak już raz przedtem biegł z tego samego lasu. Co obiecał Re Mu - o cokolwiek poprosi? Teraz, teraz zaczynał zdawać sobie sprawę, czego chce - opalikotać tę

ziemię. Mogliby znaleźć się chętni, aby się tu osiedlić. Ale to była jego własna ziemia, jego ostatnia więź z przeszłością - chociaż nie mógł trzymać się jej z tego powodu. Jałowe Ziemie - ta nazwa była całkowicie błędna. Nie były jałowe - spójrzcie na ten las, na tę równinę! Dobra ziemia - czekająca tylko na człowieka.

Ponad jego głową chmury rozstąpiły się, przepuszczając światło słońca. Uschnięte trawy na równinach rozzłociły się pod jego stopami. Jałowe? Nie! Pewnego dnia będą tu miasta, ludzie...

Ray oddychał ciężko. Kiedy wreszcie doszedł na brzeg morza, zwolnił i zaczął iść. Ale pomimo bólu pod żebrami, pomimo opadającego go zmęczenia, zaczął przeczesywać skały w poszukiwaniu kawałków drewna wyrzuconych przez morze. Ułożył wielki stos, dość, aby powstał słup dymu, kiedy już dodał do niego trochę poszycia. Straż Tauta powinna go wkrótce zauważyć.

Przykucnął na obcasach, wyjmując z woreczka u pasa krzesiwo, aby rozniecić ogień. Rozdmuchał go, dając mu siłę życia.

Jałowe Ziemie... prawdziwe ziemie... Pomyślał o tamtym oknie i przesuwających się za nim cieniach. To jest tu i teraz. Czym było tamto? Czymś gdzieś - nie, kiedyś. I nie było tam już dla niego życia. Dorzucił do ognia trochę więcej poszycia i patrzył, jak ciemna spirala dymu wznosi się pod ciepłym i teraz dającym radość słońcem.